

CHODZKO

OPR. IX

LET. WSK

1

W. G. C. C.

Pds.

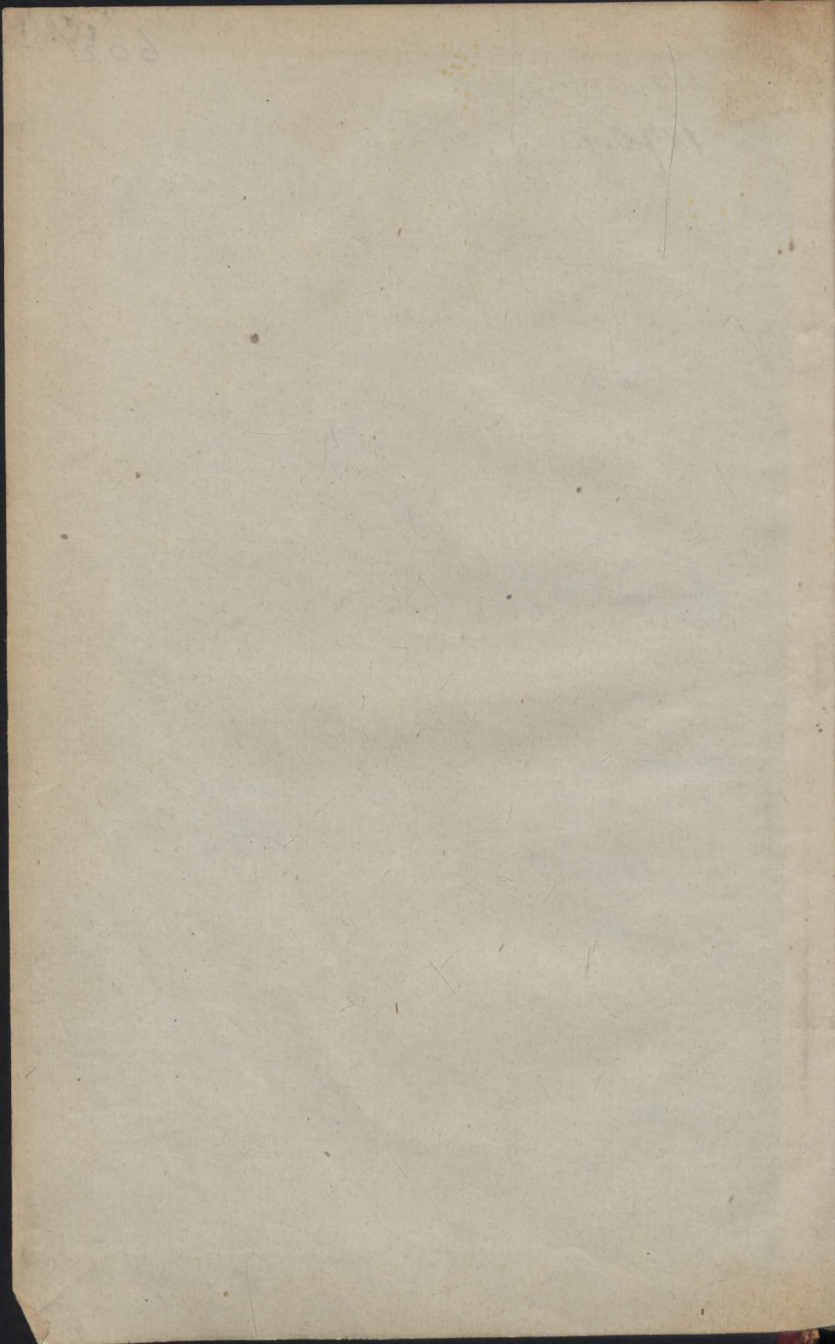
Warszawa

1870. r. - 2.50

243

2.80
1.40

2.20

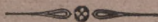


Nowy słownik

**OBRAZY
LITEWSKIE**

PRZEZ

Ignacego Chodźkę.



SERYA PIERWSZA.



WYDANIE NOWE POPRAWNE.

2 Tomy w jednym.



WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1855.

OBRZY
Służmy poczciwój sławie, a jako kto może,
Niechaj ku pożytkowi dobra wspólnego pomoże.

KOCHANOWSKI.

SERYA PIERWSZA

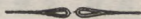
984

14842

OBRAZY LITIEWSKIE

PRZEZ

Ignacego Chodźkę.



SERYA PIÉRWSZA.

WYDANIE NOWE POPRAWNE.

2 Tomy w Jednym.



Miechysław Reński

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1855.

OBRZĄDY

LITERSKI

14.842/14.287

3306 N

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno, 25 Kwietnia 1854 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

WILNO

Wydawnictwo Księgarni i Drukarni Józefa Zawadzkiego

1854

D O M E K M O J E G O D Z I A D A .

—◆◆◆—

Gdybyś wziął martwy kamień z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potem do ojczyzny wróciwszy z daleka,
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod głowę w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
Xięże! kamień bez sądu rzuć prosto do piekła.

Krót nie doznał najtkliwszego uczucia wchodząc
po długiem oddaleniu do domku, w którym dni
swe dziecinne i młode przepędzał? czyjeż oko nie
zalało się łzą miłego rozrzewnienia, na wspomnie-
nie osób, których w tych samych już nie ogląda
izbach, a które go tu niegdyś z pieśczętą tuliły
do serca! Komuż nie będzie słodsza jagoda z te-
goż samego krzaku w jesieni życia zerwana, z któ-

rego gdy był dzieckiem, piastunka lub go stary dziadulek karmił. Któż w starych sługach domowych nie będzie szukał z upragnieniem, choćby jednego świadka chwil dawno ubiegłych, a obecnych sercu i pamięci obudwóch? Jakże mu drogim i szanownym będzie ten pomnik błogięj przeszłości! z jakąż rokoszą rozmawiać z nim będzie, i uczyć się na nowo tego wszystkiego, na co dziecinném kiedyś poglądał okiem! Przybywam do domku mojego dziada:

„wszystko tak jak było,

„Tylko się ku starości nieco pochyliło.

Taż sama mchem porośla strzecha, tenże sam ganek z ławkami, i te od niego w rozmaite strony wydeptane ścieżki, po których dziecinna moja niegdyś biegała stopa; a co najbardziej, tenże sam ogromny kamień, na którym tylekroć razem wieczorem zebrani, letniego używaliśmy chłodu, lub zwróceniu pokornie do podniesionego tuż wizerunku męki Chrystusa, za przewodnictwem ojca rodziny, wznosiliśmy za jego długie życie, on za naszą szczęśliwość, gorące modły. Zły człowiek który tu był zamieszkał, ogałcając ze wszystkiego

tę ubogą chatkę, nie śmiał poruszyć krzyża, a nie zdołał głązu, i te jedyne przy ciemnych ścianach zostawił mi przeszłości pamiątki.

Przed laty kilkudziesiąt mieszkał tu pan Maciej Widmont, skarbnik od pradziadów, dziadek mój, prawdziwy *szlachcie na zagrodzie*. Patryarchalne cnoty jego i proste obyczaje, tém interessowniej-szy złożyć mogą obraz, że pomiędzy wielą opisów, zbytów i wspaniałości bogatych naddziadów naszych, wystawień ich cnót publicznych i obywatelskich, ich niespokojnych rozruchów; pomiędzy obrazami wad klasy wyższej i średniej chcącój zawsze naśladować wyższą, a do naśladowania zbytek bardziej i nałogi, niżeli dobre wybierającój przymioty,—nie mamy prawie pierworysów (*type*) wygasłego już pokolenia owój niższej i uboższej szlachty, w której skromnych zagrodach przecho-wywały się wśród powszechnego częstokroć zepsucia, jakoby w utajonym schowie, bogobojna poczciwość, prosta i otwarta szczerłość, chrześcijańska gorliwa pobożność i czystość sumnienia. Przecho-wywał się także zapas przesądów, co wieczór w cichym powtarzanych gwarze, łączących familijném że tak powiem ogniwem, gminne urojenia i

powieści z domowymi bajkami, a tworzących niejako religijną ich poezją.

Kilka chat włościańskich i mały obszar ziemi składały dziedzictwo mojego dziada; z tém szczupłym mieniem był on szczęśliwy, i uszczęśliwiał! Jakiż to los do zazdrości!

Pszczołka, klaczka i pszenica,
Wyprowadza z nędzy szlachcica,

powtarzał często pan Widmont, i szedł w gospodarstwie za tém staroświeckim przysłowiem. To też dwa ogródki jego, gajem wiśni, jabłoni i grusz zarosłe, brzęczały rojami pszczołek; na gumnisku zawsze kilkoro pięknych hasało zrzebiąt, i corocznie wielka część pola jego, złotym pszenicy okrywała się kłosem: a obfitość i dostatek gospodarski napełniał mu stodoły, spiżarnie i spichrze.

Mój dziadek nie był nigdy bez zapasu pieniędzy. O! dobrze pamiętam ów kuferek szczelnie okuty, w ciemnym kątku garderobki alkowy stojący. Z niego to dostawały mi się często talary i złotówki, a zawsze ze zwyczajną przestrogą, którą mnie wnukowi za naukę, a sam sobie za

reflexyą przeciw zbytecznej hojności, przy każdym otwarciu kufierka powtarzał :

„Pamiętaj przychodzie,
Żyj z rozchodem w zgodzie.”

Domek ten, w którym teraz żywot dawnego dziedzica jego rozpamiętywam, chędogi natenczas, wesoły i ludny, dziś mi tylko urokiem przypomnienia miły, zawiera dwie izby, pokojami honorowie zwane, alkówkę z garderobką i bokówkę z *alkierzykiem*. Bokówka ta z dużym kominem, piecem jeszcze większym, szerokim zédlem koło pieca i długim zapiekiem, gniazdem dziatwy i szcurów, była miejscem najwალniejszych spraw domowych. Tu panowie i słudzy zgromadzali się przededniem na rożaniec, wieczorem na godzinki; tu faworytne przy kawie rano, snów tłumaczenie, i tu wieczorem przy kominie o upiorach i strachach gwary, którym mój dziadulo lubo zdawał się nie wierzyć i wszystkim niewiarę wmawiał, jednakże sam nową często przydając powieść, nauczając dawnego i doświadczonego sposobu odpędzania czarów, lub odkrywania zaklętych skarbów, niechcący z własném wydawał się przekonaniem, a kończył zawsze na tém: *dziatki! dziatki! bez*

woli Boga nic się nie stanie! Tu furczały wiecznie dwa kołowrótki, głuszając zwadkę dwóch świegotliwych przadek, zasłużonych pokojówek jejmości; tu nakoniec w niedziele i święta uroczyste, panna *Helena*, córka nieboszczyka ekonoma, do familijnej przyswojona gromady, siedząc przy piecu na zédelku ze spuszczone mi skromnie oczkami, cieniutko spiewała światowe pieśni: „*chciało się Zosi jagodek*” lub pod dobry humor jegomości: „*Kurdesz, kurdesz, nad kurdeszami.*” Rzadko jednak goście wstęp mieli do bokówki; dla nich dwa paradne były pokoje: w pierwszym z nich wielki obraz Bogarodzicy buntem błyszczących ozdobiony bisiorów, i co niedziela w świeże bukiety siarczystych goździków ustrojony, główną zajmował ścianę; pod nim bogaty relikwiarz misternej roboty, i dzwoneczek loretański odpędzający chmury, pioruny i nawałnice; kredens i inne sprzęty proste, dogadzały tu koniecznej tylko wygodzie. Drugi pokój, o! drugi pokój na zbytek zakrawał! Tu kanapki dywanikami zaślane, tu staroświeckie w kwiaty malowane obicia okrywały ściany, tu stolików parę niegdyś także malowanych, na jednym warcabnica, na drugim ta-

lia kart polskich dobrze ogranych i filiżanka z garścią bobu na marki; tu bowiem był plac rozprawy w codziennego nałogowego maryasza, i świętecznego ćwika. Z jakimże interessem grano gdy płątka dwóch złotych dochodziła!... Mój dziadulek wyświeca tuza; brać czy nie brać? okrzyk powszechny brać! brać! dodaje serca. — Ale płątka odzywa się ksiądz pleban, chcący w duchu aby gracz stchórzył, a tuz z kolei do niego przeszedł. Mój dziadulek wróży w palce: raz, dwa, trzy; biorę, rzekł nakoniec z energią godną podziwienia, biorę! Rozwija się powoli karta; oczekują wszyscy, ciche remis szepcze się już około stolika. — *Lepszy pan Bóg jak pan Rymsza!* zawoła nagle dziadunio, kto pomaga? kto pomaga? kto do azardu? powtarza śmiało: nikt! nikt! ksiądz proboszcz powróżył także w palce, spójrzył ukosem w kartę źle strzeżoną gracza, aż tu obok tuza król w sekundach. A więc nikt nie pomaga? nikt nie bierze? nikt, po raz ostatni zawołał dziadunio, nikt! i pełny spodek groszaków wywrócił tryumfalnie przed siebie. Ileż to przyjaciół w szczęściu! każdy winszuje, każdy się przechwala że koniecznie tuza brać życzył, wszyscy przyznają, że pan

skarbnik wybornie gra w ćwika! a jam skakał z radości.

O ileż to razy ze szkolnej uwolniony mozoły, jechałem na uroczyste święta? Błogi wieku dziecinny! jakże ci mało do uszczęśliwienia potrzeba! jak wyobrażenie zabawy i pociechy upaja roskoszą niewinne serce, jaka żywa radość błyszczy w oczach i wzrusza całym dziecinnym jestestwem! Student z Borun, z jakimże uniesieniem postrzegłem zdaleka gaik i dach domku, w którym piękną Wielkanoc przepędzić miałem. Wielkanoc, święto najweselsze? Święto wiosny! Święto odżywiającej się natury! Święto odkupienia i powszechnej radości!

Ostatnie resztki sutój Pańskiej wieszki, ostatni suchar i ostatni śledź w wieczor ostatniej soboty spożyty; i już z bokówki, jakby pierwociny jutrzejszych godów, mile zalatywały wonie, gdy huczne salwy artylerji księdza proboszcza, dawały hasło rezurekcyi. Bieżał wnet mój dziadunio do kościoła, biegliśmy i my wszyscy za nim, biegła cała czeladź domowa, bo kto z gospodarzem chciał używać darów Wielkanocy, modlić się wprzód z nim koniecznie musiał. Powitany wesołym *Aleluja!* dzień zaświtał wśród nabożeństwa, dzień piękny

wiosenny! Gromadnie i huczno wychodzono z kościoła. *Chrystos woskres! Chrystos woskres!* odzywa się na około; pozdrowienia te uroczyste mieszały się z wesołym gwarem pospólstwa, a rzeźwość, uweselenie i radość jaśniały na twarzach wszystkich.

My także wracaliśmy do domu przechodząc przez ulice z łubek; około każdej z nich, familia poczciwych chłopków w kupkę zebrana czekała, na poświęcenie swoich zapasów. Nasze damy powracały do domu w staroświeckiej na pasach kolascie, my piechotą krótką tę odbywaliśmy podróż, dając czas księdzu proboszczowi do przybycia dla podobnegoż obrzędu. Co za miły widok nas oczekiwał! w pierwszym pokoju świeżą wysypanym jedlinką, długi stoł okryty najsmakowitszym święconym. Tu na środku baranek z czerwona chorągiewką na grzbiecie trzyma w zawróconym pyszczku garstkę młodej trawki, jakby zwiastując wracającą wiosnę; obok podpierają go dwoje tłustych prosiąt, a każde częstuje z paszczy czerwonym jajem, zwyczajnym wielkanocnym włoczebnym; dalej indyk utuszony, który sam jeden w całym domu, przez post wielki nie pościł; szynka, główna ozdoba możnych i chu-

dopacholskich święconych stołów; przy niej, dla
 zniepewnienia apetytu zarłoków, ćwierć cielęcia sze-
 roką zalega missę. Cóż mówić o półgęskach, o-
 zorach, zającach, cietrzewiach, zdolnych najgrun-
 towniej stępić obudzić apetyt. Na obu końcach
 stołu siadły szerokie, przysadziste jakby tej spi-
 żarni gospodynie, dwie okrutne *Baby*; ach! bez
 nich, cóżby całe święcone znaczyło? na ich ogo-
 rzałych obliczach, jak na twarzy pijaka, gęsto wy-
 sypane czerwone garby, a ześrodka czarniawa, lip-
 ka wysączona massa, upewniała wprawne znawcy
 oko, że mimo straszne pozory wewnątrz i zewnątrz
 smacznymi były. Garnitur pirogów i placków roz-
 maitego kształtu i nazwania zapełniał zdarzane mię-
 dzy półmiskami przerwy, a wszystko razem gajem
 zielonego bluszczu zarosłe, troje razem zmysłów
 widzenia, smakowania i powonienia nęciło.

Oczekiwano księdza proboszcza, a tym czasem
 każdy przygotowywał się do swojej roli; poglą-
 dano w okna, milczano, lub szeptano zcicha. Kot-
 ka tylko faworytka domowa, siedząc na kreden-
 sie figlarnie myła się łapką, i filonek tańcował
 około stołu.

Przybywa nakoniec i ksiądz proboszcz; mój

dziadunio przyjmuje go na ganku. Wnet w komżę przybrany, mając za sobą organistę z miednicą i kropidłem, poświęca i błogosławi dary Boże, a ukończywszy obrządek, odwraca się z powagą do gospodarza i wyborną prawi oracyę, przez połowę po łacinie i po polsku. O! mój dziadunio był pełen erudycyi i jezuickiej jeszcze łaciny; wzajemną zatem wyciął perorę proboszczowi, w której i dzisiejsza solenność, i respekt dla jego pasterskiej godności, *acuminose* połączone były. Tu już następowały powinszowania, w których mniej dowcipu a więcej prawdziwej wylewało się czułości: syn i synowie, córki i zięciowie ze łzami w oczach mało mówiąc, całowali rękę ojca swego i dobroczyńcy; nakoniec przychodziła kolej na wnuka. — Aj! serce mi się wyrывało z piersi! Występowałem więc, koło się rozszerzyło, jam na środku, pan dyrektor trochę bliżej od innych, dla dodania serca, i w potrzebie wyrazu, jeżeliby pamięć lub energia mówcę zawiodła. Zaczynam . . . o cudo! o mądrości nad wiek i nadzieje, zaczynam po francuzku, i bez zająknienia się palę aż do końca. Już francuzczyzna w modę wchodzić zaczynała, i ja z gotową w szkołach ułożoną oracyą, przybywałem na

święta. Niewiele jój wprawdzie rozumiał ksiądz professor, co ją układał, nie rozumiał pan dyrektor, co mi ją repetował, nie rozumiałem ja, który ją pererowałem, i nie rozumiał mój dziadulek, który jój słuchał, ale cieszyli się wszyscy: dziadulek i rodzice płakali z radości, jam płakał z dziecinnego rozrzewnienia, a każdy mię pieszczotą i busiakami osypał.

Traktował potem gospodarz wszystkich z kolei pokrajaném jajem, i nie opuścił najmniejszego dziecka: a z uczuciem równie życzliwém podawał talerz swym dzieciom jak swym sługom i wiernój czeladce, która potem szła do piekarni i posilała się nie tak wytworném, lecz równie obfitém święconém. — Dzień ten cały jakże nam mile schodził! dodawał dobrego humoru pan Huszczanowski organista, dał on bez miłosierdzia na klarynecie, i skwarzącym się jak patelnia głosem wtórował panie Helenie: „*Wesoły nam dziś dzień nastał*” i t. d. O Boże! gdzież się to wszystko podziało? gdzież owa czysta i serdeczna wesołość, z którą codziennie i w pałacach i w niskich szlacheckich chatkach spotkać się natenczas można było? gdzie ta obfitość powszedniego chleba, którym każdy gospo-

darz domu dzielił się chętnie z gościem lub z nie-
szczęśliwym? gdzie to liczne plemię rezydentów,
pocziwych próżniaków, którzy jak błędni rycerze
wlokąc się z miejsca na miejsce trawili, życie po
cudzych jakby we własnych domach i dowodzili je-
żeli nie swojej ochoty do pracy, to gościnności i
dobroci dziadów naszych! Niestety! gdzie się to
wszystko podziało?

„Czemuż z miłych rzeczy zgubą,
„Człowiek pamięci nie traci (*).

Gdy teraz w wieczor, równie jak dawniej spo-
kojny i miły, tegoż samego Wielkanocy święta, ja
sierota po wszystkich moich, usiedę na kamieniu,
niemym świadku mego tu niegdyś szczęścia, i gdy
uroczystą ciszę pięknej kwietniowej nocy, chrząszcz
tylko z burczeniem przeciągając kiedy niekiedy
przerwie, nagle pieśń: „*Wesoły nam dziś dzień
nastał*” rozlega się w oddaleniu: wieśniacy obcho-
dząc w nocy po siołach winszują sobie tą pieśnią
doczekanego Święta. (**) Ileż natenczas pamiątek
budzi się razem w mém sercu! jakże głos ten wzru-

(*) Kropiński — w piosnce: „Te brzoza kilka”

(**) Zwyczaj ten trwa zawsze.

sza je do głębi, i jakby echo grobowe, odbija się wewnątrz ze drzeniem!

Mój dziadunio miał także swoje wspomnienia, i opowiadać je lubił; lecz życie jego proste, ciche i spokojne, domowe tylko miało dlań pamiątki. Rok taki to, był urodzajny; w tamtym zima wymroziła mu drzewa i pszczoły; w innym roku były znaki na niebie a po nich wojna okropna; po wojnie głód w czasie którego swojemi zapasami wyżywił on swoich włościan i sąsiadów nie skapo wspierał: to znowu w owym czasie podejmował sejmiki, i gorliwie trzymał stronę pana marszałka swego sąsiada i przyjaciela; nakoniec, liczył jak z rejestru dzieje festów, kaznodziei i plebanów swojego parafialnego kościoła, o kroków kilkaset z klasztor-kiem drewnianym, niegdyś siedliskiem Jezuitów, a dziś miejscowego pasterza, położonego.

Szczególna to łaska BOGA nad nami, moje dziecię, powiadał mi pocziwy dziad mój, że tak blisko mamy dom Boży! Co za wygoda!, codzien bez pojazdów i zaprzęgów odbyć pobożną przechadzkę na mszę świętą. — Inszy tu wprawdzie dawniej był porządek, inaczej wszystko i lepiej. Co to za nabożeństwa! jakie w święta parady! ja-

kie festyny za ojców Jezuitów! tu jak tu! ale na przykład w Żodziszkach, moje dziecię, gdzie ja do szkół chodził! daleko o tém i gadać!... Tu nagle mój dziadunio zamilkł, łza mu spadała po twarzy, obrócił się do krzyża, i wzniosłszy ręce do góry, westchnął głęboko i rzekł: „*Requiem aeter-nam dona ei domine!*” Cóż to dziadunio? pytałem, po kim to płacze, po kim się modli dziadunio?—Ach! moje dziecię, nie mogę spojrzeć na tę ubogą dziś plebanię, nie mogę wspomnieć moich szkolnych czasów, abym razem nie przypomniał, nie westchnął do Boga za duszę mego najlepszego przyjaciela. W téj oto tam na prawo celce już teraz pustej, mieszkał on niegdyś, święty prawdziwie człowiek, ksiądz Obłoczynski kapłan *Societatis* JEZU! Był on moim professorem retoryki w Żodziszkach. Otoż moje dziecię, skończywszy ja szkoły i mając już lat trzydzieści, objąłem tę po rodzicach chudobę, ożeniłem się i gospodarzyłem sobie spokojnie: aż w lat cztery czy pięć, przybywa na rektora do tutejszego zgromadzenia tenże sam mój preceptor i dobrodziej ksiądz Obłoczynski. Co to za radość dla mnie była, moje dziecię, gdy mnie on raz pierwszy odwiedził i po-

błogosławił moją chatkę! może dla tego i dotąd Bóg w niej mieszka i nam sporzyć raczy. Codziennie potem widywaliśmy się z sobą! Święty! prawdziwie święty człowiek! największy exorcysta w całej Litwie. Sam nieraz bywałem świadkiem jak czartów z nawiedzanych wypędał — Ach! dziaduniu! krzyczałem wtenczas całując go w ręce, jak to było? jak to było? — Ot tak moje dziecię, zły duch (niech nas Bóg strzeże) często dawniej z dopuszczenia Bożego napadał na jaką babę, a czasami i na mężczyznę i opętał ich, to jest opanował zupełnie; wtenczas opętani, ale już to nie baba, lub mężczyzna, tylko szatan w babie, dziwnych rzeczy dokazywał, krzyczał, skakał, bluźnił, różnemi językami gadał i po łacinie, i po niemiecku, i takim nawet językiem że go nikt nie rozumiał, a najbardziej księży nienawidział. Takich moje dziecię nawiedzonych, o mil kilkadziesiąt tu do Kościeniewicz do księdza Obłoczynskiego przyważano. Oho! jak tylko po mszy świętej pokazał się on z kropidłem, stulą i agendką, zaraz diabeł go poznał i wiedział co z nim będzie. Toć już zaczynał łajać świątobliwego kapłana: — a ty klechu! a ty taki! a ty owaki; czego chcesz odemnie? rzuciał

się w oczy, groził; ale to nic nie pomogło. Obłoczynski przystępował odważnie, kropił najpierw ię babę wodą święconą i związywał stułą, przy stosownych a gorliwych modlitwach; diabeł poznawał, że kusa rada; dalej więc do prośb, do lamentów i obietnic: a ojczyńku! a tatuleńku! a nie męcz mnie, a ja tobie pokażę gdzie skarby zakopane, a ja tobie powiem co z tobą będzie po śmierci, a ciebie nauczę gwiazdy liczyć!—Nie, nie nie chcę od ciebie, wołał Obłoczynski, wychodź! i znowu go zaklinał, i znowu kropił. — Aj! aj! aj! nie lój warem, nie lój, wrzeszczał diabeł! Bo widzisz moje dziecię, woda święcona parzyła go jak ukrop.— Zaraz wyjdę, zaraz; ale gdzie mi się podzieć; pozwol księżu włazę ot tu niedaleko, w tłustego wieprza. Obejrzymy się wszyscy, aż to tłusty organista wlecze się przez cmentarz. Poznał Obłoczynski chytróć diabelską: — Nie, nie pozwalam! odpowiedział, nie pozwalam! idź tam z kądeś przyszedł i gdzie tobie Bóg naznaczył mieszkanie! Wychodź wnet!—Nie chcę ja do piekła księżulu, nie chcę! oto wiesz co? pozwol włazę w zgniłą kłodę tam na drodze pod Kurzeńcem. Miarkował znowu Obłoczynski, że szatan myśli go o-

szukać — dziś niedziela, powiadał nam, dzień targowy, ani chybi, chłopek pijany leży na drodze, i zły duch chce tylko odmienić kwatere. — Zgadłeś klechu! zgadłeś, krzyczał zniecierpliwiony szatan! No to wyjdę, ale daj mi czasu, wyjdę za rok, dam cerograf na to. Obłoczynski na żadne terminum nie zgadzał się, a coraz bardziej modlitwą, kropidłem i świętymi słowami diabłu dokuczał; to koniec końcem musiał czart ustępować i wyjść z nawiedzonego. A że bywały zdarzenia, iż szatan niaby wyszedł, a tylko się przytulił, więc kapłan zaklinał aby dał znak swojego odejścia. — Dobrze księżulu, wyjdę przez palec, przez oko, widocznie: to się znaczyło, że na pożegnanie, skrzyłby palec, lub oko biednemu nawiedzonemu by wyłupił. — Nie szatanie! wyjdź jakieś wszedł! *Conjuro te!* Łaciny najbardziej diabeł nie lubił, choć sam ją *expedite* umie. To już dalej nie dotrzymując placu, raptem zazgrzytał zębami, zawył i zakręcił wichrem na piasku; a biedny nawiedzeniec, co przed chwilą cudów dokazywał, leżał jak nieżywy u nóg Obłoczynskiego. — Wszyscy potem za promotorstwem tego świętego ojca odmawialiśmy litanią, dziękując Bogu za cud wyraźny i

wyzwolenie duszy chrześcijańskiej z mocy czar-
towskiej.

Tak przeżyłem szczęśliwych lat z dziesiątek, mówił dalej mój dziadek, siadając ze mną na o-
wym ogromnym kamieniu, miejscu zwyczajném
odpoczynku, i dogadzając żywój mej chęci słucha-
nia, która wzajemnie jego chęci opowiadania dzie-
jów dawniejszych, chęci tak zwyczajnej starcom,
dogadzała; gdy razu pewnego ze stron dalekich
przywieziono opętańca, o którym powiadano, że
był szlacheckiej kondycyi, że nawet nie dawno od-
prawił pielgrzymkę do Rzymu, co tém większą
nabawiało nas ciekawością, i ksiądz Obłoczynski
tém świątobliwiej przygotowywał się do téj pra-
ktyki. Ależ to w nim musiał być niechybnie sam
Lucyfer! Rzecz tylko dziwna, jak się dostał do tak
bogobojnego człowieka? Jakiż uparty! jakiż blu-
źnierca! zimny pot lał się z czoła biednemu kapłano-
wi. Potrzykroć czynił najsilniejsze zaklęcia; wszyst-
kich nas obecnych wzywał abyśmy się modlili, co
też i czyniliśmy bez ustanku; organistę jako na-
łogowego opilca, a zatém będącego w grzechu
śmiertelnym precz odprawił, słowem, pracował
jak mógł najgorliwiej, i nakoniec uchodził szata-

na— Jezuito! krzyknął bies wściekły, Jezuito! wychodzę, wypędzasz mię, wypychasz gwałtem! ale pamiętaj Jezuito! że wkrótce ciebie i twoich braci z waszych klasztorów, z waszych majątków, z waszych dostatków wypędzą: z waszych kościołów wypchną, z waszych sukienek wywleką; pamiętaj na moje słowa! pamiętaj Jezuito! Wiem kichnął opętany, aż mu się krew nosem rzuciła i padł jak bez duszy. — Zgin, przepadnij do piekła szatanie! krzyknął Obłoczynski, a z tobą razem niech przepadną fałszywe twoje prorocтва! Amen! zawołaliśmy wszyscy, i zwyczajną wnet zaczęliśmy litanią.

Niestety! czart wiedział co wyrzekł. Ledwo lat dwie potem upłynęło, gdy raz do izby gdzie rożaniec z czeladką odprawiał, wszedł do dnia ksiądz Obłoczynski. Zdziwiły mię tak ranne jego odwiedziny: *Laudetur Jesus Christus! In secula seculorum!* odpowiedziałem! — A, nie przeszkadzam, owszem pomogę, proszę kontynuować rożaniec; więc tak i zrobiliśmy. Po ukończeniu, zapytał mię Obłoczynski, czy pamiętasz waszec pannie Macieju, tak mię bowiem w prostocie serca i poufałości przyjacielskiej nazywał, czy pamiętasz

waszeć co powiedział ostatnim razem szatan gdy
 go z nawiedzeńca wypędzał? czy pamiętasz co pro-
 rokowa naszemu zakonowi? — Przypominam rze-
 kłem. — Otoż się i ziściło. Niema już Jezuitów! —
 Jak to? zawołałem *Reverendissime?* Nie rozumiem
 co mówisz! — To się ma znaczyć, że Klemens XIV
 skassował nasz zakon; bullę jego dziekan wczoraj
 wieczorem przywiozł do naszego klasztoru; dziś
 nam ją *ex officio* ogłosi: kościółek nasz i klasztor
 przyjmie w swoje zawiedowanie a nam rozejść się
 dozwoli. Przychodzę więc do waszeci panie Ma-
 cieju, prosić małego kątka dla mojej stariej głowy
 i kawałka chleba. Będę ci pomagał w twojej go-
 spodarce, będę twoich dzieci i twoich chłopków u-
 czył Boga chwalić, i będę jego łaski w codzien-
 nych modlitwach dla was prosił. — Ojcze! rze-
 kłem płacząc i całując, jak zwyczajnie to czyniłem, jego
 ręce, ojcze! każdym kęsem, każdą odrobiną chle-
 ba mojego podzielię się ochotnie z tobą: mieszka-
 j z nami! żyj z nami! Bóg błogosławić będzie ubo-
 giej chatce mojej, gdy święty sługa jego w niej
 przemieszkiwać będzie! Płakaliśmy obadwaj; uści-
 skałmę ksiądz Obłoczynski! — Tak Bóg chciał, rze-
 kł: tego widać wymaga dobro naszej Religii świętej;

oby wszyscy bracia moi z równą co ja, ten cios zniesli cierpliwością! Spodziewałem się, że waszec mnie przyjmiesz chętném sercem; ot przynajmniej będę mógł codzien odprawić mszą w kościele, w którym przez tyle lat Boga chwaliłem; i pocieszać się z waszecią panie Macieju, którego jak brata kocham. Uścisnęliśmy się raz jeszcze i poszedłem z moim nowym gościem do klasztoru.

Do ostatniej tam chwili, jednostajny chowano porządek, i jednostajnie dotrzymywano reguły. W zwyczajnych godzinach codzienne odbywało się nabożeństwo; na twarzach kapłanów najmniejszego nie dostrzegłbyś znaku szczególnego wzruszenia, lub wewnętrznego niepokoju; w podwojonej tylko widocznie gorliwości w modlitwach, świadomi rzeczy, widzieliśmy wyraźny dowód głębokiego smutku uciekającego się do Boga i szukającego ulgi w zupełnej uległości jego świętym wyrokom.

Fatalna ta nowina rozbiegła się już po sąsiednich wioskach, i w samym tu miasteczku: tłum więc ciekawego ludu, choć w dniu powszednim napełnił kościół. Po ukończeniu nabożeństwa, stanął ksiądz dziekan *pontificaliter* ubrany na stopniach wielkiego ołtarza, i zgromadziwszy około siebie księ-

ży, odczytał bullę papieżką, kassującą zakon *Societatis Jesu*, to jest Jezuitów (*). Wnet po ukończeniu ksiądz Obłoczynski jako najstarszy wiekiem i rektor tutejszego zgromadzenia, *ex abrupto* począł mówić oracyę pożegnalną. Obowiązywał on braci swoich do zniesienia bez szemrania woli Bożej, objawiającej się wyrokiem głowy chrześcijańskiego kościoła; zaklinał aby przestając być zakonnikami, pamiętali że są kapłanami, i nie przestają nosić na sobie piętna sług świętej Chrystusowej religii, a zatém że obowiązani są zawsze do dawania przykładów wszelkich cnót chrześcijańskich, a teraz szczególniej cierpliwości i pokory; żegnał potém nas jako pasterz trzodę, którą opuszcza. Płakał lud zgromadzony, płakali kapłani i my wszyscy; ksiądz dziekan nawet od łez wstrzymać się nie mógł. Nakoniec ksiądz Obłoczynski padł na kolana przed ołtarzem i wszyscy za nim bracia jego; przez chwilę tak cicho i w głębokim zebraniu ducha pomodliwszy się powstał, zaintonował *Te Deum Laudamus*, wziął krzyż w ręce, wyszedł z kościoła na czele wszystkich kapłanów, zamknął drzwi kościelne, i

(*) Z miejscowego podania.

klucze w ręce dziekana złożył. Rozeszli się księża w rozmaite strony, to do rodzin swoich, to do Wilna, to na kapelanów. Mój ksiądz Obłoczynski, wzięwszy krucyfix w rece a brewiarz pod pachę: *omnia mea mecum porto*, panie Macieju, rzekł do mnie, i poszliśmy tutaj.

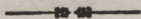
Odtąd aż do śmierci, składał on z nami jedną rodzinę; szanowaliśmy go jak ojca, on kochał nas jak dzieci. Oto między kilką temi sosenkami grób jego; wybrał on sam i poświęcił ten gajek na cmentarz dla chłopków naszych, i sobie na nim miejsce przeznaczył. Niech w Bogu spoczywa! *Requiem aeternam dona ei Domine*; wkrótce obok niego i mnie złożycie: złożycie obok przyjaciela, wśród poddanych i sług moich. — Ale co mówię? źle nazywam, wśród braci i dobrodziejów naszych, bo moje dziecię, kto nam chleb robi i dla nas w pocie czoła pracuje, to nasz brat, to nasz prawdziwy dobrodziej.

Te i tym podobne rozmowy, wlewały w duszę moją najżywsze przywiązanie do kochanego dziadka: jego wiara, wspomnienia, przesady, cnoty i zwyczaje, razem zlane utworzyły we mnie zapas uczuć i wyobrażeń do których przylgnęło młodzień-

cze serce moje, i które po wielu latach otrętwienia z głuchym żalem budzą się w niem na nowo! Ubiegłszy znaczniejszą część drogi życia, lubimy u kresu jego zwrócić pożegnalne spójrzenia na przeszłość naszą; i dumając nad każdym osobliwszym tój drogi wypadkiem, spocząć nakoniec ostatniem wytchnieniem pod strzechą rodzinnego gniazda. Rzekłbyś że dusza nasza przygotowywa się tym sposobem i pragnie z tegoż samego siedliska ulecieć w nowy, nieprzebyty szlak wieczności, na które z łona jój spadła, i tym sposobem połączyć w jednym punkcie, pierwsze z ostatniem ogniwo łańcucha żywota naszego.

Z takiem to uczuciem poglądam ja na domek dziada mojego, i powtarzam z rozrzewnieniem słowo warmijskiego wieszczka:

„Domku mój miły! widok mię twój krzepi,
„Wszędzie mi dobrze, a w tobie najlepiej.”



cze serce moje, i klóre po wielu latach otwiera
 mi z głuchym szaleń dźwiękiem, w którym na nowo
 Ubiegłszy zapomniałem część drogi życia, ludziny
 kresu jego zwrócić pożądam spojrzenia na prze-
 szłość naszą; i dumając nad każdym osobliwym
 tej drogi wypadkiem, spęczę nakłonić ostatni
 wytknięciem pod strzechą rodzinnego gniazda.
 Będąc w dusze nasza przygotowywać się tym spo-
 sobem i pragnie z tegoż samego siedziiska ulecieć
 w nowy, nieprzeżyty szlak wieczności; na którą
 z łona jej spada, i tym sposobem porzucić w ja-
 dym punkcie, pięciwazę z ostatniem ogniwem, ja-
 cucha żywota naszego. *Je n'oubliera rien*
 Takim to uczuciem poglądną ja na domek
 dziada mojego, i powtarzam z rozważaniem
 słowa wamińskiego wieszczka; i mówiam: „
 „*Domku mój miły! widok mój twój krewi,
 „Wszędzie mi dobrze, a w tobie najlepiej.*”
 prawdziwie

Tak i tym podobne rozmowy, wlewały w duszę
 moje najżywiez przywiązanie do kochanego dziad-
 ka: jego wiara, wspomnienia, przesady, cnoty i
 zwyczaje; razem złane utworzyły we mnie za-
 uczucie i wybrałość do których przyłączyło się

Antoniemu Edwardowi

ODY W O D W I

WSPÓŁCZESNYM WYDANIEM

w którego sercu znalazłem równy mójemu zapas
uczuci i wzniesienia z jakich się składa ten

BORUNY.

Wydane w Warszawie w roku 1840

Wydawnictwo Księgarni

Wydawnictwo Księgarni

Wydawnictwo Księgarni

I.

Protektora, słynącej matki Boskiej w Bo-
runach, wzrastało i urosło się w szkołach kilka-
set czcziwie dzieci. Rodzice z dalszych i z bliskich
okolic Oszmiany, przywieziony tu i zostawiając swych
synków, prowadzili ich przed ołtarz Bogarodzicy,
ze łzami błagali Jej łaski, zlewali na ich dziecinną
głowy czułe swe błogosławieństwa, i ze spokoj-
niejszym sercem wracali potem do domu; nieraz

Antoniemu Edwardowi

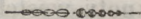
O D Y Ń C O W I

WSPÓLUCZNIOWI BORUŃSKIEMU,

w którego sercu znalazłem równy mojemu zapas
uczucie i wspomnień z jakich się składa ten
Obraz, poświęcam go i przypisuję

Antor.

B O R U N Y.



Dalekich dzwonów dźwięk mię dolata,

Kraj przypomina obrazy Litwy,

Wspominam moje dziecinne lata,

Mówię dziecinne moje modlitwy!

ODYNIEC. — *Dumanie we Włoszech.*

I.

Pod opieką słynącej cudami Matki Boskiej w Borunach, wzrastało i uczyło się w szkołach kilkaset corocznie dzieci. Rodzice z dalszych i z bliskich okolic Oszmiany, przywiozwszy tu i zostawując swych synków, prowadzili ich przed ołtarz Bogarodzicy, ze łzami błagali Jój łaski, zlewali na ich dziecinne głowy czułe swe błogosławieństwa, i ze spokojniejszym sercem wracali potem do domu; nieraz

z ostatniego za Borunami wzgórza, z którego krzyż już tylko kościoła dojrzeć można było, zapłakana matka wysiadła raz jeszcze z pojazdu i gorące modły przesyłała ku miejscu, gdzie najmilszą sobie istotę, gdzie duszę swęj duszy zostawiła; gdy tymczasem, rozdzielony żak od mamuni, płakał stojąc na ulicy, i poglądał na drogę na której pojazd zniknął, i na której tym sposobem spotykały się wzajemnej ich tęsknoty westchnienia!!!

Zdarzyłoż się któremu z moich boruńskich kolegów być teraz w opustoszałych Borunach? O! nie jednemu zapewne. Lecz czyliż kiedykolwiek z równém mojemu uczuciem poglądał tu na ślady swęj młodości? czyliż z równym urokiem smętnego rozrzewnienia, upadł na kolana przed tym samym obrazem, przed którym niegdyś w ordynku klęczał? Czy rozmierzył duszą tę przestrzeń i różnicę czasu, i tę jeszcze większą różnicę młodzieńczego i starzanego przygodami życia, serca? Czy uczuł głęboko wewnątrz siebie to politowanie nad sobą, którym człek oskarża życie przed dawcą życia, i w którym wzywa na siebie jego przychylnego wejrzenia, jak dziecko wzywa przybycia oddalanej a czuwającej nad niém matki.

Boruny leżą w lesistej części powiatu oszmiańskiego:

„Gdzie niedźwiedź miał legowisko,

Lub gdzie łoś swe pastwisko,

Tam grzesznik pokarmem żyje

Niebieskim; etc.

powiada stara pieśń na cześć cudownego Boruńskiego obrazu ułożona. Puszcza to więc była zapewne głucha natenczas, gdy pokorni zakonnicy Ś. Bazylego, obrali tu sobie odludne siedlisko. Wspaniała potem świątynia i obszerny klasztor wznosił się na tym miejscu słynącym jż szczególniejszemi łaskami Matki Boskiej; a nakoniec pustynia ta ożywiła się zbiorem dziatwy wyśpiewującej co niedziela historią i chwałę miejsca tego.

Z wyobraźnią mocno wzruszoną, z rozrzewnionem sercem, wyszedłem na rynek boruński z kościoła, do którego się prosto z pojazdu udałem. Mrok właśnie padał pięknego letniego wieczora, i zdawało się mi, iż się zaraz wysypie ze wszystkich domków otaczających rynek, mnóstwo wesołych malców; że się rozlegną huczne ich hałas; że echa odbija zaraz taktowe uderzenia piłki o wieże i mury otaczające kościół; że się zwolna wysuną

z klasztoru księża professorowie, a nawet i sam ksiądz prefekt dobrodziej; że przypatrując się czas niejakiś z upodobaniem temu powszechnemu zamieszaniu, temu żywemu obrazowi wesołości, młodszy szczególnież z nich i żwawsi, nie dotrwają nakoniec, jako i nigdy nie dotrwali w powadze swego urzędu i stanu, a złączą się w równość braterską i podzielą z całego serca rzeźwe i niewinne studenckie swawole! — Ileż to razy bowiem ksiądz fizyk naprzykład, albo ksiądz wymowy, zawinawszy habit około bótów, biegł jak łoś do mety, albo przylepił szeroką swą łapę do muru na cel kozlistej piłce, lub z pałką na ramieniu zamiast karabina, musztrował rotę wybranych, i równie jak on uzbrojonych rycerzy!!!

Ale oczekiwania moje, omamieniem wzbudzone, nie wywołały mi tu przeszłej ani odmieniły teraźniejszej rzeczywistości. Domki w pół porozwalane nie roily się dziatwą; po cmentarzu przesuwiał się mnich ponury; po ulicach przewlekała się obdarta hołota; na rynku tylko pod kaplicą siedziała baba w łachmanach, i wśród głuchego milczenia, mruzczała modlitwę wieczorną, przypadającą szczególnie do tego obrazu nędzy i żałoby. Miałażby to

być półtora wieczna Raducina, pomyślałem, niegdyś postrach i zabawa studentów? Nie zapewne! ale zajmując tu zwyczajne i ulubione jej miejsce, postać, rysy i czyny Raduciny dawniej, rzuciła mi na wyobraźnię.

Była to prawdziwa Megmeryllis, boruńska: baba stara ale czerstwa i wysoka, często półpijana, często półwaryatka. Kiedy szeroko rozpuściwszy ła-chmany, szła z podniesioną głową przez rynek, czarnym wywijając ożogiem, i chrapowatym głosem wyśpiewując jakąś nienabożną piosnkę, uciekała dziatwa z drogi, krzycząc, czarownica! czarownica Raducina!! Ale kiedy spokojnie i smutno siedząc wieczorem na swém pod kaplicą kamieniu, przywabiła ktorego ze śmielszych swych faworytów, i ciekawe mu zaczęła prawić historye, o upiorze który oto tu z tego samego sklepu z pod kościoła co noc wyłaził, i szedł prosto na mogilnik, a potem znowu wracał do sklepu, jak mu potem głowę ucięli, i już potem nie chodził; jak leciała szarańcza aż słońca widać nie było, a na skrzydełkach u każdej po żydowsku napisano było, że to kara Boska; jak było powietrze i wszyscy poumierali; jak potem ten kościół murowali i Ra-

ducina cegiełki podawała, a mularz jeden zleciał z dachu, ale cudem Matki Boruńskiej powstał z ziemi żywy i zdrowiuteński; a jak to wszystko było, zawsze lat sto... Gdy tak opowiadała, to wnet gromadziło się corazliczniejsze kołko słuchaczów; zapominano Raduciny czarownicy, a biednej staruszce Raducinie w czarne jej torby i kieszenie, miedziaki pirogi i obwarzanki pakowano. — „Dziękuję wam Jasiu! Antosiu! Leonardku! dziękuję wam, mówiła ona, dajcie łapki, powrócę wam za to. Wnet kilkanaście rąk wysuwało się naprzód: niespokojna ciekawość malowała się na czerwonych policzkach malców. Raducina brała każdą z kolei rękę, a patrząc w oczy ze złośliwym uśmiechem, improwizowała prorocтва: „Ty będziesz!!! O! tobie będzie dobrze na świecie! ty będziesz ekonomem.” Baba wiedziała że to pan marszałkowicz. — Antoś ekonom! Antoś ekonom, krzyknęła cała czereda, i pan marszałkowicz spuścił nos na kwintę. „A ty! ty choć sobie teraz chudy pacholek, szlachetna z Polennik, ty będziesz... jenerał” — Leos jenerał: wiwat Leos jenerał! ozwał się znowu skaczący chór figurantów tej sceny. — A ja? a ja? wołają wszyscy razem, tłoczą się jeden przed dru-

gim i gwałtem naprzód wyciskają dłonie. „Ty! ty będziesz wotywę śpiewał, *Oremus*.” — O reverendissime Jasiu! reverendissime! winszujemy, brawo! *Oremus*, *Oremus*! i Jaś nie wiedział czy cieszyć się czy płakać nad swém przeznaczeniem! „A ty paniczku! tobie w sobotę pieniek, a w niedzielę pirogi!” Raducina niedawno wróciła z wędrowki okolicznej, wszędzie po domach rodziców przyjmowano ochoczo i uprzejmie babę boruńską, wiedziała więc zapowiedzianą w niedzielę bytność mamuni Tadeuszka, i wiedziała że Tadeuszek naczelny wisus, pewnie nie ujdzie sobotniego rozrachunku. — Nagle wstaje baba, prostuje się, przekrzywia się okropnie, i ryknie chrapliwie:

„Pewny człowiek bogaty,
 „W złoto, srebro, szkarłaty,
 „I zbyt kosztowne szaty,
 „Miał aksamit, purpury,
 „A na mnie łąty, dziury! (*)

Postać, mina, głos i ożog na którym się wsparła, powraca Raducinę czarownicę; spłoszona zgraja rozbiega się w mgnieniu oka, i nie jeden zuch

(*) Pieśń o Świętym Łazarzu.

przełękniiony zasnąć nie mógł, słysząc jak ponuro i zcicha do północy jeszcze dzieje Łazarza z pod kaplicy, jak z grobu wyciągała.

Zgasły dnia blaski, niebo się gwiazdami osypało; noc piękna i cicha nowemu dumaniom moim dodawała powabu, a każde miejsce, każdy krok mój, złote chwile dzieciństwa odnawiały mi w pamięci. Tędy, przez gumniska i płoty stawał co ziema groźny z lodu okop; ileż kłębów śniegu wytaćzać trzeba było, aby go wznieść i umocnić należyście! Przed nim na straży, jak przed zaklętym pałacem Amadisa, stał potężny olbrzym; głowa sfinxa, z dwóch czarnych węgli zrzenica, tułub Bachusa, a nogi rodyjskiego kolosu; w rękę trzyma wzniesioną maczugę Herkulesa, i biada temu kto się jój dotknie! Co wieczór, gdy odwilżone powietrze łatwiej dozwalało lepić śnieżki i lodówki, okop ten mocne szturmy wytrzymać musiał. Rynek i ulica Mińska atakuje ulicę Wileńską; z jednej strony dowodzi pan Leon, świeżo przez Raducinę mianowany generał; z drugiej pan Justyn, podżyły infimista, trzecieletni weteran klasy Iszėj, niemocny wprawdzie na dowodach, że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową,” ależ za

to biegły gracz w matony, pierwszy rycerz na ślizgawce i wódz w śnieżki najdzielniejszy.

„Wysuwa się ochotnik z téj i z owéj strony,
Z razu poszły na udry, potem na plutony, (*)

Grad śnieżek krzyżuje się w powietrzu, i lubo zmrok wieczorny zacienia walkę, zapalczywość jednak, hałas, krzyk i zamieszanie powszechne coraz wzrasta. „Postrzega pan Stefan, że sprawa po diable (**), że pan Leon grassuje po jego rotach, jak kawalerzysta po rozbitéj piechocie, że większa część jego komendy w śniegu się tarza, daje więc hasło odwrotu! Za okopy mości panowie! za okopy! krzyknął: któż wie? może niebezpiecznego nieprzyjaciela na zasadzkę prowadzi?... Ale w tym momencie błyska od klasztoru światełko, znajoma to latarka!!! Ksiądz prefekt! ksiądz prefekt! Przestroga ta oblatuje obie strony: przerwana bitwa; światełko się posuwa!... wnet ostatni a obfity grad lodówek leci z obu stron na ten cel jaśniejący zdaleka... i wszystko pierzchnęło!!! a ksiądz prefekt z kilkakrotną kontuzją

(*) Amfitryon Zabłockiego tłumaczenia.

(**) Tamże.

i ze zbitą latarką, znajduje pustym plac pobojo-wiska. Następuje rewizya po kwaterach; próżne usiłowanie znalezienia winowajców! Siedzą wszędzie malcy spokojnie około stołów, a zatknawszy uszy i zamrużywszy oczy, wrzeszczą na zabój:

„Byli tacy, byli tacy Aniołowie, Aniołowie, Aniołowie. którzy wojnę przeciw Bogu prowadzili” i t. d. (*).

II.

Ostatni w Litwie pustelnik, żył przed dwudziestą laty pod Borunami. Zaledwo mnie, na liczbę kroków świadomemu odległości jego pustelni od miasteczka, udało się wynaleźć to miejsce. Bujne drzewa wzrosły na czystym niegdyś jego ogródku, pasorzytne zielska rozwlekły się po darninie szczupłego dziedzińca, a mały kopczyk z gruzów, oznaczał mogiłę zapadłej chatki. Księżyc łagodnym blaskiem oblewał ten małecki krajobrazek, wśród którego ja wędrownik daleki, za duszę przyjaciela mych dni dziecinnych, szczerą a prostą modlitwę „wieczne odpocznienie” zmó-

(*) Historia kościelna na klasę Iszą.

wilem. Poczciwy starzec! jakże on kochał działwę boruńską! Był on sędzią naszych spraw, a często poręcznikiem u pana dyrektora, lub u księdza prefekta; on przewodniczył w zbieraniu na zapas zimowy orzechów, jabłek i gruszek leśnych, których u siebie dla swych codziennych gości niewyczerpany miewał dostatek. To też gdy po raném powitaniu wschodzącego słońca pieśnią: „zawitaj ranna jutrzeńko” którą echa do miasteczka donosiły, ojciec pustelnik pokazał się na ulicy, otaczała go dziatwa w około, a skacząc i witając radośnie, przeprowadzała do kościoła na mszą studencką, na którą on nieodmiennie codzien przychodził. Na twarzy jego sędziwej, gęstą i siwą ozdobioną brodą, widziałbyś natenczas najprawdziwszy wyraz gorliwego uniesienia i głębokiej wiary, jaką prosta dusza jego pałała ku Bogu; łzy toczyły mu się po białych licach, gdy klęczący z podniesionemi rękami łączył głos swój drżący z chorem dziatwy śpiewającej: „*Święty* „*Boże! Święty mocny! Święty a nieśmiertelny!* „*Zmiłuj się nad nami.*” Tak wznosiły się razem w niebiosa modły z obu ostatecznych kresów życia ludzkiego, nadziei życia i nadziei po życiu:

modły dziecinnych błagań, uwielbienia i chwały, czyste, żywe, błyszczące, jakby brylanty na ozdobę korony Matki Boskiej na jej ołtarz sypane, i modlitwa zebrzącej pokory, skruchy, żalu, a może i pokuty, głęboka a ciężka, jakby bryła gładzi z trudem podjęta, i na stopniu ołtarza w ofierze złożona.

Zresztą, modły pokutne ojca Onufrego nie były zapewne gorzkiemi. Zgryzota sumienia nie wywlokła go z pośród ludzi na samotność, ani truła tej samotności; przeszłość jego powszednia, że tak powiem, nie szła po ostrych szczerbach życia, któregoby wypadki kończąc się pustelnictwem, mogły służyć za osnowę romantycznych powieści. Szlachcic, za młodu żołnierz, potem dworzanin jednego z magnatów litewskich, nakoniec gospodarz na małym własnym kawałku ziemi, ożenił się on i pędził z przywiązaną do siebie żoną, życie spokojne obyczajem prostej i poczciwej szlachty naszej, a obyczajniejszej polorem, w rozmaitych kondycjach które przebył nabytym. Pocięcha podeśłego ich wieku, nadzieja starości, synek jedyny, wychował się im do lat siedmiu rzeźwo i zdrowo. Hasał on raz na koniku po polu, rodzice nań

z wiśniowego ogródka z czułym uniesieniem patrzyli. „Tęgi chłopak! powiadał ojciec — Kochane dziecko! mówiła matka: cóż z niego będzie? — Będzie pocziwy, człowiek Teresiu! oddamy go do szkół, — A potem? — A potem jak się wszystkiego wyuczy powróci do nas. — A potem moje serce. — Potem, a moja duszko!... cóż potem? dwołów niema teraz takich, w jakich ja za młodu służywałem: do wojska!.. — Jednego jego mamy, a któż naszą starość dochowa? — Więc potem, tak wypada moja duszko, ożenim go. — A potem? — Ha! potem, śmieszna jesteś moja Teresiu; potem będziemy wnuków kołysać, Antoś będzie gospodarzyć, pracować będzie na swoje dziatki i na swoje rodzice. — A potem, moje serce, będziemy żenić naszych wnuków. — Oho! moja duszko, tybyś chciała żenić aż do siódmego pokolenia! Nie moja Teresiu! potem będziemy starzy, ty będziesz wnuczkom lalki ubierać, a ja wnukom będę koniki strugał, i będziemy spokojni i będziemy szczęśliwi! — Tak będziemy szczęśliwi! powtórzyła żona w upojeniu macierzyńskiego rozrzewnienia, będziemy szczęśliwi... Wtém, ach! o Boże! krzyknęła nagle i padła bez ducha! Konik Antosia

ułał się jakiegoś krzaku, śpiął się raptem, zrzucił jeźdźca i poleciał jak strzała . . . Matka już więcej nic nie widziała, ale ojciec we мгnieniu oka przeskoczył płotek ogródka, i biegł co tchu za koniem, który ciągnął za sobą ukochanego Antosia, uwięzłego za nogę w strzemieniu; nakoniec koń ugrzązł w błotku, i nieszczęśliwy ojciec dopadł syna zbitego, krwią zlanego, i nie dającego znaku życia!!! Otoż nadzieje ludzkie! oto szczęście ludzkie! — Zazdrośny człowiekowi, niewidomy wróg rodzaju naszego, szatan, czatował zda się na ostatnie słowa cieszącej się matki, na jej najdroższe nadzieje! „Tak będziemy szczęśliwi,” chwycił te słowa w swoje szpony, zgniótł je zajadle, zgruchotał i cisnął pod nogi . . . Nieśtety! już się one nigdy odtąd w tych samych ustach nie powtórzyły.

Przyniósł drżący i zapłakany ojciec ukochane swe dziecię do domu i złożył na łóżku, przyniesiono z ogródka żonę, ocuciła się wkrótce, a pierwsze jej słowa były: *Syn mój! mój Antos!* Wbiegła do drugiej izby, gdzie schylony nad łóżkiem mąż jej tamował krew z ran Antosia i cucił go wszelkimi sposobami: podjął on głowę na krzyk

żony, stanęli oboje nad synem jak wryci, i spórzeli na siebie wzajemnie!!! Ach! ten wzrok, którego wyobrazić nie potrfię, ten wzrok rodziców nad trupem swojego dziecka! nie wyobrażaj go także czytelniku, jeżeli jesteś ojcem, abyś sobie wielu bezsenych nie przyczynił nocy. Wzrok ten przebił ich do głębi, wstrząsł całym ich jestestwem, dobył nakoniec łez krwawych z osłupiałej źrenicy, chatka rozległa się rykiem obojga rodziców i jękiem przywiązanej czeladki... W lat kilkadziesiąt potem, ojciec Onufry opowiadający tę chwilę męczeńską swojego żywota, znieść jej obrazu nie mógł; przestawał mówić, ciężkie westchnienia tamowały mu oddech i krępowwały język, i ledwo po dłuższej chwili osłupienia, łyzy rozwiązywały mu usta, i wolniej znowu oddychając, kończył opowiadanie.

Jednakowoż Antos odżył, ale radość ztąd żywa rodziców, zmieniła się wkrótce na ciągły smutek, tak jak gwałtowne zabicie się ich syna, na ciągłą mu przemieniło się chorobę. Uderzone niebezpiecznie w piersi, schło dziecko i niszczało widocznie; próżno codziennie i doktorskich i domowych używano leków. Niekiedy błysnęła na-

dzieja: chłopiec na dni kilka polepszał się; natenczas orzeźwiało się i rodziców życie, wędniejące z nim razem; ale gdy rychło znowu wróciła mocniejsza choroba, wracał wnet razem coraz wzmagający się smutek. Niespokojna matka tuliła do łona ukochane swe dziecko, i koła jak mogła jego cierpienia; niekiedy trzymając je na rękę padała przed obrazem Matki Boskiej, a łzami i modlitwą boleść macierzyńską Maryi przy śmierci Syna na krzyżu przypominała; to znowu ojciec biorąc chorego z rąk matki, nosił go, pieścił, całował, własne jakby mu zdrowie chcąc przelać. Chłopczyk zapominał natenczas o swojej chorobie, obejmował szyję ojca, kładł bladą główkę na jego ramieniu i cieszył go mówiąc: „Nie płacz ojczel! ja zdrow będę, mnie już lepiej.” Ach! natenczas krajało się serce ojca niemającego żadnej nadziei, a jednak zdawało mu się, że śmierć nie zdoła mu z rąk wydrzeć syna, i dla tego nosił go tak zwieszonemu na swych piersiach jak najdłużej, i z trudnością składał na łóżko od którego ani na krok nie odstępowali oboje. — Nakoniec matka, życiem własnym do życia dziecka przylgnięta, bezustanną gorzką troską dręczona, bezsennemi no-

cam i zmordowana, sama wpadła w chorobę, i obok syna zaległa łóżko. — Albo daj mi Boże wstać z nim razem, lub z nim razem umrzeć! — wołała niekiedy, i codzien słabiejąc los swój zgadywać się zdawała.

Wśród tak smutnego stanu rzeczy, pewnego wieczora chorzy w drugiej izbie leżący, usłyszeli w pierwszej: „*Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus*” i zaraz potem: „*Święty Justyn pozdrawia!*” — Kto tam? odezwała się słabym głosem gospodyni. — Podróżna, biedna uboga: chodzę po świętych miejscach, po cudownych, prosząc Boga za zdrowie moich dobrodziejów; wracam z Miadzioła od Ś. Justyna, a idę do Borun. *Kyrye elejson, Chryste elejson!* i t. d. Zwlekła się natychmiast chora z łóżka, i wszedłszy do pierwszej izby, ujrzała stojącą babę starą, w ubiorze zwyczajnym wędrujących dewotek. Półpłaszczk gruby sukienny, czarny, dobrze wytarty, z pod niego długa koronka, na końcu której krzyżyk i kilka medalików mosiężnych; na piersiach duże szkaplerze, a z ramienia jakby znak widomy cechu żebrackiego, od którego ją ubior odróżniać zdawał się, torba łałana wprawdzie, lecz dobrze pękata, i kij

podróżny, jakiby przystał raczej silnemu parobkowi, niżeli ubogiej i słabej niewieście; do tego kaptur na głowie trochę na bakier wciśnięty, spójrzenie śmiałe i ciekawe, a postać wysoka i prosta. Figura taka w końcu ciemnei izby stojąca, ponurym głosem mruczac modlitwę, témże samém uczuciem trwogi i przerażenia napełniła chorą, jakim nieraz w postaci czarownicy studentów boruńskich nabawiała. Była to bowiem znajoma nam Raducina, w podróżnym a uroczystym swym ubiorze, ze świątobliwych wracająca wędrówek, które corocznie w rozmaite strony, nie tak dla dewocyi jak raczej dla odwiedzenia znajomych dworów, zebrania zapasu nowinek na rok cały, i sowitěj na odpustach jałmużny, odbywała. — Ach! moja babko, pomódl się za zdrowie mojego syna, — przemówiła ośmielona pani Onufrowa. — Dobrze dobrodziko: ale zdaje się że i dobrodzika nie bardzo zdrowa jesteś! — odpowiedziała Raducina — Tak moja babko! ale mniejsza o mnie! — Pan Bóg z nami, dobrodziko, jak to mniejsza? pomodlę się i za matkę i za syna, a mam modlitewkę doświadczoną; tylko dobrodziko opowiedz mi o chorobie, jak co jest? i skąd licho się

wzięło? Może kołtun, może czary, uroki? — Nie moja babko; — i tu opowiedziała gospodyni całą historią przypadku Antosia, i nawet zaprowadziwszy babę do alkierza ukazała jęj chorego. — Żle zrobiliście dobrodziko, że zaraz po przypadku nie ofiarowaliście synka do miejsc świętych: do Żyrowic, do Budy, do Borun. Oj! do Borun dobrodziko! do Borun! Nieraz widziałam sama, jak chory ledwo się tam przywłókl, a przecięż za łaską i cudem naszej boruńskiej Opiekunki, wrócił zdrowiuteńki jak rybka! do Borun dobrodziko wieście synka! — Błysnęła nadzieja, chwytali się jęj nieszczęśliwi rodzice. Po krótkięj więc naradzie, postanowiono za przewodnictwem Raduciny odbyć pobożną peregrynację do Borun i od jutra wybrać się w podróż; a tym czasem utraktowano babę hojną wiecezrą i na świeżém sianie w odrynie, wygodną na noc wyznaczono gospodę.

Nazajutrz ledwie kur zapał i zwiastował świtanie, pan Onufry już przyrządzał wóz podróżny. Wyszła i Raducina z odryny z koronką w ręku i przechadzając się po gumnisku, odmawiała różaniec, przerywając niekiedy modlitwy uwagami względem zapasów podróżnych tak dla chorych, jako i dla

zdrowych nieodbitie potrzebnych. Wyniósł nakoniec parobek schorzałego Antosia, za którym wywlekła się i słaba matka jego; oboje umieścili się na wozie, parobek siadł za woźnicę, pan Onufry obok piechotę, a Raducina na przodzie prowadzić miała tę karawanę. Już wyruszali, gdy wysypała się wierna a poczciwa czeladka, ostąpiła powóz, całowali wszyscy ręce pani, panicza, i pana, ze łzami polecali ich Bogu, i życzyli szczęśliwej drogi. Pan Onufry poruczając im swoją chudobę i domek, rozplakał się także; Antoś żegnał zapłakaną rzewnie swą mamkę, a pies *Rozbój* pełzał i łasił się około nóg panów swoich, prosząc jakby pozwolenia na drogę. Raducina usiadła na ganku pod spichrzem, oparła ręce i brodę na kiju, i kiedy niekiedy kiwała smutnie głową. Jedźmy, rzekła nakoniec, więcej od wszystkich zalana łzami pani Onufrowa, bądźcie zdrowe działki! proście Boga, abysmy do was wrócili. . . . a jeśli nie wrócimy, módlcie się za naszą duszę! — Ruszyli więc. — Zatrzymajcie psa odezwał się pan Onufry. Ujęto Rozboja za szyję, ale łagodne zawsze psisko, na ten raz prawdziwym okazało się rozbojem; warknął zajadle, wy-

rwał się z rąk trzymającego chłopca, przeskoczył zamknięte wrota i złączył się z podróżnemi. Pan Onufry nie miał już serca odpędzić go, owszem pogładził łaskawie, a Rozbój podskoczył raźnie i pobiegł szczęśliwy naprzód. Był on potem jedynym towarzyszem i stróżem pana swojego na pustyni, a faworytem i pieszczochem całej szkoły boruńskiej. O ileż go razy, swoją własną ręką głaskałem! codziennie prawie nawiedzał on swoich przyjaciół w miasteczku, zachodził nawiasem do księdza kanaparza w klasztorze, oddawał potem wizyty po kwaterach naszych, a jakby instynktem trafił zawsze tam, gdzie był świeży od mamuni transport. Położywszy natenczas pysk na kolanach malca, rozdzielającego kolegom wyborne przysmaki, czekał Rozboj spokojnie swojej porcyi, i porcy Rozboja nie była najmniejszą.

Trzeciego dnia pod zachód słońca, idąc na przodzie Raducina, upadła na drodze na kolana: zdziwieni podróżni zbliżyli się do niej i postrzegli krzyż kościoła boruńskiego, uczynili więc toż samo oboje rodzice Antosia. O! mogłyż być czyje kiedykolwiek gorliwsze modły jak ojca i matki, błagających zdrowia dla jedynego dziecka, i

w głębokiej wierze oddawane jakby osobiscie obecnej opiekunce nieszczęśliwych! Podnieśli i Antosia na wózku, i jemu modlić się kazali, ale z przerażeniem postrzegli rodzice zupełną słabość dziecka; nie miał siły zmówić pacierza, tylko konwulsyjnie chwycił za szyję ojca i matkę, i ostatnim wyrazem jedyne uczucia całego krótkiego swego życia i ostatniej swjej chwili wymówił: „Matko! Ojczy! jakże ja was kocham bardzo!!! jakże ja was kocham! . . . I odpadł na wozek. Śpiesznie ruszano ku miasteczku, w nadziei jakiegokolwiek ratunku, ale nizeli doń dobiegli, Antosia już nie było Okropny był natenczas widok tego śmiertelnego wozu. Matka nie płakała; nie łez ale życia jej ostatnie krople dosączały się nad trupem dziecka, z zsiniałą twarzą i z osłupiałem okiem trzymała ona na kolanach bladą głowę zmarłego obraniając starannie, aby się od wstrząśnienia wozu nie uderzyła. Nieszczęśliwa! była pewną, że syn jej nie żyje a piastowała go jeszcze! Ojciec, któremu ten nagły i okropny cios, ścisnął serce, usta, i powieki, padł pośród wozu pod nogi dziecka; nakoniec przerażona, i bezprzytomna Raducina, siedziała obok furmana. Widząc jej twarz bladą i

zeszłą, włosy rozczochrane, postać wychudłą i dziką, widząc jak długie i suche ręce naprzód wyciągając nagliła konia do biegu, rzekłbys, że to śmierć naładowawszy cały wóz swych ofiar, prze ich gwałtownie na mogiły.

Nazajutrz matkę obok syna na katafalku, ojca na łożku u księdza aptekarza złożono; któżby zniósł tyle razem nieszczęść.!!!

Czas, starania i religijne pociechy, któremi poczciwi zakonnicy osładzali codziennie dolę nieszczęśliwego, wróciły zdrowie ciała i niejakię uspokojenie umysłowi jego; a może więcej niż to wszystko, ktoby się spodziewał, rozmowy częste z Raduciną, która codzienne prawie jakby wiadomości od żony i syna z tamtego świata, sny mu swoje o nich, lub *zdanie się* opowiadała, sprawiały na nim ten skutek. Dobrodzieju! dziś widziałam przez sen imość nieboszczkę w ogrodzie i z Antosiem. Panie świeć nad ich duszeczkami! Oboje w bieli: [ale jaki ogród, dobrodzieju! jak raj. Imość chodzi, a kwiatki zbiera i ubiera niemi panicza: podchodzę ja dobrodzieju, daje mnie kwiatek, a jakież kwiatek? kluczyki; zanieś, powiada, memu mężowi, to ja i wzięłam kwiatek

i . . . ocknęłam się. A cóż to znaczy? koniecznie dobrodzieju, że sama z synkiem w raju, i nam daje kluczyki od raju. — To znowu widziała matkę i syna klęczących przed ołtarzem Przewidywającej boruńskiej, a zawsze w bieli, więc zawsze taki wniosek; „już to darmo dobrodzieju, taka wola Pana BOGA, żyć dłużej nie mogli, ale oni w opiece Matki Boskiej szczęśliwsi od nas, bo i w niebie, i modlą się za jegomością! W chorobach duszy, tak jak w chorobach ciała, często gdy sztuka wyczerpnie napróżno wszystkie mądre sposoby, proste lekarstwo ręką życzliwą podane, a z zaufaniem przyjęte, uleczy. Podobnież opowiadania Raduciny, tak zgodne z pojęciem i wyobrażeniami nieszczęśliwego ojca, ujęły proste i pełne wiary serce jego, i wzbudziły w nim pokorne podanie się woli BOGA, ale też razem przywiązały go do miejsca, w którym cień od mogiły żony i syna padał mu codzień na serce, i w którym codzień duszą i modlitwą z niemi obcował. Pozbył się więc łatwo i rychło pan Onufry swojej chudoby, a gdy brak uprzedniego usposobienia, przeszkodą mu był do wzięcia zakonnego habitu, zajął więc od lat kilku opuszczoną małą pustelniczą

pod Borunami chatkę, i odtąd pustynia, kościół i cmentarz składały krąg, po którym obiegało codzienne jego życie, i tą samą koleją przeszły zwłoki jego raz ostatni na wieczny obok żony i syna spoczynek.

Dumania te moje, w opowiadanie dziś zamienione, nowém westchnieniem do Boga za duszę ojca Onufrego kończyły się, gdy echo uderzenia zegara na wieży boruńskiej, oznajmiło mi północ. Wróćmy, pomyślałem, do miasteczka, złożmy znuzoną głowę w kątku, w którym się tak spokojnie niegdyś usypiało, wezwijmy świętej Opiekunki lat dziecinnych, aby usunęła z powieki troski dojrzałego wieku!... obym usnął snem słodkim, snem łagodnym, snem studenta umiejącego swą lekcję na jutro! snem, w którym ostatnia myśl wesółą zlewa się z pierwszym miłym marzeniem!

III.

Marzyć o przeszłości, czerpać słodycz z przeszłego szczęścia, jest to brać procent od kapitału szczęścia złożonego w sercu własnem. Życie ludzkie ubiega między wspomnieniem a nadzieją. Wspo-

mnienie, idzie za człowiekiem, zmordowanemu podaje czarę słodkiego nektaru, orzeźwiającego w nim siłę i cierpliwość na dalszą drogę: na przodzie nadzieja, unosząc w ręku błyszczące widmo szczęścia, ulatuje przed człowiekiem, goni ją człowiek z całej siły, i gdy mu się zdaje że ją osiąga, ona oddala się znowu jak cień fantastyczny, i człowiek goni ją znowu! . . . Tak się przybrywa na granicę życia; tu nadzieja odrywa się od ziemi, przebrywa nagle tę granicę, i staje niewzruszona w wieczności; idzie tam za nią człowiek, a ludziom zostawia . . . wspomnienie!

Jakże czystém i miłém było to, do którego cofnął mię ranek w Borunach! ranek to majowy, pogodny i cichy, lekkim tylko i wonnym chłodzony powiewem, któż nie zgadnie, że mógł być rocznicą nie jednej majówki, najweselszej chwili studenckiego życia. Życie to w całym swoim okresie, nie jest wszakże najweselszém: praca nudna i przymuszona, posłuszeństwo bezwarunkowe, oddalenie się od najmiłszych swoich, a zatem tęsknota i smutek, kara często niezasłużona, wszystko to daje dziecku kosztować jakby pierwiastków goryczy życia dalszego! Ale jak w dniu wiosny najpo-

sępniejszym, jedno błysnienie słonecznego promyka, rozpędza w mgnieniu oka chmury i rozwesela naturę, tak w wiosnie życia, jedna chwilka szczęśliwa, pogrąża w niepamięć całą dotkliwą przeszłość; orzeźwia, unosi, swawoli w dziecku, szaleje w młodzieńcu! . . . Ach! czemuż tak nie jest w jesieni roku? czemuż tak nie jest w jesieni życia?

Majówka więc. O! dzieje majówki od poprzedzającego ją wieczora zacząć należy.

Rozsypana młodzież na rynku swobodnie używa wieczora; piłka szybuje przez powietrze, ksiądz fizyk wyżej kościoła wybija ją w palanta. Walnyż to był nasz Reverendissimus fizyk! brat za brat z nami! On najlepiej wypuszczał długo-ogoniaste zmije, co dowodziło jak sam powiadał, jego biegłość w mechanice; on wynalazł wielki sposób piłek koźlistych, radząc zwijać je na gummie elastyce; on nieraz wyprosił u księdza prefekta pardon dla rozbojnika, który z za płotu kamuszkier, lub zimą kawałkiem lodu żydowi sińca na łbie posadził. — Nie wolno, powiadał, żydom mosanie, jako nieprzyjaciołom patronki tego Ś. miejsca, mieszkać w Borunach, po cóż więc włóczą się po ulicach! drażnią tylko mosanie dzieci i nie więcej! Nie bój-

cie się chłopcy, jeszcze będziemy żydów na kamieniu przed szkołami mosanie plażyć; daj pokój księżu prefekcie, to wyborny malec, dobrze się uczy, won żydzie z klasztoru! bo sam cię mosanie kijem wyłatam. — I sprawa skończona: cóż takiej przeważnej wymowie oprzeć się mogło, i co bardziej ująć dlań serca pospolitej rzeszy? Otoż ksiądz fizyk odchodząc zmordowany całowieczorną przepędzanką, spojrział na zachód, i jakby od niechcenia rzucił uwagę: jutro dzień piękny, wartoby dzieci o majówce pomyśleć. Ksiądz fizyk nigdy się w proroctwie nie myli; jutro dzień piękny, więc wnet wielka pod kościołem składa się rada, kilku z ichmość dyrektorów jęj przewodniczy, i na nięj jednomyślnością stanęło prosić o majówkę na jutro. Wyprawiona tuż w tropy za księdzem fizykiem do księdza prefekta delegacya, a wybrana ze śmielszych zuchów i mających łaskę u księdza prefekta, powraca w kwadrans z klasztoru. Krzyczą zdaleka posłowie: *Majówka! Majówka!* okrzyk się powtórzył na rynku: *Majówka!* na to hasło, pan Kazimierz arcydobosz szkolny, wie co ma czynić; bieży do kościoła, porywa z choru ogromny bęben, i waląc weń co ma siły, maszeruje po całym miaste-

czku, za nim biegnąc liczna tłuszcza głuszy huk bębna nieprzestanném wołaniem *Majówka!* zaś gdy zemdlały ręce panu Kazimierzowi, a krzykaczom zachrzypło w gardle, rozbiegli się nakoniec wszyscy do domów, padli na pościele, i każdemu śni się majówka. Ledwo nazajutrz dzień zaświtał, leniwe w każdym innym czasie chłopcy na *primus* i na *secundus*, zrywają się ochotnie z pościeli; każdy skwapliwie pakuje zapasy podrózne; wtém pan Kazimierz daje hasło w taraban, a emeryt szósto-klasista, otoczony liczną assistencyą, wynosi z kaplicy studenckiej szkolną chorągiew. Na niej z jednej strony wyobrażenie patronki szkolnej, Bogarodzicy, bogato na białym atłasie wyszyte, na drugiej zaś stronie kłosisty snop zboża, godło pło-
nów z nauki: a jak tłómaczył ksiądz professor wymowy, że snop ten oznaczać miał po łacinie: „*Disce puer latine, ego te faciam Mościpanie!*” a po polsku: „*ucz się ośle dobrze, to będziesz miał chleb!*” Około téj chorągwi tłum dziatwy coraz liczniej się gromadził, rozmaite głosy i krzyki rozlegały się po całym miasteczku, a jednoczyły się i zlewały w jedno w tłumie. Scena ta nadzwyczaj ruchawa i żywa; tu skaczą z radości, ztamtąd biegną bez pa-

mięci, wyrzucając czapki w górę i łapiąc je na powietrzu, tam się czubią i godzą, a w powszechnym wrzasku słychać pisk strojonych klarynetów, brzęk fałszywej strónki skrzypców, i pomrukiwanie jakby godzącej te spory pocziwej basetli. Otoż wychodzi z klasztoru sztab główny tej armii maroderów; ksiądz prefekt, naczelny wódz, i księża profesorowie otaczający go substytucji. Ogromnym palantem wywijając zręcznie ksiądz fizyk, jak nieuwważający na generała partyzant, uprzedził wszystkich, stanął w tłumie i głośno zawołał: „dokądże pójdziemy dzieci? — Do Giejstun wołają jedni, do Olan drudzy, do Zahorza! krzyczą inni. Któż rozdzielone zdania zjednoczy? tenże sam ksiądz fizyk który i sprzecze dał powód. „Do Zahorza pójdziemy księżę prefekcie! — Do Zahorza dzieci! już ja ręczę mosanie, że będzie tam dobrze!” Wtém nie czekając odpowiedzi, pchnął w kark chorążego: „Do Zahorza marsz, mosanie cymbale! marsz, krzyknął, marsz.” Zabrzmiały klarynety, skrzypce i basetla, ruszyła chorągiew, a za nią hurmem wszyscy. Rozweselony xiądz fizyk nie dał kończyć muzyce marsza, huknął z całej siły: „*Ozdo bo twarzy pokrętne wąsy*” (*)

(*) Piosenka Książnina.

a wszyscy chorem za nim; klarncista zmienił notę i dał ile miał ducha, skrzypak opuścił smyczek, a przeszedł na dyszkanta, organista podpierając się bassetlą jak kosturem, piłował co mu się podobało! a echa okoliczne zabrzmiały pochwałą wąsów, głoszoną przez tych, którzy ich jeszcze nie mieli.

Miła jest nader okolica Borun po drodze ku Mińskowi. Po wzgórkach, jakby po falach podnosi się ona i spływa, a z każdego wzgórza coraz to nowe a zawsze przyjemne odkryjesz obrazy. Najpiękniejsze gaje z rozmaitego drzewa i w rozmaitych występach i formach wznoszą się gęsto na góry, lub schodzą na łąki, między rozległymi i okrytymi bujnym zbożem polami, w dolinach rozestlane; gdzie niegdzie małe szykkowne wioseczki, rozłożystymi dębami i kosatą brzozą ocienione; po obu stronach drogi, w gronie drzew owocowych lub stoletnich lip, wznoszą się dwory i dworki, w szybach przejrzystych stawów, jak w zwierciadłach odbite, drożki wązkie wijąc się po wzgórkach i polach łączą sąsiadów, a strumyki z jednego do drugiego przebiegając stawu, szumią na młynkach tu i ówdzie rozrzuconych i ożywiają tę piękną lu-

dną i powabną krainkę, która całością zachwyca a szczegółami przynęca. Lecz gdy o wiorst parę od Borun na najwyższą na drodze wstąpisz górę, nagle zmienia się obraz, i rozległy ci na mil kilka rozwija się widnokrąg; wzrok twój panuje nad nim, opiera się na ciemnych massach lasów i w głębokie jary i parowy przenika. Na lewo znaczą się ledwo dojrzone wemgle rozwaliny z czerwonej cegły Kiejstutowego więzienia (*), ponuro i krwawo, jak pamięć samegoż Kiejstuta w odległej przeszłości; na prawo, dalej jeszcze i niewyraźniej bieleją gruzy zamku i kościół, (***) siedlisko i grob Jana Sapiehy, starosty uświackiego, walecznego niegdyś litewskiego hetmana, a przed nim jeszcze książąt Holszańskich; nakoniec myśl, oko i wyobraźnia unosząc się i bujając nad tym całym wspinałym horyzontem, po nad lasy, góry, jary i gruzy, gubią się i toną w mglistym i nieokreślonym błękicie.

Po téj to drodze, wysypawszy się z miasteczka ciągnęła czerń szkolna wesołym pochodem przez półtoręj najmniej godziny, potém zwróciła

(*) Krewa. (***) Holszany.

się małą drożyną na prawo ku dworowi blisko wzgórza dającemu się postrzegać; to cel wędrówki, Zahorze! Maszerujemy więc w porządniejszym szyku przy odgłosie samej tylko muzyki prosto na dziedziniec; gdy się zbliżamy, widać zdaleka w oknach mnóstwo pięknych, świeżych, rumianych twarzyczek, wyglądających przez szybki ciekawie, jakby obrazki Aniołów za szkłem w ramkach: a gdy pod bramę chorągiew się zbliża, występuje na powitanie uprzejmy gospodarz, pan szambelan Bujnicki. Któż z moich kolegów nie przypomni jak poczciwy staruszek rad był swoim gościom, jak się uwijał między dziatwą, jak poprawiając pasa na niskiej, krępej a rubasznej figurze swojej, błyskał szeroką łysiną kłaniając się na wszystkie strony; za nim wysypuje się liczne grono mamunięk, i rój jakby różnobarwnych motylków, onych twarzyczek różowych, napęlniających pierwój okna, a teraz rozsypujących się po dziedzińcu i podlatujących w powietrze! Na ten widok chłopcy krzyczą z zadziwienia, ksiądz fizyk odzywa się z uśmiechem, a cóż dzieci? nie mówiłem mosanie że tu nam będzie dobrze? — he! Oj bo ksiądz fizyk wysłał na całą noc Raducinę do bliskich dworów, uwiadamiając

mamunie o majówce i zapraszając do Zahorza; wiedział więc kto się tam znajdzie, a zatem śmiało zaręczał że tam będzie dobrze. Pieszczota dziatwy z rodzicami budziłaby zazdrość w innych, gdyby wesołość powszechna nie tłumiła wszelkich innych uczuć i myśli. Między gromadą siostrzyczek studenckich są i dla starszych panów dyrektorów pojęty, kilka dziewcząt co niedziela widywanych w kościele, a na których bliższy widok, panowie dyrektorowie poprawiają chustek na szyjach, i stroją miny zalotne. Nareszcie prefekt i professorowie wchodzą do budynku, za nimi starszyzna, panowie dyrektorowie, za nimi malcy którzy tu rodziców znaleźli, nakoniec muzyka i wszyscy którzy mają ochotę, proszeni i nieproszeni sute tam znajdują śniadanie: a tym czasem główny tłum majówki zwraca się na równinę, szeroko u spodu wzgórza, na którym dom się wznosi rozciągającą się i bujnemi brzoźami zrzadka porosłą, tak, że i cień przed słońcem w południe gotowy, i miejsca na zabawy wystarcza. Tam się rozmierza *meta*, obok wyznaczają place do *zajęca*, do *przepędzanki*, do *palanta*, indziej ściśle sadowi się koło i bolesna skreca się pytką na *szydło*, ówdzie usiedli gracze w *ma-*

tony, oh! to pewne kiedyś szulery! — tam wysypa-
no przyniesione kręgle; ówdzie kupią się gracze
w *ponę!* słowem każdy wybiera co lubi i od jednej
do drugiej swawoli przebiega. — Pod drzewem
w oddaleniu usiadło dwóch chłopców; nie dzielą
oni powszechnej zabawy, ale szczęśliwsi może od
innych, oni też używają serdecznej słodyczy, przy-
pomnienia i nadziei! Na jednej urodzeni grzędzie,
wychowali się razem na jednym dziedzińcu, ro-
dzice ich bliźnięcy sąsiedzi, widzieli z pociechą
związującą się przyjaźń chłopczyków, i z uśmie-
chem dozwolili Rózi, siostrzytce Adasia, podzie-
lać zabawki braciszka i jego przyjaciela Ignasia; to
też Adaś i Ignas mają już swoją miłą przeszłość,
wakację; rozpamiętywają o niej i wyliczają godziny,
za którymi uśmiecha się znowu ich szczęśliwa przy-
szłość, także wakacya; a w jednym i w drugim o-
brazie, Rózia jak ich cacko ulubione bawi się z nimi
i pieści. Adaś kocha Rózię siostrzyczkę, Ignas
kocha Rózię więcej niżeli Adaś, sam nie wiedząc
jak i dla czego! — Byłaby to już miłość? — nie
jeszcze: jest to tylko instynkt czułego serca, obja-
wiający wczesnie przeznaczenie przyszłe człowieka!
Czułość ta zapłonie kiedyś miłością, ogarnie potem

całe jestestwo, przepali je, wytrawi w niem cały zapas namiętności i szczęścia, i zostawi w sercu jak po wygasłym ognisku popioł i żuźle... Takież by miał być los Ignasia? Niestety! takim był rzeczywiście!!!

W budynku, po sutém śniadaniu, wśród którego pan Bujnicki po kilkakrotnie z flaszką staruszką i sporym kieliszkiem przystępując do ichmości księży professorów i prefekta, nie znalazł nigdy niegrzecznego odmówienia lub wstrętu, musnął się po łysinie, marcowy wdowczyk odmłodził. Pan Dziewałtowski, metr muzyki, zrozumiał chęć gospodarza; chwycił skrzypce i urznął poloneza; reszta panów wirtuozów stanęła obok, a ucieszony pan szambelan huha! zawołał i stanął w pierwszą parę z panią mostowniczną. Działwa wybiegła do gaju, panowie dyrektorowie stanęli za panem szambelanem, i zaczęły się tańce. Mamuniek i córeczek było wiele; było między kim wybierać! tańce więc szły hucznie i rzeźwo; ale jak wysmuklejsza lilja między towarzyszkami, tak między wszystkiemi jaśniała panna Katarzyna, hoża, ładna i wesola dziewczica. Emulacya wyraźna objawiała się między panami dyrektorami, gdy ją przyszło

brać do tańca; na wyścigi i hurmem biegli oni po jej rączkę, a którą niestety! najczęściej piastował pan aplikant z Oszmiany! jak na nieszczęście tu przybyły, śmielszy, bo niedbający o księdza prefekta, i niegodziwy, bo wyszydający śmieszność studenckich zalotów. Po kilkunastu polonezach, odbijanych i nieodbijanych, panna Katarzyna na zgrabnym staniku opasawszy różowy fartuszek, stanęła do kozaka; w niedostatku równej partyi, mały jej braciszek stanął na przeciw za figuranta. Sama jedna więc Kasia powszechną zajęła uwagę; wszyscy kołem otoczyli dziewczynę, księża postawiali na stoliku niedopite lampeczki trojniaku i ciekawe na środek pokoju obrócili oczy. Z rzeźwą, wiejską, niewymuszoną wesołością wbiegła dziewczyna w koło, i w różnych podskokach od końca do końca przelatywała pokój, fartuszkiem swym raz zakrywała figlarnie czarne swe oczy i mocniejszym rumieńcem okraszane jagody, to znowu chłodziła się jakby szeroko roztoczonym wachlarzem, to zwijając go zręcznie, piękną zeń i zalotną koło siebie tworzyła szarfę. Brawo! brawo! wołali wszyscy klaskając z zapalem w dłonie; *bravissimo!* krzyczeli młodszy i zapaleńsi czciciele wdzięków panny

Katarzyny! *bravissimo in superlativo gradu!* wrzeszczał pijany pan Dziewałtowski, pochyliwszy brodę, i aż głowę położywszy na skrzypcach, na których rznął zamaszysto kozaka, nakoniec tancerka wykręciwszy na środku smagłego młynka, dygnęła z wdzięcznym uśmiechem całej kompanii, i osypała oklaskami, pobiegła spocząć w drugim pokoju. Zachwyceni i zakochani panowie dyrektorowie poszli za nią; tam się każdy wysadzał na pochwały i komplementa. Pan Mateusz przez cały czas tańców przemyślał coby pięknego miał powiedzieć pannie Katarzynie; tłumaczył on już Telemaka, czytał nieraz Gonzalwa z Korduby, i Nummę Pompiliusza, ale żadnym sposobem nie mógł nic przypomnieć ani przystosować do pięknych oczu Kasi, a natomiast te nieszczęśliwe wypisy na klasę pierwszą, które codzień z uczniami swymi repetował, plątały mu się gwałtem po głowie: „*Parentes carissimos habere debemus*” i znowu i zawsze: „*parentes carissimos i t, d.*” obronić się od tego nie mógł! Cóż począć? nagle wyborna przychodzi idea. Położywszy, pomyślał, pannę Katarzynę w liczbie pojedynczej, na miejscu *parentes*, i wytłumaczywszy to na język polski, będzie wy-

śmienita lokucya! Przystąpił więc uradowany pan Mateusz do Kasi, i uchyliwszy czoło jakby się do boxów gotował, rzekł: „pannę Katarzynę za najmilszą mieć powinniśmy,” wziął razem piękną jej rączkę i już do ust podnosił, gdy niezbożny zdrajca pan Hyacynt, aplikant z Oszmiany, szepnął nagle z tyłu: „ksiądz prefekt idzie!” Upuścił rękę kochanki i odskoczył zmieszany pan Mateusz . . . księdza prefekta nie było, pusta dziewczyna rozśmiała się na cały pokój i uciekła do ogrodu, za nią pobiegł pan aplikant, a pan Mateusz opuszczony i zaambarasowany, stał i nie umiał z miejsca się ruszyć; nakoniec przyszedłszy do siebie i przypomniawszy aplikanta: „ośle przeklęty! pomruknął zapalczywie, ale tymczasem aplikant już był z Kasią w ogrodzie.

Tak dzień przelatywał wesoło; gdy godzina podwieczorku nadeszła, pan szambelan z całą kompanią wychodził do gaju, tam w zgromadzonym tłumie dziatwy stanawszy, równie grzecznie i uprzejmie jak przy powitaniu kłaniając się, zapraszał na podwieczorek. O jakże go kochano w szkole boruńskiej! dzieci i rodzice zarówno mu wdzięcznemi byli. Pan Bujnicki szanował i jedną so-

bie miłość nowego pokolenia swych ziomków: była to uprzejmość obywatelska, którą każdy z sąsiadów boruńskich, z równą jak pan Bujnicki roskoszą i z chlubą nawet wyświadczał, gdy miał gościem całą szkołę boruńską. Proszę też było zagabnąć którego malca o panu szambelanie; za każde wątpliwe o nim słowo, dostałbyś sińca na czole, choćby wnet na pieńku odpokutować przyszło. Podwieczorek wiejski! kredens sejmikowy! w długich stodołach i odrynach ustawione wzdłuż i nakryte stoły, zedli i ławy zastawiono garnkami wybornego kwaśnego mleka; chleba i soli dostatek, misek i łyżek drewnianych mnóstwo, apetyt studencki, podniecony kilkogodzinną swawolą, wilczy! Lecz harmonia i zgoda przy piłce, szydle i kręglach, pomięszała się przy miskach i garnkach: kłóca się, wrzeszcza, odbierają sobie łyżki, rozlewają mleko i biją czerepy; wszystko uchodzi bezkarnie, bo pan szambelan poprowadził księży i starszyznę na podwieczórek, na mleko zaś w odrynach została lozna hołota.

We dworze wyśmienita kawa z wyborną wiejską śnietanką i cwejbaczkami ocukrowanemi któ-

rych mamunie kopami nawiozły, i których większa część w profesorskich potem osiadła celach, zasila uczone grono, i wesołych przed chwilą towarzyszy w poważnych i mądrych przemienia statystów; smakowite kozuszki łagodzą figle trojniczku, niżeli go w powrocie chłodny wieczorny wietrzyk do reszty wywieje.

Przeciągły podwieczórek doprowadził aż do zachodu słońca, zatem na skinienie księdza prefekta dano niespodzianie hasło w taraban. — Ach! ach! krzyknęły przeleżnione damy. — „Czas wracać” rzekła smutno dziatwa, i gromadziła się około chorągwi białej na środku dziedzińca, na który i cała kompania wyszła z pokojów. Rozpoczęły się więc pożegnania i powszechne i szczególne; księży prawili panu szambelanowi podziękowania, pan szambelan znowu się kłaniał na wszystkie strony; chłopcy czepiali się szyi matek, dziewczynki całowały braciszków, panowie dyrektorowie zbliżali się do panny Katarzyny: jeden tylko pan Mateusz stał od niej zdaleka Ten pan Mateusz był to poeta szkolny, nie wiem jak go potem na świecie Apollo sekundował, ale w szko-

łach, on wszystkim na potrzebę *komponował* wiersze, on układał oracye studentom jadącym na Boże Narodzenie lub na Wielkanoc do rodziców: księża profesorowie nawet do niego się udawali czasami, gdy któremu pegaz zachromiał. Mógłże on znieść cierpliwie konfuzyę od aplikanta w obec kochanki sobie zadaną, on poeta? *Genus irritabile*? Miłość i zemsta, dwie najgwałtowniejsze namiętności serca ludzkiego, bez których ani romansów, ani tragedyj nie byłoby na świecie, nie dały kosztować panu dyrektorowi, ani pokoju, ani powszechnej wesołości, ani podwieczorku. Chodził on po gaju i dumiał, niekiedy mruczał, rozliczał palcami sylaby i średniówki, nakoniec pobiegł do stancyi ekonoma i tam, z regestrów wydarłszy kartę, napisał prędko co wydumał i wsunął kartkę za nadrę. . . . Miłość i zemsta we czterech wierszach! wielkiż poeta z pana Mateusza!!! Gdy więc szły pożegnania, a pan Mateusz stał zdaleka, Józio braciszek panny Katarzyny porwał ją za rękę i ciągnąc do ogródka: „chodź chodź Kasiu, mówił zcicha; mam do ciebie wielki interes!” — „Cóż takiego? pytała niechętnie oderwana od kompanii panna Katarzyna, mów

prędzej.” — „Na! masz, rzekł figlarny chłopiec wciskając jej w rękę kartkę papieru: „masz to od pana dyrektora, czytaj!” — i uciekł. Ciekawa dziewczyna rozwinęła kartkę i przeczytała takie wiersze:

„Ani Wenera, ani Prozerpina,
 „Nie jest tak piękna, jak ty Katarzyna!
 „Wartaś miłości i ślicznego kanta,
 „Od samego Jowisza, nie od aplikanta.”

Zarumieniła się Kasia, schowała prędko kartkę do woreczka i wyszła z ogródka. Wtenczas zbliżał się po razy kilka do niej pan Mateusz, ale ona tak zawsze stawała obok mamy, że słowa do niej przemówić nie mógł. Tymczasem pan Kazimierz bił na zabój w bęben, zabrzmiał marsz, ruszyła zatém chorągiew za bramę, a za nią wszyscy. Jednakowoż panna Katarzyna miała czas chwycić Józia za rękę i szepnąć mu do ucha: „dowiedź się Józiu jakkolwiek od swego dyrektora, kto jest panna Prozerpina i czy daleko mieszka? a powiesz mnie jak przyjedziesz na wakacyę: pamiętaj Józiu! panna Prozerpina.” — Kasia bowiem tak rozkalkulowała sobie wierszyki boruńskiego poety: „o Wenerze wiem, bo to jest w kilku pieśniach

światowych: była ona niegdyś jakąś boginią — Jowisz?... ponieważ pan Hyacynt jest aplikantem Jowisza, więc Jowisz musi być mecenasem w Oszmianie; ale *Prozerpina*? to sęk; pewnie to jakaś ładna panienska, a może i mężatka... dowiem się o wszystkiem przez Józia.”

Gdyby Kasia trzydziestą laty później się urodziła, gdyby w dzisiejszych czasach we świetnych naszych pensyonach brała wychowanie, w dwunastym roku wieku swego wiedziałyby kto Jowisz a kto *Prozerpina*, i gdzie oni mieszkają; tańczyłyby z prześlicznem wymuszeniem kontradanse; ale... czy byłaby tak czerstwą i wesołą dziewczyną? czyby tak rzeźwo i zręcznie wyskoczyła kozaka?

Wracamy więc: rój nas około księdza prefekta i chorągwi, jak pszczoły około matki, ciemnym gęstym i szumnym posuwa się kłębem! reszta odlotków długiem po gościńcu ciągnie się pasmem, i odstrzela się pojedynczo na boki. Znowu wchodzimy na górę, ale we wstecznym kierunku, i przeciwny z niej uderza nas widok. Horyzont

tuż za Borunami głębokim w półkole ogranicza się lasem, na nim jak na tle czarném odbite gmachy białe kościoła, klasztoru i wież boruńskich, dokończony od razu a poważny i uroczysty dają obraz. Gdy daleki wędrownik do Borun, z pobożnym i religijném uczuciem, zbliża się tu z pokorą i nadzieją cudownej łaski i pociechy w smutkach i utrapieniach, lub po największe dobrodziejstwo w dólegliwościach ciała, po zdrowie, przedstawujący się mu natenczas z téj góry we wspaniałym i smutnym razem obrazie cel jego drogi, pokrzepia mu zapewne siłę i czułą ufnością napętnia serce. My bez żadnego względu, z jednostajnym wesołym odgłosem, schodzimy z góry i zbliżamy się ku Borunom: lecz tu raptem hałas na przodzie ustaje, a w tylnej straży powiększa się gwałtownie: dwa przeciwne zjawiska, razem na obu przeciwnych ukazały się stronach. Obudzona naszym marszem, odpoczywająca w krzakach przy drodze po nowym kursie po dworach okolicznych i po sutych traktamentach Raducina, ukazała się nagle chłopcom, z których jeden zostawszy zajęcem, wodził za sobą po zarosłach docierających gęsto kilkunastu strzelców.

Nagle i zwierzyna i myśliwi zaczęli uciekać do gromady, a za nimi wyszła na drogę z wielką zieloną gałęzią w ręku czarownica. — A czegoż uciekacie? czy to mnie nie poznaliście” wołała ona. „Jasiu! Leonardku! Antosiu! a wiecie wy kto wam mamunie i siostrzyczki do Zahorza sprowadził? Moje to stare nogi przez noc całą mordowały się za tym interesem. Ksiądz fizyk powiedział marsz Raducina! i Raducina nogi za pas i marsz! a wy krzyczycie na mnie jak na hama-na! poczekajcież!” Pędziła więc przed sobą baba, wywijając gałęzią jak miotłą czarowniczą, zgraję maroderów uciekających z wrzaskiem; lecz wkrótce zwolniła kroku, poczuła bowiem niepewność w nogach i zawrót niejakiś w niewyspanej jeszcze głowie: podpierając się więc tąż samą brzezina, wlokła się z tyłu za nami, słaniając się po trochu i wyśpiewując piskliwie, jakby nas do powrotu napędzała: „Pójdźcie! pójdźcie! gąski moje do domu.” — O kilkanaście kroków od drogi, na stoku wzgóрка, jest cmentarz wiejski kilką krzyżami i mnóstwem plit kamiennych jakby z ziemi wyrosłych sterczący, a kilką starymi sosnami ocieniony; miejsce wiecznego spoczynku

pocziwych naszych boruńskich gospodarzy, a kiedy niekiedy i młodego chłopca kończącego śmiercią naukę! Miejsce to nie odmieniło się i teraz bynajmniej: pomnożone tylko głązy i krzyże, świadczą coraz liczniejszych do ziemi przybyszów, a też same, i jedną gałązką nieuschłe jodły, żyją tam wśród powszechnego niezycia, żyją jakby na przekór śmierci w jej własnym domu, i ssąc jak upiory zastygłą krew cudzą na własne soki, długo jeszcze żyć będą i przyjmować codzien pod swe stare konary zmarłych boruńskich mieszkańców!!! Pod jedną z nich ojciec Onufry pogrzebał syna i żonę swoją; dla tego co wieczór, gdy dzwony z wieży kościelnej głosiły godzinę zadusznego pacierza, obaczyłbyś między głazami cmentarza, klęczącego na ich grobie i równie jak głąz niewzruszonego, tego nieszczęśliwego ojca i męża. Chwila powrotu naszego z majówki, zbiegła się właśnie z chwilą modlitwy pustelnika, i jedna drugiej ujęła gwałtowniejszych wzruszeń: w płaczu i śmiechu jedna złagodziła drugą; pustelnik otarł łzę postępując ku zbliżającym się swym przyjaciółom, studenci poprzestali hucznego śpiewu widząc łzę nieszczęśliwego

swego przyjaciela. Powitany więc serdecznie, łączył się z nami ojciec Onufry i postępowano dalej... aż przy wejściu do Borun marsz tryumfalny ozwał się znowu; natenczas dziatwa złamawszy szyki i porządek rzuciła się do miasteczka jakby je szturmem zdobyć chciała; muzyka umilkła na rynku, zmordowana tłuszcza rozsypała się po kwaterach, księża niknęli jeden za drugim w ciemnych korytarzach klasztornych, pustelnik szepcząc pacierz wieczorny przeciągnął powoli po ulicach, zmierzając ku swojej chatce, i gwar ustawał ciszej i coraz ciszej; aż nakoniec noc piękna majowa ogarnęła to siedlisko odpoczywającej wesołości, na setne rozdzielonej serca.

IV.

Kościół i szkoła, są to dwa różnych zupełnie i przeciwnych sobie uczuć i pamiątek studenckich składy; jak niebo do ziemi, jak raj do piekła, a właściwiej do czysca, jak pogoda do słyoty, tak się ma jedno do drugiego, zwłaszcza w Borunach, gdzie gmach kościoła wspaniała zewnątrz a ozdobny wewnątrz, zawiera wszystko co oko i umysł dzie-

cka zdumieć i przywiązać może. Gdy brzmienie dzwonów ranne, niedzielne, zapowiada studentom dzień odpoczynku i zabawy: to w każdy inny dzień powszedni, dzwonek szkolny przeraźliwym brzękiem, jako swarliwy gdera budzi ich ze snu miłego, i po dwakroć powtórzoną zrzędą pędzi do kłopotów i pracy. Gdy w uroczyste święta kościół się ubiera wspaniale, gdy przyzywa dzieci do posługi u ołtarza, gdy je obleka w piękne białe komże, jako w szaty niewinności i wesela: szkoła natenczas, jak złośliwy zazdrośnik, zamyka drzwi swoje i czeka w milczeniu końca uciechy, aby ich znowu ogarnąć i gnębić; w kościele hymny i pieśni chorem hucznym powtarzane, miłe sercu i uchu studenta, bo im echo z domowej, przed-szkolnej jeszcze odzywa się bokówki: w szkole płacz powszedni codzien, a arcy-płacz co sobota! W szkole za piecem na pieńku, z groźném okiem z dyscypliną w rękę, *strach*, starzec nieznośny, wychudły, na łzy chciwy, na modły i prośby nieczuły! biada gdy on swój pieńek na środek szkoły wytoczy, biada natenczas, biada!!! I nakoniec, dla dokonania i usprawiedliwienia niejako téj różnicy, oczekiwany utęskliwie przychodził

w końcu czerwca Piotr Śty, i w jednejże chwili kluczami swemi zamykał szkołę, a otwierał studentom drzwi kościoła, na uroczyste podziękowanie Bogu za przebycie i dokończenie pracownego terminu nauki, i na publiczny z niej popis, a potem puszczał i ich wszystkich do raję, to jest na wakację do domu. To też w perygrynacyach moich po miasteczku oziębłe minąłem opustoszały dom szkolny, trąciłem nogą, jakby wyschłą czaszkę głowy nieprzyjaciela, spadły na ziemię i walający się na dziedzińcu wyszczerbiony dzwonek, a poszedłem wnet do kościoła abym zakończył wspomnienia dziecinnego wieku tam, gdzie też i sam wiek dziecinny zakończył; gdzie złożywszy dowód niby doskonałości w naukach, student wyzwała się na młodzieńca, bierze błogosławieństwo kościoła, życzenia nauczycieli, i z ciasnych drożek szkolnych, wychodzi na szerokie rozdroże świata

Rozpamiętywając akt ten publicznego popisu i pożegnania szkoły, stajemy na granicy jednej najpierwszej części naszego życia, którą przechodzimy z niesmakiem, kończymy z radością, a jednakże wspominamy z tęsknotą, i ubiegłej zazdrościm!

Wspaniała nawa boruńskiego kościoła, w dniu pożądanym 29go czerwca, napelniała się około niesporniej godziny gośćmi rozmaitej płci, wieku i stanu nawet. Obok pięknych i ozdobnych piórami i kwiatami kapeluszków, na wesołych główkach młodych mamunierek lub młodszych jeszcze siostrzyczek, obaczyć można było gredyturowy kaptur, lub nastrzępiony dziwacznie czepek nad czerstwem i rumianem licem pani ekonomwej obok zgrabnej i bogato litemi potrzebami sznurowanej na piersiach pana szambelana lub pana budowniczego taratki, jakiej nigdzie już teraz nie obaczysz, stał w kapocie szarzej szlachic z okolicy, lub w wytartym żupanie, jedwabnym pasem przepasany, stary dworzanin po paniczów przysłany. W ławkach po prawej stronie, i od ławek aż do ołtarza na kilku rzędach krzesel, umieszczał się ten tłum różnowzory; babunie, mamy, siostrzyczki, ciocie, wujenki na przodzie: dziadulki, ojcowie, wujaszki i stryjaszki z tyłu. We sto par i więcej wchodzi młodzież i klasami szykuje się naprzeciw publiczności, a tym czasem ksiądz fizyk ustawia z boku na stoliku machine elektryczną i baterję butelek lejdejskich;

ksiądz matematyk zawiesza na kozłach wykreślone na przepych geometryczne figury, a sam ksiądz prefekt porządkuje na drugim stoliku pięknie zrysowane *erazty*, wyformowane wzory charakterów i ogromny stos *kwestyj* z koperdymmentami, mającemi potem w ramkach i za szkłem figurować na ścianach domowych jako pamiątki talentów szkolnych; kładzie księgę złotą zawierającą imiona celujących uczniów, i naciska to wszystko globusem, jakby znakiem widomym chciał dać poznać, że wszelkiej doskonałości ludzkiej głową... świat! Nakoniec wszystko się uszykowało, i wszystko pójdzie jak spłatka, bo całe programma już kilkanaście razy przeprobowane. Więc na skinienie z dołu, symfonia studenckiej muzyki na chorze otwiera obrzęd; po niej występują jedni po drugich malcy i wszelkiemi językami witają publiczność. Ach! czemuż tych oracyj nie pamiętam! jakież wymowny i rozmaity apendix utworzyłbym z nich na końcu! Po minie, a czasem i rozrzewnieniu mamy lub tatulka, poznałbyś czyj syn oratorem. Rozniesione wnet potem i rozdane jakby kwiaty z kosza koperdymenta, zajmują bardziej płeć piękną a niżeli całe popisy; ta dostała różę rozkwi-

tłą i wielką jak talerz, téj przypadł tulipan błyszczący jak dzbanek ze złota, inna piastuje na ręku kolumnę marmurową z całym koszem kwiatów na kapitelu: u tamtéj kupidynek mierzy strzałą do ogromnego rycerza, u którego godłém na tarczy napis: „Kwestye szkoły boruńskiej na klasę Vtą—Pannie Katarzynie dostał się z podziału piękny domek wiejski w gaidu i nad strumykiem, z takimże napisem na kominie, jak u rycerza na tarczy; wszędzie dowcip w pomysłach i równyż talent w wykonaniu!!! Zaproszeni na examinatorów pan podkomorzy, pan szambelan i dan budowniczy, wystąpili na środek; nie byłoby żartów z tymi panami, gdyby oni alwar swój przypomnieć chcieli: ale mając kwestye w ręku nie sądzili przyzwolitém ambarassować uczniów i nauczycieli innemi pytaniami, które, któż wie, jakby się powiodły: na zadane zaś z pisma, odpowiadano wysmienicie, bo nieukom w wigilią wyjechać dozwolono. Szedł tak popis klass pierwszych z pochwałami sypanemi szczerze każdemu chłopcowi i przedłużałby się dalej, ale stojący przy swojej elektrycznej machinie ksiądz fizyk, zniecierpliwiony zawołał: „Klassa czwarta mosanie z fizyki! Co to

jest piorun? — odpowie pan Leonard” Piorun, odpowiedział głośno i śmiało pan Leonard, jest to elektryczność, a dowodem tego butelka lejdejska. — „Brawo! wyśmienicie mosanie! a zatem proszę do maszyny i zrób nam wasan piorun mosanie!” Powszechna protestacya przeciw temu experimentowi objawiła się w damach, ale świadomsy rzeczy examinerowie ośmielili wszystkich, i pan Leonard pokręciwszy przez kilka minut banie, nabił baterję i dał ognia, a piorun nikogo nie przestraszył a wszystkich zabawił. „Pan Xawery powie nam mosanie o balonach odezwał się znowu ksiądz fizyk. — „Wielki ten wynalazek” —... na złamanie karku, przerwał ktoś z tłumu — ksiądz fizyk spojrział ostro w tamtę stronę, lecz nie dostrzegł winowajcy, a pan Xawery niezmiyszany, historyę i sposób tego wynalazku ogłosił publiczności. — „Teraz z matematyki,” zagadnął pan podkomorzy, podobno dla honoru urzędu swojego. — „Ale mosanie, jeszcze niechby powiedzieli o gazach, o ziemi, o powietrzu, o wodzie, o ogniu: wszystko umięją upewniam!” — „To się znaczy o elementach odezwał się pan szambelan.” — O jakich elementach mosanie? nie masz

już elementów, skasowano je. — Jakto skasowano? w Imię Ojca i Syna! któż, chyba sam Pan Bóg. — Nie mosanie, *pan Lavoisier*, jak zaczął rozbiierać po jednemu, przyszło do tego że i żadnego nie zostawił, a natomiast mosanie wynalazł kwas...” — Zwaryowałaś księżu fizyku! co gadasz! rzekł zadziwiony pan szambelan, i zająśby mogło na wielką dysputę, lecz z nienacka trzecioklasista przy tablicy wykrzyknął cienko a dobitnie: *Centum bovum!* — „Masz panie szambelanie, rzekł uśmiechając się ksiądz fizyk, masz alimenta *centum bovum*, sto wołów, a to na kwitę za elementa; *litera nocet, litera docet* mosanie a powtarzam panu, że elementa skasowano.” — Proszę unizenie! do czego to przyszło mrucał pan szambelan, na miejscu elementów... Kwas!... kwadrat z przeciwprostokątną, równa się dwóm kwadratam z dwóch innych boków” i t. d. wrzeszczał tymczasem malec, i zwrócił przecież uwagę na swoją stronę. Tak przebiegano a raczej prześlizgiwano się lekko po wszystkich naukach. Wymowa i poezya dała powód do deklamacyi wierszów i prozy z celujących naszych ośmnastego wieku autorów; z historyi prawili uczniowie szerokie o-

pisania oblężenia Troi, piramid egiskich ogródów babilońskich i urodzaiów assyryjskich! jakim podobnych, że nigdy w Litwie nie było przyznali zgodnie słuchacze. Był na placu i globus! a pośrednie między jeografią a astronomią trzymając miejsce, kolejną dla pierwszej lub dla szóstej klasy pękate swe wychylał lice. Powstał nakoniec ksiądz prefekt, i roztworzywszy księgę złotą, po krótkiej przemowie odczytał zapisanych w niej imiona celujących w każdej klasie uczniów, i promocyę ich do klas wyższych. Nie wiem jak to się zdarzało, że synowie obecnych na examinie rodziców, najczęściej w niej zapisanymi byli: i rozjaśniały się twarze rodziców i synków radością niewymówną, rzuciliby się pewnie w objęcia jedni drugich, lecz subordynacya szkolna, równie ścisła jak wojskowa, zatrzymuje malców w szeregach, i dręczy niecierpliwością jak najrychlejszego ukończenia rady. Lecz zostaje jeszcze mowa — mowa to pożegnalna, do której występuje uczeń kończący kurs szkolny, i mająca swą doskonałością przynieść zaletę mówcy i szkole. Sam ją niegdyś dla siebie w pocie czoła układałem, i sam ją perorowałem z powszechnym aplauzem! Zawierała ona,

tak jak i inne podobne kollegów moich, 1ód wy-
 rażenie wdzięczności dla nauczycieli: 2re pożegna-
 nie kollegów, 3cie filozoficzne myśli o marności
 świata, a o wielkiej ważności nauk; 4te o Ary-
 stotelesie nauczycielu Alexandra Wielkiego, i na-
 koniec 5te uprzejme życzenia zdrowia i wszelkiej
 pomyślności sobie i całemu prześwietnemu publi-
 cum. Po skończeniu tego arcy dzieła elokwencyi,
 ruszano się z miejsc . . . Wtém w śród huku trąb
 i kotłów, opadła zasłona ołtarza, i obraz cudowny
 Matki Boskiej w świetnej gwiazdzie z drogich kry-
 ształów i kamieni, zajaśniał nad zgromadzeniem.
 Tłum cały napelniający świątynie, upada na ko-
 lana, starzy i młodzi, dziatwa i rodzice, kapłani,
 pospółstwo, ubodzy napelniający kruchtę, wszyscy
 pokorne do ziemi schylają czoła, natenczas kil-
 kunastu młodzieńców powstaje i występuje z szy-
 ku, zbliżają się wprost do ołtarza, klękają na stop-
 niach, i wnet rozległ się chór dobranych, czy-
 stych, dźwięcznych a mocnych głosów: *Sub tuum*
praesidium confugimus!!! etc. Ileż to serc razem
 ileż westchnień i modłów wzniosło się na ten czas
 do BÓGA! ileż wzajemnie nadziei i wesela spły-
 wało z ołtarza w serca ojców! matek i dzieci! Śpiew

się ukończył; chwila potem cichej powszechnej modlitwy; aż znów.!. z wolna podniosła się zasłona i zakryła obraz. Podniosło się więc razem i zgromadzenie, a na twarzach wszystkich wesołość prawdziwa, i zupełne z obecnej chwili zadowolenie jaśniały. Zabrział nakoniec marsz huczny, przeprowadzający gości wychodzących z kościoła i siadających do pojazdów, których liczna kalwakata cały napełniała rynek. Pożegnania się kolegów, bardziej szumne niż tkliwe, gwar powszechny tak licznego zebrania, turkot odjeżdżających pojazdów, trzaskanie z biczów podpiłych furmanów, przerywające jakby wystrzałami z pistoletów cienkie wykrzykiwania płci pięknej, wszystko to razem tworzyło scenę malowniczą i ruchomą, lecz która całemi szmatami od ogólnego odrywała się obrazu, i coraz wolniejszém zostawiała samo tło onego, to jest rynek boruński. Nakoniec wszystko się w rozmaite rozpięchło strony, a rynek został pustym i głuchym tak, jak jest głuchym i pustym teraz, gdy oto ja oparty o drzwi kościoła, stoję samotny i okiem méj duszy widzę tu rozsypanych przede mną i rozpoznaję wszystkich towarzyszy mozolnych lub miłych chwil dni

moich dziecinnych. Gdzież są oni??? „*gdzie są
moi współ-wędrowcy..?*” (*) ach! trąba już chyba
Archaniola, zbudzi nas wszystkich i zgromadzi
kiedys, dla wydania ostatniej pensy, przed wiel-
kim Audytorem całego świata!

(*) Zaleski — Duma ukraińska.

Ś M I E R Ć

MOJEGO DZIADKA.

— — — — —

Woda w górę nie popłynie,
Co dziś świeci jutro zgasło!
Przeminęło, mija, minie,
To ludzkiego życia hasło!!!

Lecz nie minie wiecznie żywa
Święta przodków naszych wiara,
Nie minie mądrość prawdziwa,
I poczciwość nasza stara!

Ignacy Chodźko.

UROCZYSTE święta nasze, są to corocznie wracające epoki domowych dziejów naszych. Zebrania natenczas i odwiedziny krewnych, odległych przyjaciół i sąsiadów, podczas których, połączone w jedno grono przywiązane do siebie osoby, wylewają się na wzajemne dowody serdecznych ku

sobie uczuć, zupełne uwolnienie się od prac i zajęć codziennego, a oddanie się spoczynkowi lub rozrywkom właściwym każdemu wiekowi, wesołość szczerą i poufałą, panująca w domu obejmującym naówczas to miłe zgromadzenie, przemieszane pospolicie gromadą dziatwy, która jakby małe ogniwo, łączy większe pierścienie familijnego wienca; a cała ta szczęśliwość i swoboda, obleczona uroczystym i bogatym płaszczem religijnych obrzędów, wszystko to głęboko się wpaja w wyobraźnię i niezatarte zostawia rysy w pamięci!

Cóż dopiero, gdy, jak to najczęściej bywa, łączą się razem wspomnienia szczególniejszych wypadków życia naszego, w dniach takich zdarzone? Śluby małżeńskie, wesela, przenosiny, zaręczyny, lub nawet pierwsze poznanie się i pierwsze miłosne rażenia młodych serc, połączonych potem nawzajem, lub rozdzielonych nazawsze, lecz nie mogących zapomnieć chwili, w której pierwsze tkliwe odniosły wrażenia?

My jednak zapominamy już tego sposobu obliczania się z czasem. Oznaczamy wszystko na proste daty; lecz pasmo życia ojców i dziadów naszych, pospajane w główniejszych punktach z re-

ligią, miało w sobie niejakąś patryarchalną światobliwość i cnotę. Żadna burza życia nie mogła oderwać go na bezdroża, tak, jak najmocniejszy wichur nie zdoła oderwać i rzucić na wiatr pnącej się rośliny, mdłej, ale uczepionej gałązkami do skały!

Ileż to razy usiadłszy w sadzie pod rozłożystą gruszą, lub na ulubionym pod krzyżem kamieniu, dziadunio mój rozповідаł mi domowe dzieje spokojnego swego żywota, licząc je na święta kościelne? Rodzic mój nieboszczyk, a twój pradziadulek, Panie świeć nad jego duszą, mówił on, umarł w zgrzybiałej starości na *Rozańcową*. Bóg mu zapewne dał ten termin za to, że codzien różaniec święty nabożnie odmawiał. Matki mojej nie pamiętam, odumarła mię w niemowlęctwie. W lat dwie po śmierci ojca, gdy macocha moja, zabrawszy swoją substancję i przemyśliwając *circa renovationem connubii*, wyniosła się ode mnie, zapoznałem się na *Zielone Świątki*, jak dziś pamiętam, w domu nieboszczyka podstolego smoleńskiego, z moją pierwszą żoną, która także w Bogu spoczywa, a natenczas panną Bogumiłą, siostrzenicą gospodarza, podczaszanką ziemi nurskiej.

Skłoniłem ku niej moje afekta, i tak nad podziw szczęśliwie poszło, że za błogosławieństwem Boskiem i rodzicielskiem, nastąpiły wnet i zaręczyny. Pan podczaszy, przyszedł teść mój, wielki sensat, łacinnik, upodobał mnie od razu. „*Est facies testis, qualis in trinsice estis*” — z twarzy znam cię ześ poczciwy, powiadał on. Podstoli wyprawił suty bankiet, akt zaś weselny odłożono pod jesień na święty *Michał*, na dzień patrona pana podczaszego. Na bliższy termin nie zezwolił, chociaż ja usilnie o to błagałem. „*Nemo sapiens, nisi patiens,*” panie zięciu! mówił on, i dodawał nadto:

„Bywaj gościu u mnie

Kiedy żytko w gumnie!”

Chudoba moja szlachecka nie wytrzyma bez sukursu jesiennego licznej weselnej frekwencyi, i waszeć panie zięciu lepszego piwa nawarzysz, kiedy z własnego, a nie z pożyczonego jęczmienia. Musiałem tedy, *volens nolens* przystać.

Rozmaite potem ludzkie *calumnia* i *perverse*, o których żal wspomnieć i którym, pamiętając na „odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom” dawno już prze-

baczyłem i zapomniałem, przeciągnęły nasz ślub aż do *Trzech Króli*; bo na *Boże Narodzenie* kościoł Ś. ślubów zabrania. Natenczas teść mój powiadał:

„Praedestinata neminem fallunt.

„Co się przewlecze, nie uciecze.”

Jakoż i nie uciekło; pobraliśmy się szczęśliwie. Ksiądz przeor Karmelitów głębockich, odśpiewawszy kolędę „*Exullemus et letemur!*”, wziął za assumpt do perory przedślubnej też same słowa, i komparując potem gwiazdę, która trzech króli do Betleem przeprowadzała, z gwiazdą moją fortuną, która mnie w progi pana stolnika zawróciła—wróżył ztąd dla nas *in futuris* wszelkie i szczególniejsze sukcessa i *konjunktury*. Pobłogosławił nam potem, a chociaż te prorokowane szczególniejsze sukcessa nigdy nam nie wypadły, wszelakoż cieszyliśmy się na weselu, cieszyliśmy się tutaj na przenosinach, a dzięki Bogu cieszyliśmy się i potem przez lat trzydzieści, w jedności i zgodzie naszego małżeńskiego pożycia. Matka twoja, jedyne dziecko nasze, urodziła się w wigilię *Zwiastowania Panny Maryi*, więc i daliśmy jój imie jakie sobie przyniosła, *Maryi*, polecając ją szczególniejszej opiece Matki Boskiej!...

Niemile potem wspomnienia zasepiały czoło staruszka. Śmierć ukochanej pierwszej żony, której tém więcej żałował, że i sam po jej zgonie w lat kilka postanowiwszy *renovare connubium*, trafił na zrzednicę, która mu kilkanaście lat życia zatrąła, i o której dobrze wspominać nie mogąc, a źle wspominać nie chcąc — żadnych uroczystych dat nie zachował w pamięci. Nie wspominał także przedemną najboleśniejszego ciosu w życiu swoim, utraty córki jedynej; bo wiedział że wzbudziłby w mém sercu dziecinném, ale przywiązaniem do matki, gorzki żal, i obaczyłby łyż rzewne na twarzy, na której wesołość i ciekawość w przysłuchiwaniu się rozpowiadaniom swoim, widzieć lubił. Więc pomilczawszy trochę, wzdychał mój dziadunio głęboko, kiwał głową, i kończył na — „Oj! tak to było moje dziecię! tak! tak! — A po nowej pauzie dodawał: — Wkrótce podobno przydacie summę do tego rejestru mojego życia, to jest datę końcową:

Bóg widzi, czas ucieka,

Śmierć goni, wieczność czeka!

„Cóż robić! ośmdziesiąt szósty rok wkrótce zakończę. „*Fiat voluntas tua Domine*”. O mój

Boże, daj mi przed majestatem Twoim połączyć się z temi, z którymi na tym padole płaczu sercem i duszą złączony byłem!!!” Tu ręce i oczy ku niebu podnosił pocziwy starzec, którego życie opisawszy (*), śmierć teraz szczęśliwą, spokojną i chrześcijańską opisać pragnę.

Przeciągłe brzmienie dzwonów bliskiego parafialnego kościoła, rozlegające się letnim pięknym wieczorem po miłej i spokojnej okolicy, otaczającej domek mojego dziadka, zazwiastowało uroczystość Bożego Ciała nazajutrz. Słaby od niejakiego czasu dziadek mój, wywłókł się był w tym dniu o kiju i z pomocą sługi, z izby pod krzyż, i tam siedząc szeptał swoje modlitwy; ja, dziecko niedawno, teraz już wyrostek szkolny, siedziałem obok niego, czekając aż zacznie litanię kończącą zwykle wieczorne pacierze. — Wtém echa niespodzianym dźwiękiem uderzyły nam w uszy!!! Przerwał pacierz staruszek i podniósł instynktowie rękę do przeżegnania się — zatrzymał ją potem nad czołem... Ja zdziwiony wzrok mój ciekawie nań obróciłem. Po

(*) Domek mojego dziadka.

chwili dokończył przeżegnania się mój dziadunio, i rzekł powoli a spokojnie: „Jutro!... tak po mnie zadzwonią!!! — Jak to kochany dziaduniu? rzekłem mocno wzruszony; dziadunio dziś masz się lepiej, więc i zdrowie da Bóg powróci! — Moje dziecię! w moim wieku już nie wraca się człowiekowi, co odeszło!... umrę jutro! — I podnosząc głos dodał: Bóg mi to objawił!!! — Kiedy? zapytałem prostodusznie i ciekawie.

— W tym momencie mój kochany wnuku!

— Ja nic nie widziałem dziaduniu! — rozumiałem bowiem że było mu widocznie cudowne objawienie, o jakich nie raz mi rozповідаł — Nie rozumiesz mię, moje dziecię! cóż ja jestem? marny zlepek gliny! czyliżem godzien aby Bóg cud dla mnie okazać raczył? Nie, moje dziecię! Ale ledwom zaczął modlitwę o uproszenie szczęśliwej śmierci, uderzono we dzwony, i razem myśl mi przemknęła po głowie, że to jest *prae-sagium* szczęśliwego i rychłego skutku modłów moich! O, gdyby jeszcze w czasie tak wielkiego festu jak jutrzejszy, Bóg mię przed swój Majestat powołał! uznalbyśmy wyraźnie miłosierdzie jego nademną!!! Zmówmy moje dziecię razem i na mo-

ję intencję modlitwę; twoje niewinne, moje pokorne modły, wspólnie złączone, ubłagają może dla mnie szczęśliwą ostatnią godzinę!

Nie znałem ja natenczas, bo nie doznałem był jeszcze, że są w życiu ludzkim wieszczę przemknienia myśli, które nazwaćby można, *błysnieniem przewracającej się karty w księdze przeznaczeń naszych!* Przeczucie? instykt? czy objawienie? — jakkolwiek to uważać czy mianować mamy, zawsze znajome są one każdemu, bo któż ich w chwilach niepewności, trwogi, nadziei, a nawet w chwilach zupełnej spokojności duszy nie doznał? Szczęśliwy, ktoby tę kartę tak podjętą mógł zatrzymać i przebiedz! ktoby przynajmniej przestrożę tę w przelocie pojmać i w pamięć swą wpoić zdołał! Ale nie! karta przeznaczenia w mgnieniu oka się przewraca, myśl prorocza mignie jak błyskawica i ginie jak błyskawica!!! a powraca przypomnieniem natenczas, kiedy się wyrok już ziścił.

Kończyliśmy modlitwy, gdy zbliżył się do nas pan Jakób.

Człowiek ten należał do licznych jeszcze natenczas, a dziś wygasłego zupełnie bractwa rezy-

dentów i dworaków, rozsypanych gęsto po kraju, których, jako wchodzących w skład nie jednej szlacheckiej ziemi i nie jednego obrazu tamtoczesnych domowych obyczajów, wprzód ogólne i całemu bractwu właściwe wspomnę przymioty, niżeli jednego z nich, pana Jakóba, towarzysza ostatnich lat życia mojego dziadka, dam poznać.

Dzielili się rezydenci stosownie do wewnętrznego swego powołania i posiadanych talentów, na *myśliwych*, *rybaków* i *masztaleszy*; skrzypaczka, nie stanowiąc oddzielnego fakultetu, do każdego składnie przypadała, i zwiększała zaletę i wesołość dworaka. Każdy z nich, posiadając wszelkie doskonałości swojej professyi, miał jeszcze, jak to wyżej namieniłem, reguły i zasady, jakby dawnych rycerskich zakonów, całej kongregacyi wspólne, to jest: ochotę do nieustannej włości, póki zdrowie i własne, lub darowanego konika, nogi, służyły; nienawiść do ciągłego zajęcia się i pracy; nakoniec większy lub mniejszy pociąg do *Aquaevity*. Wdowcy bezdzietni, lub starzy kawalerowie, nie mieli oni pospolicie żadnych ścisłych związków ani obowiązków. Każdy dom szlachecki był dla nich familijnym, bo wszę-

dzie chleb powszedni i kął opiekuńczy z ochotą dla nich otwarty znajdowali. Owszem, w czasach gdy każdy gospodarz pilnując własnej grędy nie wiele zewnętrznych miał stosunków i związków, zbieracz taki i rozwoźca nowin, wiadomostek, anegdot, *dykterygek*, przybywający z życzliwém sercem i z wesołym humorem do domu, zawsze pożądanym był gościem, i zaraz poufałym stawał się domownikiem. — Wreszcie przywiązanie szczere do familij, około których się żywili, i poczciwość prosta, nieinteressowana, zalecała ich wszystkich. Nie wiele żądali, bo wszystkie ich konieczne potrzeby życia, bez pracy i kosztu, bez prośb nawet, ludzkość i dobrotliwość staroświecka ojców naszych opatrywała. — Wszakże w przypadkach tyczących się ich szczególnych talentów i profesyj, dozwalałi oni sobie niekiedy, małych wyboczeń od ściśle sumiennój ścieżki. — I tak: nie raz po wizycie myśliwca zginał z psiarni dwornój sławny w całej okolicy *Szumlas* lub *Zagraj*, a gonił potém zająca o mil kilkadziesiąt. Nie raz młody panicz przepłaciwszy lub wyhandlowawszy z wielkim przydatkiem zachwaloną kasselkę, na piéwszój zaraz ochocie chybił celu i zwierzyny,

a zatem poznał z żalem i szkodą własną, wartość i rzetelność zaręczeń pana Piotra lub pana Grzegorza. Po takich jednak figlach, tęsknił każdy za powrotem starego franta, bo bez niego, polowania nie miały zapału, obławy porządku, a najbardziej, nie było owój hucznej myśliwskiej wesołości, którą on tysiącem kłamstw pociesniejszych jedno nad drugie, umiał zawsze ożywić i utrzymać, a która jak wiadomo, jest najpowabniejszą zachętą i nagrodą myśliwskich trudów. — *Z masztalerzem*, handlarzem i lekarzem koni zawołanym, najlepszemu jego przyjacielowi nie życzyłbym wchodzić w stosunki, w którychby pokusa nabycia handlem lepszego konia, opanować go mogła; bo natenczas nie oszczędził on zaręczeń najsolenniejszych, a w ostatniej potrzebie przysiąg nawet potocznych, aby wmówić przekonanie o wyborynych zaletach swojego konia, którego dla przyjaźni tylko i przysługi na zamian puszczał. Ale też w domu gdzie zajechał i przebywał, zastępował on najściślej i najochotniej w stajni oko pańskie, które wedle dawnego przysłowia, tuczy koni; i jeżeli sam nie zaniedbał podpomodz sobie wszelkimi sposobami do oszukania, choćby swojego

gospodarza, to już za to nikomu innemu oszukać go nie dozwolił. Był to przyjaciel, który w pojedynku z sobą, sztuką czy zdradą zwyciężył, ale w pojedynkach z drugimi, obronił.— *Rybacy* nakoniec, do których właśnie i pan Jakób należał, prostsi i spokojniejsi od pierwszych, mniej też ze swego powołania miewali powszednich grzechów na sumieniu. Wytrząsł on niekiedy nie swoje wścierze; osławił wyborne tonie dla zachowania ich sobie, a sieć cudzą, obietnicą sowitego połowu, na karcze i wiry wprowadził. Te i tym podobne małe usterki, których pan Jakób i jego współbracia niekiedy się dopuszczali, zapominały się im tém łatwiej, że gdy się dobrze w niewodzie powiodło, udzielali oni ryby wspólnie wszystkim, pracując tylko na chlubę i wdzięczność, której co piątek i sobotę, przy każdym smacznym z ryb półmisku, pewnymi byli. — Te główne działy *rezydentów*, dałyby się jeszcze na kilka poddziałków rozgałęzić: *ogrodników*, *lekarzy* od bolenia zębów, wysłużonych domowych, pp. *dyrektorów*, a nawet *poetów*! Ale dość i tej krótkiej wzmianki i opisu, abyśmy przypomnieli sobie ludzi, żyjących bez troski, a przed któ-

rymi troski uciekały z domów; z pomiędzy których nie jeden z nas miał piastuna dni dziecińczych a mentora i najzyczliwszego domownika w młodzięcym wieku; którzy nakoniec niknęli z pośród nas jak usychające jedne po drugich drzewa w ogrodach, którym ziemia pożyweczych soków odmawia! — Takim był pan Jakób. — Nim wiek młodszy i siły mu wystarczały, odbywał i on swobodne wędrówki; powodem jednak jakiejś z dziadulkiem moim *kolligacyi*, zawsze na zimę, jak do głównego fundum, do jego domu przybywał. Lecz gdy szósty krzyżyk poczuł na barkach, zaniechał wojażów, oddał starego swego konia kwestarzowi bernardyńskiemu, i osiadł na zawsze przy moim dziadku, współsługą, współprzyjacielem, zawsze panem Jakóbem, gotowym, na każde zawołanie pana skarbnika, czy to do rzeczywistości, byle nie dłużej, w gospodarce pomocy, czy to do pacierzy, czy to do maryasza lub ćwika, dla zabawiania gości lub rozrywki gospodarza; czy to nakoniec do rozpowiadania w czasie długich jesiennych wieczorów, rozmaitych historyj, zaczętych częstokroć w pokoju dla panów, a gdy ci nie dotrzymawszy do rozwiązania rzeczy,

spać poszli, kończonych na folwarku dla czeladzi. — Wzajemnie pan skarbnik z pobłażaniem i uśmiechem patrzył, gdy podczas festów, a nawet i w niektóre niedziele, zdarzało się panu Jakóbowi niepewną nogą, w późny wieczor, wracać do domu, przyspiewując basem:

Oto to ja pan,
 Oto to ja pan,
 I o nic nie dbam... (*)

Zbliżył się tedy do nas pan Jakób, w wybor-
 nym humorze, bo niósł w ręku drgającego wiel-
 kiego szczupaka.

— Mości dobrodzieju! krzyknął, misa na ju-
 tro!

— Na pozajutro odpowiedział mój dziadunio.

— Imainacya! pozajutro prawda piątek; no,
 to potrząsiemy znowu bucze, albo pojedę na za-
 toki: ale jutro pewni goście, więc zjemy *tego* za
 jegomościne zdrowie!

— Panie Jakóbie, rzekłem zapłakany, dia-
 dunio mówi, że jutro umrze!

— Umrze? Imainacya! jegomość chwala Bogu

(*) Dawna piosnka.

zdrówszy, a zatem jutro razem z nami szczupaka konsumować będzie! Wstydź się jegomość, takie rzeczy gadać! — No! bądź co bądź! panie Jakóbie, rzekł mój dziadunio, ja proszę waszeci, abyś mię posłuchał, i wszystko tak przygotował, jakby śmierć moja jutro nastąpić miała! Żyliśmy razem lat kilkanaście i nie zapomniałem o twoim chlebie na starość; to się znajdzie w moim testamentie . . . Bóg powołał do chwały swojej przedemną wszystkich, którzy mi tu miłemi byli; tęsknię oddawna do połączenia się z niemi na wieki Został mi tylko ten chłopiec, wnuk mój, krew moja! *os ex ossibus meis!* i ojciec jego a zięć mój! Poszlij więc waszec po niego z oznajmieniem żem bardzo słaby, aby wraz przybywał . . . — Czy jegomość doprawdy to mówisz? przerwał pan Jakób, ocierając rękawem łzę na twarzy.

— Cóż waszeci do tego! prosiłem, abyś czynił jak mówię.

Pan Jakób upuścił szczupaka i słuchał, a łzy coraz bujniejsze padały mu z oczu.

— Jeszcze dzisiaj pofatygujesz się do plebanii, kończył mój dziadunio, i poprosisz księdza proboszcza, aby jutro przed nabożeństwem przy-

był tu dla wypowiedzania mnie i udysponowania ostatecznego, wedle świętej religii naszej, na drogę wieczności!!! — Zamilkł tu staruszek, przymknął oczy jakby się modlił w duchu, a potem głośniej, z wyrazem głębokiego uczucia wymówił:

— „*Ne memineras domine delicta juventutis.*”

— No! panie Jakóbie, teraz podpomóż staremu, pójdźmy, mam interes do szpichrza. — Pan Jakób podał rękę i prowadził powoli staruszka, ja wlokłem się z tyłu.

Zawołano ekonoma z kluczami, a gdy ten odemknął spichrz, rzekł doń dziadek: — Wleż waść z łaski swojej na górę; znajdziesz tam trumnę, wysyp z niej żyto, a trumnę spuść ostrożnie na dół. Wlazł ekonom na górę, i po chwili odezwał się: — Jest trumna panoczku, ale żyta, ani zboża żadnego w niej niema, pusta panoczku! — Jakto być może! sam pamiętasz, że przed laty kilka, gdym ją zrobić kazał, nasypaliśmy do niej pełno żyta!

— Prawda panoczku, pamiętam, ale pękło dno — odezwał się z góry ekonom — i wszystkie ziarno powoli wyciekło...

Pan Jakób, który wiedział, że pan skarbnik, idąc za upowszechnionym natenczas między pobożną szlachtą zwyczajem, miał gotową dla siebie, ale zawsze zbożem nasypaną trumnę, i który wierzył równie jak wszyscy zachowujący ten obyczaj, że trumna nasypana zbożem, robi spór w spichrzu, a próżna jest wróżbą niezawodną śmierci gospodarza: usłyszawszy słowa ekonoma, załął się i rzekł zapomniawszy:— Ot co teraz, i ja powiem że prawda.... Postrzegłszy się jednak, dodał skwapliwie: — Da to imainacya!!! — Ale mój dziadunio uśmiechając się smutno — Aj! nie imaginacya, odpowiedział. Ziarno po ziarnie wyciekało z trumny, a razem wyciekał dzień za dniem życia mojego; i oto nakoniec dóm wypróżniony, gotowy, czeka na przyjęcie mieszkańca.

— Wtém ekonom pchnął nagle z góry trumnę, której połowa raptem na wschodach się okazała..! — Jezus, Marya, Józef! krzyknął pan Jakób; ja przelekle wyskoczyłem aż na dziedziniec, wszystkie strachy, upiory, mary, których pełną miałem pamięć, stanęły mi razem przed oczyma; dziadunio mój nawet, nie mógł znieść spokojnie

tego widoku! — Odprowadź mnie na ganek pannie Jakóbie, rzekł z widocznym na twarzy umartwieniem, i pójdź do księdza, a gdy powrócisz, znowu pogadamy.

Siedział potem staruszek przez czas niejaki na ganku, odpoczywając i prowadząc wzrokiem po całej swój dziedzinie, po całej chudobie i gospodarce, roztoczonej przed nim, po rozległej dolinie, na którą tylekroć przez ciąg życia swego poglądał!!! Smutnemi być musiały myśli i pożegnania jego!!! bo po kilkakroć oczy zachodziły mu łzami, i po kilkakroć wznosił je do nieba, błagając zapewne pociechy i uspokojenia strapionemu sercu!!! Nakoniec postrzegł mnie siedzącego odeń z daleka: — Moje dziecię! rzekł zdziwiony, cóż to? czyż mnie żyjącego jeszcze, już się lękasz? — Zgadł staruszek, bo w mojej wyobraźni nawykłej od dzieciństwa do dziwnych i przerażających o umarłych powieści i urojeń, trumna ze spichrza już stała na środku pokoju, dziadunio leżał w niej umarły, księza śpiewali, świece i lampy paliły się, wszystko było straszno, ponuro i czarno!!!... Dziadunio mój zatem,

siedzący na ganku, był upiorem, na którego trudno mi było spojrzeć śmiało, a tem trudniej doń się przybliżyć!!! Lecz wreszcie czułe moje doń przywiązanie przemogło, gdy spojrzałem na zasmucone oblicze starca, wyciągającego do mnie swe ręce; znikła trwoga, żal i miłość ogarnęły serce, i rzuciłem się w jego objęcie!

Dzień był na schyłku, słońce zniżając się ku zachodowi, osiadło nad lasem kończącym widnokrag, i złociło żywym blaskiem dwa krzyże wysoko w oddaleniu błyszczące: tkwiły one i tkwią jeszcze na wieżach wspaniałego kościoła buclawskiego, oddalonego na mil kilka od domku mojego dziadka, lecz w dniach pogodnych dającego się łatwo postrzegać. Widok ten ozdabiający okolicę i miły zawsze oku dziadka mojego, zajął go tém bardziej w usposobieniu, w jakim teraz siedział ze mną na ganku. — Czy widzisz moje dziecię, rzekł on po krótkim milczeniu, jak się tam pięknie święcą dwa krzyże złote? — To *Buclaw!* odpowiedziałem. — Tak, *Buclaw*, moje dziecię! ale nigdy ci jeszcze nie opowiadał cudownego założenia tego kościoła i od czego to miej-

sce *Bucławiem* nazwano? (*) — Nie mój dziaduniu! nigdy! i kiedy dziadunio łaskaw Rozpogadzała się twarz staruszka, smutne przecucia ustępowały widocznie nałogowej chęci jego, rozprowadania mi dziejów i pamiątek swoich: wróciła więc raz jeszcze, a to już raz ostatni chwila miłej, spokojnej i prostej, jako całe życie dziadka mojego, rozmowy jego ze mną, której ja tylekroć słuchając, przywykałem sercem i pamięcią do jego myśli i wyobrażeń, niepostępujących za biegiem czasu i rzeczy, lecz dogorywających powoli, pod niską strzechą, w domowym przybytku staroświeckich cnót naszych! . . . — Otoż moje dziecię, co do Bucławia, tak było, zaczął mój dziadunio.

— Jednego z dawnych *regnantów* w tym kraju, Alexandra Jagiełończyka (**) prosili ojcowie Bernardyni wileńscy, których on podobno był i fundatorem, aby im wyznaczyć i darować raczył, lasu na opał klasztorny. Ale że i w tamtych czasach musiały być częste processa o dyfferencye i

(*) Bucław, miasteczko w gubernii mińskiej, w powiecie wilejskim.

(**) Historyczne.

granice, których biedni zakonnicy obawiali się, błagali więc oni króla, aby dla nich obrać kazał puszcę w takich pewnych granicach, o którychby nigdy żadnych wątpliwości nie można było wymyślić ani uczynić. Trudna to rzecz była, moje dziecię, ale Bóg natchnął pobożnego króla, i wybrano podług prośby księży, a woli jego, włok lasu *praeter propter* ze dwieście, położonego między trzema rzeczkami *Serweczem*, *Terekiem* i *Zuzją*. Wyspę taką oddał król na wieczne czasy ojcom Bernardynom wileńskim, aby siedząc w ciepłe, chwalili Boga i modlili się za duszę swego benefaktora.

— Dwadzieścia to i kilka mil od Wilna; ale Bernasie dali sobie radę, bo rzeczka Serwecz wpada do Wilii; a tak każdej wiosny, po wezbranej wodzie, spławiali oni sobie tyle drzewa do Wilna, że nie tylko na opał swego klasztoru, ale jeszcze i na pewny dochód wystarczało.

— Że jednak tak wielki i pożyteczny obszar potrzebował pilności, a przez całą zimę trzeba było mieć pracowitych dozorców do wywożenia drzewa i do spławu; konwent przeto wileński posadził tam kilku braciszków, którzy na prze-

bywanie swoje, kilka także budek wśród puszczy sklecili, i zbudowali małą kapliczkę, dla pomodlenia się codziennego i dla mszy świętej, którą przebywający na tej pustyni razem z nimi, a wysyłany po kolejce z wileńskiego klasztoru kapłan, codzien odprawiał.

— Pewnego dnia zimą, moje dziecię, jeden z trzech braciszków, objeżdżając lasy, wracał pod wieczór do bud swoich i noc go zaskoczyła w lesie. Mróz i wiatr cisnął okrutny, noc ciemna choć oko wykół, wilki wyły straszliwie, biedny więc księżyna zwątpił o sobie, i polecił się Bogu, drżąc cały od zimna i strachu... Nie wiedział on czy jest blisko czy daleko jeszcze od domu, gdy nagle postrzegł wielką jasność, jakby ogień jaki, przeświecający się przez drzewa. Uradowany więc, zbliżał się skwapliwie w tę stronę, myśląc, że jeżeli nie na własne budy, z których nigdy się tak nie świeciło, to na insze jakie mieszkanie ludzkie natrafił: ale jakże się zdziwił, gdy wybiwszy się z gęstwiny wąziutką drożką, ujrzał się pod samą swoją kapliczką, a nad nią postrzegł w nadzwyczajnej jasności, jak w słońcu wizerunek Matki Boskiej, taki właśnie jaki był w jednym ołta-

rze w kościele wileńskim (*). Uczyniwszy więc głęboką adoracyę cudownemu temu zjawieniu, pobiegł i pobudził konfratrów i kapłana. Zeszli się wszyscy, i wszyscy widocznie ujrzeli toż samo zjawienie; popadali więc na kolana i modlili się, aż jasność i obraz zniknął, a konkludując, że Bogarodzica przeznacza to miejsce na szczególniejszą chwałę swoją, oznajmili natychmiast o wszystkiem do Wilna.

— Objawienie to powtórzyło się kilkakrotnie, a tymczasem przybyła na miejsce zwierzchność zakonna, a po zaprzysiężeniu naocznych świadków, sprowadzono z kościoła wileńskiego obraz, który się tak cudownie okazał, a który i dziś w wielkim ołtarzu w Buławiu jaśnieje, i umieszczono go w ubogiej kapliczce.

Wnet się rozgłosiła sława miejsca tego, poczęły się zgromadzać tłumy pobożnych, a ztąd wynikła potrzeba obszerniejszego domu Bożego mieszkania przy nim kapłanów. — Wzięli się więc do dzieła ojcowie Bernardyni; oferty codzienne pospolitego ludu i dary pańskie, tak ich hojnie

(*) Z miejscowego podania,

wspomogły, że w krótkim czasie za pomocą Bożą zbudowali drewniany wprawdzie, ale przystojny kościółek i klasztor dla kilkunastu zakonników. A że najpierw od *Bud* wszystko poszło, że podobano się Bogu ubożuchne to mieszkanie biednych sług swoich, cudem rozślawić; przeto wynikła i denominacya miejsca tego złożona z *Bud* i *Sławy*, *Bud-sława*, a *per abbreviationem* *Budslaw* i na koniec *Buclaw*.

Księża zamienili potem obszar swój leśny na kapitał, który, gdy się podwoił z nowych funduszów i legacyj, stanął przeto z czasem kościół *magnifice* wybudowany, i klasztor także, a tak pomnożyła się chwała Boża i pożytek ludzki; bo ze sto osób rozmaitej kondycyi żywi się i utrzymuje przy klasztorze, to w szkółce, to w bursie, to w posłudze kościelnej, to na koniec w kapelli, która w każdą niedzielę i festa, piękną *rezonancyą* dodaje wspaniałości *apparencyom* kościelnym. Obraz zaś słynący nie przestaje codziennie prawie łaskami Matki Boskiej! — Opowiem ci jeszcze moje dziecię Wtém zjawił się pan Jakób wracający z plebanii i przerwał z widocznym nieukontentowaniem mojego dziadka, rozpocząć się

mającą nową historię. Nie trudno było poznać, że pan Jakób w ciężkim smutku swoim nie folgował sobie w konsolacyi... — Będzie moi dobrodzieju ksiądz proboszcz jutro raniuteńko przed nabożeństwem; jest tam i ksiądz definitór z Bucławia; kłania się jegomości dobrodziejowi! choć ze mną to inaczej było; nie bardzo grzeczne daliśmy sobie dobranoc! — A to dla czego? zapytał mój dziadunio. — Dla czego? Oto, ni proszony, ni dziękowany wyjechał on z deklaracją, że zaraz zasiądzie pisać exortę przy wyprowadzeniu ciała jegomości! Schowaj księżo, powiedziałem, swoją ochotę i elokwencyę dla siebie! Pan skarbnik chce się spowiadać, to prawda, ale spowiedź nikogo jeszcze nie umorzyła, owszem często pomaga. — Na dobitkę potem zaczął dowodzić, że jegomość powinienś kazać siebie pochować w habicie bernardyńskim, bo jesteś tereyarzem ich zakonu. — Imainacya! odpowiedziałem. Pan skarbnik jest szlachcic z dziadów i pradziadów, więc będzie pochowany w mundurze i kwita. On swoje, ja swoje: pop przy kapturze, ja przy mundurze! Od słowa do słowa, przyszło do tego, że on mi powiedział: — „Idź wasan spać boś pijany.” A ja

powiedziałem, kocioł garkowi przyganę daje . . . trzasnąłem drzwiami aż okna zadzwoniły i wyszedłem. — Złe zrobiłeś panie Jakóbie! rzekł mój dziadunio. Ksiądz definitor jest to pobożny kapłan, i dla mnie życzliwy. Cokolwiek on radził, to z dobrego serca. Wié on że ja, jako chrześcijanin zaufany w miłosierdziu Boskiém, śmierci nie obawiam się, a co do *ceremonij* pogrzebowych, dawno już wszystko to rozporządziłem. Testament mój znajduje się u mojego kochanego sąsiada pana marszałka, i w jego też rękę ubogie moje za duszę ofiary, które wszystkie *in paratis* zostawuję, . . .

— Ja poszlę po doktora, ozwał się pan Jakób.

— A doktor mnie na co? jam zdrów, we mnie nie ma żadnej choroby. . . . tylko . . . koniec życia, a na to . . . nie ma lekarstwa!

— Jegomość nie umrzesz, zawołał znowu pan Jakób, którego serce było teraz na ustach: jegomość nie umrzesz! mówił płacząc rzewnie, bo kiedy jegomość umrzesz, to i ja umrę; a nie, to pójde piechotą choć za morze do Jerozolimy, jak książe Siérotko, modlić się za duszę jegomości! — Nie potrzeba tak dalekiej peregrynacyi, panie Ja-

kóbie. Na każdym miejscu módl się i pamiętaj za moję duszę.

— Jegomość będziesz w niebie! dalibóg będziesz w niebie! jegomość taki poczciwy człowiek! a kiedy dusza potrzebować będzie pomocy, to jegomość mnie pokaż się: ja nie ulękę się; albo przyśnij się mnie jegomość; to ostatnią kapotę przedam, a sprawię exekwie! obaczysz jegomość!!!

Płakał pan Jakób choć bredził; dziadunio jednak pojął przywiązanie jego do siebie, chociaż tak szczególnie i dziwnie na życie i śmierć objawiane. — No, dość tego kochany panie Jakóbie, rzekł on, odprowadźcie do łóżka, bo nogi moje drętwieją i jakiś dreszcz po ciele przechodzi... układał się. — Wyszedłszy z panem Jakóbem, zapytałem go, o jakim to księciu Sierotce wspominał? — Ot imainacya! odpowiedział. Był jakiś pogański książę, o którym pisze, podobno w Tysiąc Nocy, który długo wędrował po całym świecie, i zaszedł aż de Jerozolimy a nazywał się *Sierotko*: pan skarbnik wie o tém od deski do deski, ale ja tego dobrze nie pamiętam.

Wśród rozległej i otwartej okolicy, którą zie-

lonym szpalerem przedziela wielka droga, wiodąca w głębsze krainy północnej Litwy; na wzgórzach panującym nad całym obszarem, wznosi się kościół murowany, ku któremu z różnych stron głębokimi koleinami poryte i kręto po polach wijące się podchodzą dróżki. Przy kościele drewniany stary klasztor, niegdyś z dziesiątek jezuitów, dziś na wpół zapadły, i ledwo dwóch księży pomieścić mogący, a w niejakiem oddaleniu dom pocztowy i kilka włościańskich chat—zajmują główne tło obrazu, któremu niskie strzechy domówstwa mojego dziadka, z boku w niewielkiej odległości rzucone, większej jeszcze prostoty i dobitniejszej wieśniaczej dodają barwy.

Odległa od miast głównych okolica ta, nie ma ruchu, ani zmienną co chwila rozmaitości, właściwej ludniejszemu podmiastowemu krajobrazom. Spokojna i łagodna jednostajność, kołuchana na falach pięknego zboża, okrywającego szerokie pola, lub zaległa na szarych zagonach pooranych błoni, rzadko tu czémkolwiek przerwana bywa!!!—Kiedy niekiedy pokaże się zdaleka na gościńcu długi ciąg powózek ruskich i przewlecze się leniwo od końca do końca przez całą przestrzeń widnokregu;

niekiedy także błysnie pomiędzy brzozaami broń przechodzącej drogą rotę żołnierzy; a kilka razy na tydzień zamgli się na gościńcu w pyłe trójka pocztowa, roznosząc w powietrzu echa wesołej trąbki, lub przeraźliwego dzwonka, i dając powód księdzu plebanowi i jego komendarzowi, do odwiedzenia wnet pisarza pocztowego lub zaproszenia go do plebanii, dla rozwiązania trzech ważnych kwestyj, kto jechał? gdzie jechał? i co z tego będzie? Cóż dopiero, gdy pisarz dodać może jeszcze, co on mówił? Ileż natenczas wniosków, sprzeczek i domysłów dyplomatycznych, z nowiny tej się wylęże! — Lecz w każdą niedzielę lub uroczystość kościelną, cicha ta okolica ożywia się i zaludnia. Wyprostowany od ziemi, i otarłszy z czoła znój całotygodniowy, lud pospolity wszelkimi drózkami i wielkim szlakiem napływa do kościoła; skrzypią ponerady i kałamaszki, a wtórują im najczęściej skrzypki muzykantów, prowadzących do szluby huczne weselne korowody. Poszykowane potem na placu kościelnym w osobne obozy, tłumy różnowzore i rozmaite pieszych i konnych przybywają, mieszczą się i czepią około płotów, oczekując w gwarze i natłoku roz-

poczęcia nabożeństwa. Nakoniec dążą bryczki i torują drogę dla pięknych koczyków, przybywających najpóźniej, i jak kosze kwiatami, płcią piękną napelnionych.

Trzydzieści lat dziś się dopełnia, i powraca po raz trzydziesty dzień ósmy czerwca, gdy tenże sam obraz, i teje samej okolicy, ożywionej jako i dziś uroczystością *Bożego Ciała*, przedstawiał się memu zasmuconemu oku! Uprowadzający zawsze i wszystkich do kościoła mój dziadek, leżał teraz słaby na łóżku—Przepędził on noc bezsenną; zrana zaś dopełniwszy z najkliwszą pokorą i skruchą wszystkich religijnych przedzgonnych obrzędów — w cichém zebraniu ducha oczekiwać zdawał się ostatniej chwili.

Sprawiedliwie tylekróć porównano życie ludzkie przy schyłku, do dogorywającego płomienia! Nagły wicher zdmuchnie go często przy samém zatleniu się; gwałtowna ulewa zagasi go nieraz, gdy jeszcze jasno się pali... i to jest życie przerwane na początku, lub w połowicy! Lecz naturalnym biegiem zbliżające się życie do końca, tém podobniejsze jest do ogniska, wytrawiającego aż ostatnią swoją iskierkę, i z niej jeszcze jasnym,

choć na krótko, błyskającego ogniem! Tak dusza ostatnich sił zwątlonego ciała użyje na przedłużenie życia, ostatnią kroplę zastygającej krwi zmusi do biegu; z ostatniej cząstki piersi wysili odetchnienie i zaświeci jeszcze w oczach, w mowie, i w jasnym pojęciu, a gdy zda się potem że już jój nie ma, znowu się objawia na nowo.... i na nowo niknie! — Mniemaćby można, że starość ma uzbierane zapasy życia i najtajemniej w rozmaitych kryjówkach, jak skarby u skąpca ukryte, które na ostatnią chowa potrzebę, i które wydaje powoli i najoszczędniej, otwierając po jednej, aż póki najtajemniejszą wyczerpie.... natenczas koniec!

Usypiał od niejakiego czasu i z kolei się przebudzał mój dziadunio; zdawało się że nie mniemał się tak bliskim zgonu, jakieśmy sądzili. Tymczasem, od kilku już godzin trwało nabożeństwo w kościele, mające się zakończyć jak zwyczajnie w to święto wielką processyą do przygotowanych z maju i kwiatów ołtarzy. — Uderzenie we dzwony dało znać wyjścia processyi z kościoła i obudziło staruszka. — Czy jest ołtarz przy naszym krzyżu? zapytał on u mnie: corocznie bowiem mój

dziadunio prowadził sam celebrującego w processyi do stacyi przy własnym krzyżu przybranój, i te solenne odwiedziny gorliwą modlitwą Bogu, a sutym obiadem plebanowi i całemu zebranemu duchowieństwu odwdzięczał.

— Krzyż ubrany, odpowiedziałem. — No! to i mnie wstać, ubrać się i wyjść pomóżcie! . . .

Po wczorajszemu więc, lecz słabszy niż wczora, wywlokł się staruszek za bramę pod krzyż, usiadł na podaném sobie szerokim swoim krześle, i czekał z wypogodzonym zupełnie obliczem processyi. — Wkrótce też, ogromnym chorem całego ludu śpiewana, dała się słyszeć najpierw nota a potem pieśń:

„Niebo! ziemia! świat i morze!

I co tylko w was być może!

Jak najgłębiej upadajcie,

Pokłon Panu z nami dajcie.”

Wzruszył się mój dziadunio z miejsca chcąc upaść na kolana. Wprzód go chcieliśmy zatrzymać, potem pomódz musieliśmy koniecznemu jego żądaniu i wspierać klęczącego. Ukazał się najprzód z daleka krzyż wielki, posuwający się powoli, a miesiony przez pana Jakóba, który przywileju tego

nikomu i nigdy nie odstępował. Nad nim i za nim powiewały chorągwie: zbliżały się potem gęste ognie jarzące w rękach kapłanów, bractwa i dziatwy, spokojnie palące się podczas pięknej dnia tego pogody; postępował w środku ksiądz pleban pod baldakimem, niosąc w ręku wzniesione nad ludem, jakby ognisko światła, wiary i chwały, bogate *Monstrancyum*, okryte wianeczkami z kwiatów i ziółek polnych, w dniu tym zwykle poświęcanych... Któż nie zna porządku, powagi i wspaniałości uroczystych processyj? lecz komuż miłém nie będzie, jako i mnie piszącemu, wyobrażenie i przypomnienie onych.

Zmienia się pieśń przy zbliżaniu się do ołtarza: tryumfalnym tonem i słowami umyślnie na tę uroczystość złożonemi, obwieszcza się przyjście Pana:

„Idzie! idzie! Bóg prawdziwy!
Idzie, Sędzia sprawiedliwy,
Stanąwszy pięknym kole, —
Uderzmy wszyscy czołem.”

O mój Boże! zawołał starzec przenikającym do głębi serca głosem, usłyszawszy te pienia i wyciągając ręce ku zbliżającej się processyi — o mój Boże! ja to! ja idę do Ciebie!... ja przed sąd Twój

stanę natychmiast! o mój Boże! zmiłuj się nade mną!!!

Chwiejącego się zupełnie i słabego starca podjęliśmy i posadzili na krześle. Wzruszenie mocniejsze nad siły zwątlone, mowę mu odjęło; łzy jednak, płynące potokiem po twarzy, świadczyły że przytomny zupełnie, nie mogąc usty, modlił się duszą i myślą.

Po odśpiewaniu Ewangelii ruszyła nazad processya, i zabrzmiały znowu słowa:

„Idzie! idzie! światłość wieczna!

Idzie! idzie! moc przedwieczna!

Stanąwszy pięknym kołem

Uderzmy wszyscy czolem.”

O! nigdy nie zapomnę twarzy natenczas mojego dziadka! na mojej młodej wyobraźni został jój obraz na zawsze! cała reszta życia zebrała się mu na oblicze, a życie to było już tylko samą miłością ku Bogu, i pragnieniem połączenia się ze *światłością wieczną*, która oddalając się, ciągnęła duszę jego za sobą!!! Podniósł on znowu ręce za processyą, i nakoniec opadł na krzesło... Odnieśliśmy zemdłonego na łóżko, bez nadziei aby raz jeszcze wrócił do życia. — Tymczasem, naj-

rychlej jak mógł, po nabożeństwie, przybył ksiądz pleban; starzec mało młodszy od mojego dziadka, kilkadziesiątletni jego przyjaciel, codzienny współnik życia, zabaw i towarzystwa, a jako stróż sumienia, powiernik wszystkich myśli i zamiarów. — Za nim ksiądz definitor i kilku jeszcze przybyło kapłanów. — Pan Jakób pierwszy przybiegłszy, klęczał w pierwszym pokoju przed obrazem Najświętszej Panny, i zebrawszy około siebie czeladkę domową, modlił się z płaczem i łkaniem. Księża ostąpili łóżko, i gdy jeszcze jakiegokolwiek ślady życia dawały się postrzegać, rozpoczęli modlitwy nad konającym zwykle odmawiane; ja nakoniec, drżący z przerażenia, trwogi i żalu, stałem pomiędzy nimi...

Wtém, odetchnienia umierającego stawały się coraz wyraźniejszymi; otworzył oczy, powlókł wzrokiem spokojnym po nas otaczających., wziął potem za rękę księdza plebana, i cichym z początku, ale coraz wyraźniejszym głosem mówił: Dziękuję tobie mój ojcze, że mnie nie opuszczasz w tym ostatnim terminie... — Błagałem Boga przy ołtarzu, rzekł proboszcz, o zdrowie dla ciebie panie skarbniku, i prosiłem wszystkich parafian,

aby także modlili się za twoje zdrowie... — Ach, mój ojciec! niechby się wolój modlili za moje duszę!... poszlicie po moich chłopków, trzeba mnie i z nimi się pożegnać... — Nie trzeba było posyłać, wszyscy oni z nabożeństwa prosto zaszli do dworu, i w sieniach czekali niespokojnie co się stanie z ich ukochanym panem. Otworzono więc drzwi i napełnili izbę włóścianie. Odwrócił ku nim głowę mój dziadunio, i mówił jak mógł najdobitniej: — Moje dziatki! umieram ja i żegnam was i błogosławię... i was i dzieci wasze... i chudoby... i chatki wasze!!! dziękuję wam za waszą życzliwość dla mnie! i za pracę waszą! i za chleb!... — Przerwał się głos starca, odpoczywał i zbierał ostatnie siły... — Darujcie mnie, jeżeli którego z was mimowolnie ukrzywdził! — darujcie dla miłości BOGA!!! kto was po mojej śmierci krzywdzić odważy się, tego na sąd straszny zapozynam!!! — Te ostatnie zapozwanie wymówił wyraźniej i znowu zamilkł....

Włóścianie żalem przejęci, nie wiedzieli sami co czynić. Jedni łzami zalani poklękali około łóżka i całowali kraje prześcieradła, którym umierający był nakryty; drudzy nachyliwszy głowy

ku ziemi, klęcząc także, dotykali się ręką prawą obu swoich policzków: jestto u nich znak głębokiego uszanowania i adoracyi; inni popadali krzyżem na ziemię przy panu Jakóbie i odmawiali z nim litanie.

Nakoniec mój dziadunio skinął abym się zbliżył i ukląkł: wyciągnął rękę, położył na mojej głowie i przez chwilę tak zatrzymawszy, uczynił potem znak krzyża na mojem czole... powtórzył go raz drugi i trzeci, usiłując wymówić swoje nademną błogosławieństwo! Niestety! oczy mu tylko, które na mnie zwrócone trzymał, łzą zasły... i ręka z głowy méj spadła... raz jeszcze podniósł ją mój dziadunio, ujął za krzyżyk drewniany z wizerunkiem Chrystusa, który na piersiach nosił i do ust go swoich przyłożył, lecz przywaré ust i ucałować krzyża już nie mógł: tak więc z krzyżem na ustach zostawał...

Widząc coraz rzadsze i słabsze odetchnienia umierającego, ksiądz pleban gromnicę gorejącą włożył mu w rękę i własnymi rękami ją utrzymując, rzekł uroczystym głosem: — Polecaj się Bogu chrześcijaninie! a stojący obok ksiądz definitor dodał ponuro: — wychodź duszo chrześcijańska!!! —

Zadrzałem na te wywoływające słowa!!!. Ścisnienie ręki proboszcza i gromnicy, dało poznać że jeszcze żył konający!... głębokie potem milczenie opanowało izbę, łzy ciekły po twarzach wszystkich, ale nikt poruszyć się nie śmiał... Anioł śmierci już był pomiędzy nami!!! Wtém ksiądz pleban uchylił się nad konającym, Po chwili podjąwszy głowę, wznosił oczy ku niebu i zdmuchnął gromnicę!!!

Wkrótce zabrzmiały dzwony kościelne i sprawdziły wczorajsze przecucia mojego dziadka! — Oto kamień mchem porosły na grobie jego, a na nim zaledwo już wyczytać się mogące te słowa: „Żył pocziwie! wierzył po prostu! umarł spokojnie!”



Kazałem im te "wielkie słowa"!!!...
 nie miałem prawa!...
 Jęczał i płakał...
 opowiadał...
 ale nie potrafił...
 był...
 Mi się...
 we...
 minę...
 W...
 k...
 to...
 nim...
 „...
 K...
 z...
 k...
 w...
 W...
 umierającego...
 w...
 j...
 ob...
 da...

OSTATNIA SESSYA
EXDYWIZYI

OSTATNIA SESSYA EXDYWIZYI.

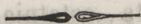
W zamieszaniu miałem dnia przyjaciół
Co tego wieczora kochał zabić;
Lecz gdy się los z mekci zaciął,
Wszystkich razem dźwili wzięli.

Dawno pisanie

Wzruszenie sędziów dzielącego majątek
biednego dziedzica między jego wierzycieli, pod-
moga jest do ostatniej godziny polewania, w któ-
rej, mówiąc wyrazem myśli, kim, gonczym z oka
słona zwierzynek. Lis stary, szczywany jak to po-
wiedzą, Ja jeszcze kilka tegich obrzędów, niżeli
wzrost lub szrot zabójczy dosięgnie; ale trwo-
żny zapalczek dobywa się ostatnich, aby dosięgnął

OSTATNIA ZESZYTA EKSPERYMENTALNE

OSTATNIA SESSYA EXDYWIZYI.



W szczęściu miałem tłum przyjaciół!
Co mię wiecznie kochać mieli;
Lecz gdy mię los z mańki zaciął,
Wszystkich razem diabli wzięli.

Dawna piosnka.

OSTATNIE posiedzenie sądu dzielącego majątek biednego dziedzica między jego wierzycieli, podobnym jest do ostatniej godziny polowania, w której, mówiąc wyrazem myśliwskim, gończe z okabiorą zwierzynę. Lis stary, szczywany jak to powiadają, da jeszcze kilka tęgich obrotów, niżeli go pogoń lub szrót zabójczy dosięgnie; ale trwożliwy zajęczek dobywa sił ostatnich, aby doścignął

swój kniei ojczystej z której go wypłoszono, jakby tam koniecznie poledz pragnał, gdzie się urodził!!! Liczna stron gromada wywiera ostatnie, a najteższe usiłowania na zabicie wszelkich środków obrony dziedzica; oblega stół sądowy prośbami tyczącemi się wartości rozdzielić się mającego majątku, miejsca gdzie kto wybiera i daną mieć sobie życzy posadę i wytknięcia najdobitniejszych, czy to błędów, czy to nieszczęść dziedzica błędami ochrzczonych. Nareszcie uderzają go jakby na waletę, ostatnie razy mściwej niechęci, zawiedzionej nadziei, skarżącego się ubóstwa, nierozważnego natrzęsania się, i zwolna dopiekającej intrygi. Ten który przeszedłszy różne koleje życia nauczył się dotrwać w każdej, odpowie jednym, odepchnie drugich, pobłąży możniejszym, lęklwym pogrozi i da uczuć że jeszcze zupełnie nie upadł; wzgardzi innych, podwoi w téj stanowczej chwili siłę działania, i osobistość swoją nad tamę pogrążającą jego fortunę wyniesie. Ale młodzik nieznający ludzi ni świata, któremu chciwy interes z nieostróżnej i łatwowiernej korzystający młodości, wprzód wydarł fundusz, niżeli on poznał wartość onego, który przebył

drogę do zguby z zawiązanemi, że tak powiem oczyma, który we wszelkich stanowczych zdarzeniach życia, ledwo że nie traci przytomności, a najmniej nie zdoła utrzymać siebie na stopniu umysłowej nad losem wyższości; taki zazwyczaj z sercem ściśnioném i ze łzą w oku, słucha jakby nie słyszał uderzających go wyrzutów, i do poniesionej straty chleba dodałby jeszcze lat kilka swojego życia za skróconą jedną chwilę, tego ostatniego paroxyzmu swego moralnego skonania. Mamy prawa na bankrutów; czemuż nie mamy na tych, którzy do bankructwa przywodzą? Kiedy widzę młodego człowieka otoczonego rojem pochlebców, obłudników, samolubów, próżniaków i szachrajów, prowadzących go do zguby, przypomina mi się obraz od nianiek jeszcze opowiadany, jakto szatani dobrą duszę grzesznika do piekła zapraszają. Oto go otoczyli w około; jeden mu się kłania pięknie, drugi go pod rękę prowadzi, trzeci na fletrowersie marsz przygrywa, inny go z tyłu popycha, inny znowu ścieżkę gładzi i umiata; a wszyscy ciesząc się ze zdobyczy dowodzą, że w piekle i wygodnie i ciepło.

Na obszernym dziedzińcu, do którego przez

bramę ze zwyczaju tylko wjeżdżano, bo opadłe sztukiety i parkany wszędzie wolny dawały przystęp, wznosił się staroświeckiego kształtu budynek, którego jedna część z oknami całemi, zalecała się jako mieszkalna, środek z szybami po większej części papierowemi, oznaczaćby mógł leżącą rezydencję, a jedna trzecia część bez okien i pusta, wyraźnie dawała poznać, że spustoszenie tu, jak zwycięstwo od lewego ku prawemu postępując skrzydłu, właśnie nad środkowym korpusem pracowało, a dziedzic w ostatniej reducie warownie się oszańcował. Reszta budowli otaczających dziedziniec, jednegoż z głównym rumem doświadczały losu. Wysoki lamus jak olbrzym stary, na szczudłach wsparty, poglądał z góry ogromnym wołowym oknem na własną mizeryę, i na kuchnię u dołu jego codzien niższą, która nań wzajemnie, jak zgrzybiała i osmalona babuła, pokornym i przyćmionym z ziemi mrugała oczkiem, a przez dach, jak z pod starego kapiszonika, suche wyciągała ramiona. Na przeciw stajnia i wozownia, niezamożna wprawdzie w zaprzęgi i powozy, lecz za to wozownia wartą była obejrzenia amatora starożytnych pamiątek; można ją było

wziąć za skład wydobytych gdzieś jak z Herkulanum ułamków woźnictwa średnich wieków. Czerwone ogromne od karety pudło ze czterema gałkami na wierzchu, na których ostatki pozłoty błyszczały jeszcze, główny kąć zajmowało; stary pokurc Brys i kuchcik Janek, wielcy między sobą przyjaciele, wygodną w niém mieli gospodę. Z drugiego kąta strwożyć mogła niebaczego przychodnia, straszliwa głowa murzyna od paradnych niegdyś sanek urwana; nieraz w nich zapewne przed jakich sto laty, młodą piękność rzeźwy i zręczny powoził młodzieniec, a murzyn niemowa stercząc na przodzie, był jedynym powiernikiem ich oświadczeń i przysiąg: dalej skielet poczciwej taradajki, w której nieboszczyk dziadulek dzisiejszego tych skarbów dziedzica, objeżdżał z koronką w rękę pola, łąki i lasy; z bliższych epok ćwierć faetonu i półtory kałamaszki. — Ale któż wyliczy bogaty zbiór kół i półkół, bryczek, półkrytków, z których ręka znawcy ciekawy gabinet ułożyćby mogła. Niestety! przyjaciel Brysia nie jeden rosół na tych pamiątkach zgotował, i jak mi późniejsze doszły wieści, wszystkie je tym sposobem, nie oszczędzając i własnej kwatery, zniszczył.

Wśród tych powszechnych ruin, jeden tylko folwark gospodarski staranniej był opatrzony; mieszkał tam bowiem pan Baltazar ekonom, dbający bardziej o własne niżeli o pańskie wygódki.

Właścicielem dworu tego, był pan podkomorzyc, jedynak, dobrego urodzenia i wychowania, którego fortunie ostatnia wybiła godzina: i dla tego na dziedzińcu jego, w dniu tym który mi za treść służy, szczególniejszy zbiór i ruch postrzegać się dawał. Kilkanaście rozmaitych powozów stało przed stajnią, kilkadziesiąt osób różnego wieku i stroju, żywą prowadzących rozmowę, przechadzało się wielkimi krokami pomiędzy kilkunastu rozmaitej maści końmi, puszczone mi wolno na osty i pokrzywy gęsto na dziedzińcu porosłe. Grupy te łączyły się lub się rozdzielały po woli i kierunku koni dążących tak lub owak do bujniejszej trawy: często najważniejszą naradę przerywał i roztrącał deresz lub siwak wciskając się nieproszony między gromadę konsultorów; często znowu na jakies niewiadome hasło, całą kompanię ludzką pochłaniał budynek, a natenczas konie zdumiane nagłóm osamotnieniem

podnosiły głowy, wyciągały chude szyje, i rżały jakby szyderczo.

W budynku samym, scena w ciasniejszym zawarta obrazie, ożywieńszą jeszcze była. Tam w jednej z izb lepiej opatrzonych obrano sądową; na środku postawiono długi stół, na nim krucyfix, stróż sumienia sędziów, i dzwonek, godło prezydenckiej władzy; w około stołu trzy krzesła, a za pierwszym z nich woźny, urzędową jak mogąc utrzymujący minę, oczekiwał na przybycie sądu, i niedospaną fizyognomię swoją ożywiał, trzęsąc często z różka na kułak tabakę i ogromnym ją po kułaku dziubiąc nosem. To przybranie nadawało miejscu temu niejakaś powagę, a jednakże interes niezważając na to żwawo się tu krzątał i pracował; drzwi się bez ustanku otwierały na oścież, lub się z trzaskiem zamykały; tłum rozmaitych figur tłoczył się i mieszał; tam rozkładano papiery, ówdzie rozpostartą na rękach trzymając mapkę, kilkunastu z ichmościów na rozmaitych jej punktach, wzrok i palce oparli; kilku z czynniejszych facyendarzy przewijało się różnie i żywiej nad innych; przebiegali oni od jednych do drugich, odprowadzali na sekreta, i

wśród powszechnego gwaru rozprawiali wprawdzie ciszej na głos, ale mocniej na gesta i migi. Kiedy niekiedy usłyszałeś tylko: „połowę na *bars gielt!*” — sto . . . ani grosza więcej! . . . zjedz sto djabłów . . . połowę kapitału! Na suche bory i lasy . . . Nie doczekasz! zgoda! i tym podobne wykrzykiwania, oznaczające zawarte lub zerwane układy.

W zgiełku tym, tłumie i zamieszaniu, odróżniał się spokojny postawą młodzieniec lat dwadzieścia kilka mieć mogący, pięknej postaci i łagodnych rysów twarzy, na której jednak nagle zmiany bledości i rumieńca, okazywały wewnętrzne mocne cierpienia i wzburzenia krwi gwałtowne. Stał on w izbie sądowej oparty o okno i obojętnym na tłum zgromadzony zdał się poglądać okiem; przybywający do sali zimnym go witali ukłonem, wyżeł tylko siedząc na tylnych łapach przed panem swoim, patrzył mu w oczy jakby chcąc zgadnąć myśli jego, lub warował u nóg i burczał na podchodzących Powiadają że pies wierny zgadnie nieprzyjaciela!

Młodzieniec ten był to dziedzic rozdzielającego się majątku, pieszczony niedawno i szano-

wany od tych wszystkich, którzy dziś na stypę jego fortuny przybyli.

W końcu przy drzwiach stała jeszcze jedna figura spokojna i nieporuszona, człowiek dobrze podżyły ale czerstwy jeszcze i krzepki; uroda więcej niż mierna, rumiane policzki, włos siwy na głowie i także wąsy, a w całej twarzy wyraźna poczciwość ale nie łagodność wszakże. Stary to sługa domu dziedzica, ojcowski jeszcze, lecz od lat już dziesiątka szlachcic na zagrodzie w pobliskiej okolicy; patrzy on ze smutkiem na swego kochanego panicza, na dwór w ruinach za jego służby zamożny i porządny; na nieproszonych gości napełniających izby; patrzy.... milczy..... niekiedy pokręca wąsa i duma!... Jeden z uwijających się litygantów zbliżył się do pana Dagockiego (to było jego nazwisko), szepnął mu coś do ucha, mruknął coś nazad Dagocki, a forsujący odskoczył raptem w tył i przeżegnał się, widąc że niepomyślną wziął odprawę.

Wtém otworzyły się zamknięte dotąd podwoje i weszli sędziowie, a za nimi z wielką księgą pod pachą, w wytartej kapotce, przenikliwém na wszystkie strony rzucając okiem i z piórem za

uchem, regent sądowy. Rzekłbyś, że gwałtowny wicher uderzył raptem z tyłu na tłum zgromadzony, i razem wszystkich pochylił ku ziemi. Powoli prostowały się figury, a tymczasem na skinienie prezydenta, ozwał się najuroczystszy jak mógł głosem woźny: „Sądy taxatorsko-exdywizorskie przywołują się!” — Panowie! rzekł potem prezydent, proszę panów ostatnie dziś nam przynieść *petyta*, gdyż dziś niezawodnie weźmiemy sprawę do namowy i to jest ostatnia sessya.” Na te słowa szmer szczególniejszy dał się słyszeć po sali, ruch się podwoił, tłum się przewracał, popychał, szeptał i warzył, a tymczasem sędziowie zasiedli swe miejsca. „Słuchamy, rzekł znowu prezydent! cóż panowie? Wystąpił więc z tłumy pan Grzegorz mecenas, główny plenipotent kredytorów! Figura tego jegomościa sucha, a podobniejszego dobierając malowidła, wymokła i jakby potem zawędzona, przedłużała się długą bocianią naprzód wysuniętą szyją, a kończyła się głową spłaszczoną po skroniach i policzkach, co tém wydatniejszym czyniło nos pana mecenasa, kobuziego kształtu, z bogatym na końcu rubinem w miedzianą jakoby oprawę osadzonym, bo do takiego ko-

loru zbliżały się policzki jegomościa. Włos na głowie jego rzadki, nastrzępiony był niedbale nad czołem, które on marszczył lub rozmarszczał, stosownie jak ważne i zawzięte, lub łagodne snuł zamiary i myśli; a razem też się wytrzeszczały lub mrużyły zapadłe głęboko oczy pana mecenasa. Zawołanyż to jurysta staréj szkoły! *Quondam* aplikant, a potém agent trybunalski, z kolei naczelny powiatowy prawnik, i, co nie dawno jeszcze szło za tém, naczelny do haustu; nakoniec odstawnym pieniacz czyhający na wszelkie zjazdy, zajazdy, inkwizycye, tradycye, exdywizye, na których jako tęgim planista i doświadczony *executivus*, ważną zawsze grał rolę. Całą on swoją drogę życia najwyborniej i gładziutenko przechodził, bo wołał na wszystkich, wszędzie i zawsze słowami swojej professyi: prawo! prawo! prawo! a sam zawsze szedł na lewo, i dla tego nigdy się nie zaczepił!!! Wyciskał się tedy pan obrońca z pośród swoich litygantów, a co krok pociągany za kubrak nachylał się na jedną i na drugą stronę; każdy mu szeptał słów kilka do ucha i za każdym razem kiwał on głową i powtarzał: „rozumieć! rozumieć! pamiętam! aha! aha! dobrze! dobrze!” i

tym podobnie. Jak kuryer zabiera po drodze listy do miejsca gdzie się ma z tłomokiem rozpakować, tak pan mecenas z pełnym ładunkiem przybył do stolika, i wyprostowawszy się zawołał:

„Sądzie exdywizorski! Wielmożni panowie do-brodzieje! proszę o głos!”—Prezydent skinął głową, a pan mecenas zcichła, powoli i lamentującym głosem tak mówił: „Otóż chwila sędziowie! w której macie stanować o losie kilkudziesięciu osób i familij, które fundusze swoje w marnotrawne powierzywszy ręce, za gotowe i krwawą pracą zebrane pieniądze, kawałek ziemi nieużytecznej i wcale im niepotrzebnej otrzymać mają. Stoją tu przed wami, sędziowie! w znacznej liczbie zgromadzeni nieszczęśliwi kredytorowie, wyglądający od was sprawiedliwości i wyroku, przez który mądrość wasza zajaśnieje przed światem, i słynąć będzie w potomne wieki! Nie będę powtarzał poszczególnych wywodów interessu każdego z przychodzących wierzycieli, ani mojego własnego; bo to już w kategoriach osobnych, w produktach i replikach, miałem honor sądowi przedłożyć: w ogólności więc tylko i ostatecznie zastanowię uwagę sądu nad tém, jaki jest stan i war-

tość funduszu pod rozdział idącego, konkludując oczewiście, że takowy wystarczyć nie może na usatysfakcyonowanie debitorów pana dziedzica i jego antecessora, a zatem, że surowość prawa i rekurs dalszy *ad bona reperibilia*, rozciągniętym tu być musi i powinien! Po tym wstępie, mówca coraz żywiej głos podnosił: „Cóż tu wziąć mamy sędziowie? ziemię! ale jakąż ziemię? piaski! podzoły! błota! mchy! na których kredytorowie żurowiny tylko zbierać będą! a reszta choćby lepsza z natury, to pusta, nieuprawna, nieurodzajna, to Arabia! sędziowie, to Arabia!!!” — A wiele wasan z téj Arabii zjadł pirogów, odezwał się z kąta grubym głosem pana Dagockiego, bodaj wasan tyle... — Uciszcie się panowie! uciszcie się! przerwał woźny!... — Nie, sądzie prześwietny! fałszywy to i nadto śmiały głos w obliczu waszém przerywa mnie; mało tu było pszenicy, mało pirogów, a wkrótce nie stało i chleba; ale wszakże nie tém co było, lecz tém co jest dzielić się mamy, i tém gorsza nawet wina dziedzica, że objął, dajmy to pszenicę, a oddaje plewy; że objął intraty i urodzaje, a oddaje pustki. Bo zważ sądzie prześwietny! mamy tu wprowadzić wysadzane ulice i klomby jak je na-

zywają, a w rzeczy samej łożowe krzaki, w jakimś niby to ogrodzie założonym na nowo przez terażniejszego dziedzica: ale nie mamy lasów wyciętych bez potrzeby i ładu, nie mamy łąk, zarosłych i zapłynionych w trzęsawiska przez niedbałość gospodarza.” — Za każdym następnym satyrycznym peryodem mówca szeroką rozpościerał gestykulację, rzucając kiedy niekiedy wzrok na dziedzica opartego przy oknie. — „Na klombach że tu tylko zasiewać i gospodarzyć, bo na polach nie masz z czém, i nie ma na co! kilka nędznych krówek w oborze, dwie stare i chude szkapy w stajni, oto cały dobytek gospodarski rogaty i nierogaty. Mamy za to psów bez liku i dobrze wykarmionych, tu wskazał na tłustego legawca warującego u nóg Karola, ale téj trzodki zrzekają się kredytorowie dla dziedzica, niech cała przy nim zostanie! Z licznój ruchomości, pozostają już tylko podarte obicia na ścianach, połamane taburety i stoły, szafy bez zawiasów i kluczków, i liczny zbior butelek szampańskich i porteryowych, niestety! próżnych.” Uśmiechnął się tu mówca, uśmiechnęli się sędziowie, rozśmiała się publiczność, a pan Dagocki głową pokręcił. „Ma-

my i bibliotekę, ale nie wiele widać zawierają te księgi mądrości, gdy je pan dziedzic czytając ciągle, sposobu mienia pieniędzy nie wyczytał! Niechże je i dalej szczęśliwie czyta, w czas mu będzie filozofia przy hołocie, dla tego i biblioteki zrzekają się kredytorowie. Cóż mówić o budowlach i o całym *fundum*? W gumnach, stodołach i szpichrzach pustych, deszcz przez dachy i ściany rynsztokami leci, a w dwóch tylko czy trzech tu pokoiach, zaledwo może sąd prześwietny, sam pan dziedzic, i my biedni kredytorowie jak pod parasonem ściśnieni, usiedzieć! Cóż tu więc sędziowie? i jak taxować będziecie? kiedy nie intraty, nie wartość kapitałów, ale rudera, a zatem *onera* na karki kredytorów rozdawać macie. Prosimy zatem sądu o likwidację *cum altero tanto* i z nawiązkami! prosimy realizacyi i zasądzenia pen i kontumacyów!" Tu pan adwokat zajadłe już wrzeszczał, przyśpieszał słowa jedne za drugimi, przysiadał i podskakiwał raptem na stolik, i zakreślał w powietrzu palcem wskazującym i szerokim na nim herbowym krwawnikiem od ucha do stolika półkole: „pen i kontumacyów! bo dla czegoż jegomość nie stawał u sądu? dla czego narażał na

kłopoty i expensa, swych łatwo mu wiernych przyjaciół, swych śmiało powiedzieć mogę dobrodziejów? prosimy o licytację wszelkiej, prócz psów i biblioteki, ruchomości! prosimy o kalkulację *de asse et grano* z pana dziedzica; obowiązany on zdać ją, obowiązany pokazać, gdzie podział fundusz własny i pieniądze kredytorskie? Prosimy o lokację *secundum potioritatem*, a w téj kolei, o pierwszość dla siebie i JWielmożnego chorążego tu obecnego, *ante omnia* suplikuję. Prosimy nakoniec o uchylenie wszelkich wniosków, żądań, lub zaprzeczeń dziedzica: bo gdyby jakiegokolwiek czynić śmiał, zawołamy do niego;... tu mówca zwrócił twarz ku młodzieńcowi stojącemu przy oknie, a palcem stukał po stoliku: „Zawołamy do niego, oddaj coś winien! *redde quod debes!* oddaj nierzetelny debitorze, oddaj rozrzutny paniczku! oddaj marnotrawny synu coś winien! *redde quod debes!* a nie oddajesz pieniędzy? to oddaj wszystko co masz, i wszystko co mieć możesz; a nawet oddaj własną osobę: bo tak chce sprawiedliwość, bo tak każe prawo artykułu z rozdziału statutu litewskiego!... Na tę apostrofę zagrażającą jego osobie, dziedzic jakby niespodzianie i nagle zmię u

nog swych postrzegł, wstrząsł się i zbladł jak chusta.— „Nie masz klemencyi i moderaminu! kontynuował pieniały się konwulsyjnie pan Grzegorz, nie masz! bo i temu prawo i sumienie sędziów zaprzecza! Sędziowie! *pereat mundus fiat justitia!* to jest, jak się kto opisał, tak sądzon być ma!”

Odszedł od stołu mówca ocierając czoło zapotniałe; lityganci kłaniali mu się na znak zadowolnienia z odbytego głosu, JW. chorąży ścisnął mu rękę z uśmiechem, a łzy toczyły się po zbladłej twarzy dziedzica. Krzykiem mówcy czy instynktem zbudzony wyżeł, zerwał się gwałtownie, warknął i chciał się nań rzucić; chwycił go za obrozę pan jego, a woźny słysząc hałas i nie dając uwagi od kogo pochodzi, krzyczał z nałogu: „uciszcie się mości panowie! uciszcie się!”

Czy ma co do odpowiedzi obrońca massy? zagadnął znowu prezydent: słuchamy! Wyszedł zatem z gromady chłopiec elegancko ubrany i przystąpił do stolika z miną niedbałą, z jaką przystępuje doktor do pacyenta bez nadziei; zabrał głos i tak zaczął. „Z obowiązku mego i w swoim czasie, odpowiadałem poszczególnie i dostatecznie na wniesienia każdego kredytora: teraz pozostaje

mi tylko prosić sądu, aby mimo wymówny głos godnego obrońcy wierzycieli, sąd nie zapominał uwagi w sprawiedliwych decyzjach swoich na formalność zapisów i podług niej kasował..." Tu nagle postąpił do stolika dziedziec, odsunął swego obrońcę; twarz mu teraz pałała gorączką, głos drżał na ustach, mówił szybko i dobitnie, bo mówił z serca. „Nie, sędziowie! niemasz żadnej nieformalności w moich długach; za podpis mojego ojca ręczy moje sumienie, za mój podpis ręczy mój honor! gdzie takowe podpisy znajdziecie, wszędzie jest należność sprawiedliwą! Zliczcie więc takowe należności! zaspokoście je choćby ostatnią stopą ziemi, dotąd mojej ojczystej! Nie oszczędzajcie żadnej mojej własności, choćby tego ostatniego fraka mojego! ja was o to proszę! a jeżeliby wszystkiego co mam, mało było, pójdę z ochotą pracować przez całe życie na zysk moich wierzycieli, byłem nie miał na mojem sumieniu, i w przekonaniu poczciwych ludzi zarzutu, żem pragnął cudzej własności, żem się dobrowolnie i rozmyślnie przyłożył do czyjejkolwiek złej doli!" Odszedł; spojrzeli nań wszyscy z zadziwieniem i potem spojrzeli po sobie, jakby

z zapytaniem wzajemném, co czynić należało? Tymczasem obrońca massy znowu niedbale przysunawszy się do stolika, odezwał się: „W takim razie, sędziowie! ja nie mam nic do powiedzenia.” Prezydent więc już brał się za dzwonek, gdy rozepchnawszy tłum, pan Dagocki stanął przy adwokackim stoliku, i rzekł: „Ale ja mospanie tego, mam jeszcze coś do powiedzenia sądowi. Sędziowie dobrodzieje! słuchałem ja, a bodajem ostatni raz słyszał, mowy długiej pana Grzegorza, którego znam i z pierza i z mięsa, mospanie tego... Podsunął się obok pan Grzegorz, to jest obrońca kredytorów, i przerwał: „Upraszam sądu o zapytanie tego jegomościa, jakim prawem rwie się do głosu i śmie zabierać godziny sądowe? a nawet nie prosił głosu! — A to śmieszna rzecz, mospanie tego, pan Bóg dał mnie głos, na cóż mam o to kogoś prosić? i używam mego głosu i języka pocziwie... — Być to może mój panie, odezwał się prezydent, wszelakoż jeżeli pan nie jesteś kredytorem lub czyimkolwiek plenipotentem, więc nie masz prawa mówić u sądu. — „Aha! rozumiem, mospanie tego! a zatem kiedy tak koniecznie potrzeba, poszukamy, poszu-

kamy. . . Tu pan Dagocki wyjął z zanadry i rozwinął stary, niegdys czerwony pugilares, i włożywszy okulary, rozpoczął examen znajdujących się tam papierów; otoczyli go z bliska wszyscy, i zwrócili nań oczy. Tu są różne mantyki mospanie tego, mówił rozpatrując powoli, była tu i karta nieboszczyka podkomorzego na sto talarów bitych. Zaraz! . . . zaraz! . . . to: nie, to nie to: to świadectwo nieboszczyka podkomorzego. Paniel świeć nad jego duszą! zem mu lat dwadzieścia ośm pocziwie i wiernie służył! a może ichmość nie wierzyacie że można tak długo w pocziwości dotrwać? to proszę czytać, kiedy łaska! Nie chcecie? no, to niechaj sobie mospanie tego. . . Proszę uniżenie! gdzie to ta karta podziała się? To patent bractwa różańcowego XX. Dominikanów na pierwszego bratczyka; a to assekuracya mospanie tego, tychże ojców, że ja będę w niebie! — Assekuracya krzykniono! pokaż panie Dagocki, pokaż zmiłuj się! — Nic z tego nie będzie, odpowiedział starzec i schował papier, nie chcieliście czytać mojego świadectwa pocziwój służby, to i drogi do nieba nie pokażę. To, przepis doświadczonego lekarstwa na ochwat, a może któremu z ichmościów

zdałoby się mospanie tego... dla koni? nie, jak sobie chcecie! Dziwna rzecz! pewnie moja imość gdzieś tę kartę zakantopiła: oj, bo ta moja imość!!! To dekret wywodowy mojej rodowitości; mniejsza co on pisze, ale żem szlachcic z antenatów, to tak mi Panie Boże dopomóż! Aha! otoż znalazłem, proszę. W rzeczy samej, wyjął pan Dagocki stary i zawalany szpargał, i złożył na stole sądowym. Prezydent obejrzał tę kartę i oddał onę dziedzicowi; ten również obejrzawszy, — tak, rzekł, jest to podpis mojego ojca: pierwszy raz o tój należności słyszę. — I nigdybyś o niej mospanie tego nie posłyszał, ale potem o tém; a teraz mamże już prawo mówić? Sędziowie dobrodzieje!... wstał pan regent i podchodząc do prezydującego rzekł z cicha, „*a salarie*”... — Mniejsza, odpowiedział ten, formalności spełnią się później, a teraz aby nie ściągać czasu, ma głos pan Dagocki! — „Dziękuję mospanie tego! dobrze. Nie mogę ja, sędziowie, gadać tak gładko i po łacinie jak pan Grzegorz, bo ja w szkole nie bywałem, jak to powiadają, z infimy uciekłem mospanie tego, i zacząłem więc i skończyłem na *haec virga*, a więcej nic nie pamiętam i nie umiem; ale choć wszystko po pro-

stu opowiem, to przynajmniej prawdziwie i poczciwie, jak i co tu było, i jak nasi przyjaciele zgubili nas; a kiedy komu nie do smaku będzie moja mowa, to niechaj, mospanie tego, nie słucha, niechaj sobie wyjdzie, wszak chwała Bogu na podwórzu ciepło. Otoż trzeba wiedzieć panowie sędziowie dobrodzieje, że po śmierci nieboszczyka podkomorzego, pana mojego kochanego, została się nam piękna fortunka, a takich ichmościów których tu dziś tłum, dwóch czy trzech tylko było, i to gwałtem trzymających się klamki pańskiej: bo co rok podkomorzy oddawał im substancją ich, ale z płaczem prosili swego dobrodzieja aby im procencik płacił. Dobrze panisko nie mógł odmówić; ale jak on zawarł powieki, mospanie tego, został się młody podkomorzyc, zwyczajnie jak młody mospanie, każdemu wierzył, a każdy go oszukiwał. Co spójrzę teraz po tym pokoju, to wszystko, mospanie tego, przyjaciele nasi, którzy nie prośzeni i nie dziękowani zjadali nasze pieczenie, a dziś pożał się BOŻE!!! Ten sam pan Grzegorz, który tak tu perorował, wszak to całą krescycywę swoją winien nieboszczykowi podkomorzemu. Zostawszy on niegdyś deputatem, wziął go z sobą

do Grodna, a był natenczas pan Grzegorz goluteński jak święty turecki mospanie tego! wepchnął go jakoś tam do palestry i kreował jak najlepiej, aż też zaczął wkrótce porastać w pierze; a teraz syna swego dobroczyńcy, do kozy pakować myśli!!! Ale nie doczeka tego mospanie! — „Sądzie przświetny! przerwał pan mecenas, niech stawający kredytor mówi do rzeczy, to jest o swoim długi nie zaś kalumnii osobiste, do interesu wcale nie właściwe! — Aha! prawda w oczy kole mospanie tego! do rzeczy, do rzeczy, będę mówił, ale pamiętaj jegomość, że w długi i interesie jegomości nie ma rzeczy... Otoż powiadam panom, że po śmierci podkomorzego hurmem do nas cisnąć się zaczęły rozmaite figury: a pan Grzegorz, jako domowy nasz sługa, zalecił się mospanie tego do podkomorzycy na *totumfackiego* i konsyliarza. Wszyscy mu zaraz i pan konsyliarz wmawiać zaczęli, — niechaj sam powie kiedy nieprawda, mospanie tego, — że on jest wielkim panem; że garściami może pieniądze rozrzucać. Zaraz tedy kredyt zupełny i powszechny: „oddasz pan dobrodziej kiedy zechcesz, każdy mówił, karteczkę tylko dla śmiertelności, i nic więcej,” a to nieszczęście największe dla młodego

mospanie; kiedy łatwo pożyczać, to dług rośnie mospanie tego, jak na drożdżach. Więc napełniać się zaczęła stajnia nasza końmi różnej maści i denominacyi; psiarnie, dziedzińce i pokoje kundlami różnego kształtu, których teraz nazad przyjmować nie chcą; zwozić tu zaczęto jak do norymberskiego sklepu, rozmaite nam niepotrzebniusiennie rzeczy: fajki, cybuki, dubeltówki, zegareczki, pierścioneczki, faetony; a za co, naprzód póki stało, szły pieniążki nieboszczyka podkomorzego, a potem karteczki mospanie tego, które we czworo a może i w dziesięcioro, Boże odpuść! otaxowawszy swoje towary, brali kochani nasi przyjaciele. Byli i tacy mospanie tego i są teraz tutaj, którzy jakieś pretensye, z czasów podobno króla Batorego, do nas przypomnieli; postraszyli że będą prawować się, pan Totumfacki nasz zdecydował, że im słusznie się należy; więc w kombinacyi na połowę po sprawiedliwości mospanie tego, i przecie zgoda; a podkomorzyc nie karteczki już, ale całe karty czyli obligi wydawać musiał.— Przychodził co rok święty Jerzy, to każdy z ichmościów podjeżdżał po procencik: „nie masz pan dobrodziej pieniędzy, to przypisz pan

dobrodziej procenik do kapitału, dla śmiertelności mospanie tego, znowu dla śmiertelności tylko!” Oj! będzie śmiertelność fortunie mówilem ja nieraz i ostrzegałem mego kochanego podkomorzycy; ale konsyliarz nasz, pan Grzegorz, powiadał zawsze że to nic, że Dagocki stary gdyracz! a pan Baltazar ekonom, którego on na mojem miejscu zarekomendował, i który na koniku kusym przyjechał, a teraz oto widzę jak pers nadęty stoi, a podobno mospanie tego ma nadzieję panem zostać, obiecywał co rok to większe urodzaje i intraty. W takich nadziejach szło wszystko jednostajnie na zgubę, i coraz to gorzej; nie ustawały kupie, handle, borysze, darowizny i hulanki, a zkadże taka gromada butelek? podkomorzyc nie pijak; sami ichmość wypili i sami teraz drwią sobie. Powiedz sumiennie panie Grzegorzu, wiele ich sam jak smok wyszałeś??? — Uśmiechnął się sąd, zaśmiała się publiczność, a pan mecenas wyszedł za drzwi. „Była tu, prawda i liczna ruchomość; były kantyny, serwisy, sztuce, puhary, słowem mospanie tego, było srebra jak dREW, a gdzież to wszystko podziało się? JW. chorąży dobrodzieju, wzięłeś całą kantynę srebrnego

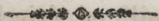
kredensu na dwanaście osób, za parę szłapaków, jak potem pokazało się, nosatych.” — Te... tego... nareście... odezwał się zaambarassowany pan chorąży; dobrowolnie to, .. i w dobrej komitywie... zatem, ... — Nie masz co odpowiedzieć JW. chorąży, mospanie tego; a srebrny talarami sadzony puhar? Mości sędzicu dobrodzieju, rzekł obracając się do tłustego, grubego a niskiego jegomościa, którego by na dwóch całych sędziów stało... Mości sędzicu mospanie tego, wszak pamiętasz pan jak na imieninach podkomorzycy, które cztery razy do roku obchodzić mieliście zwyczaj, choć już dobrze podweselony, poszedłeś w zakład o ten puhar że go duszkiem wychyliš za zdrowie solenizanta; a był to puhar mospanie tego półgarcowy!!; i dokazałeś sztuki, wygrałeś puhar.” Pan sędzic zajękliwy i zawzięty z natury, wysunął się na przód, przekrzywił okropnie usta, i z wysileniem jak z pistoletu wypalił: pu!... pu!... pu!... Pu!... ha a a a arr, to... te... ten!” Śmiech powszechny przerwał panu sędzicowi. — „Nie zająka się tak, mospanie tego, kiedy łyka, podrzucił pan Dagocki; czém rozgniewany jeszcze bardziej pan sędzic, mocniej zawołał: pu... pu... pu... pu..

h a a arrr!... Widząc wszakże że mu dokończyć nie dadzą, bo śmiech coraz się powiększał, zawrócił się nagle i wcisnął się w tłum, gdzie go przyjęto huczniem wokoło: pu!... pu!... pu!.., pu!... — Tym czasem woźny krzyknął uciszcie się! a Dagoeki dalej kończył: „A taratotka waszecina panie Baltazarze, czyż nie z kuntusza nieboszczyka podkomorzego? A krówki nasze, gdzież się na paszę nie rozeszły? W rozmaite strony, za lada pokłonem i prośbą. Nie ma podkomorzyc tak twardego serca, jak ci co go obdzierali; każdemu chciał dogodzić, każdego ująć, każdemu coś wyświadczyć; czy biednemu, co nie żał, czy nie biednemu a chciwemu, co pożał się Boże! To też wszystko mospanie tego, rozeszło się, rozdarło, rozdarowało z dobrego serca; a tera; ot-że masz wdzięczność! przyjaciele chcą go z biczykiem z fortunki wyprawić. Dobry panicz! poczciwy i rozumny nawet! czyta a czyta książki, nie szuler, nie pijak, a przecież zginął mospanie tego! cała jego wina że nie miał mocy powiedzieć tego słowa: *nie dam!* albo *won z mego domu!* a wszystkoby inaczej poszło!!! Ale sędziowie dobrodzieje! jest jeszcze sposób wyratowania się; proszę tylko po-

słuchać.” Jakoż na to wezwanie nateżono uwagę: „Oto, niechaj każdy z panów kredytorów, podług Boga i sumienia, *tacto pectore*, jak powiadał nieboszczyk podkomorzy, to jest poczciwie, po szlachecku, a choćby i pobożywszy się za prawdę, wyzna szczerze wiele pożyczył panu podkomorzycowi pieniędzy? a wiele? . . . wiele? . . . jakby to powiedzieć mospanie tego? — wiele ma u niego na karteczce dla śmiertelności, niepożyczywszy gotówki, z facyendy naprzykład? Wiele warte było to co dawał, a wiele taxował dla podkomorzycy? i tak dalej mospanie tego. Po takiej substrakcyi, w Bogu nadzieja! będzie i wilk syt i koza cała! . . . Znowu śmiech powszechny przerwał mowę panu Dagockiemu. „Śmiejecie się panowie? macie więc za żart poczciwą radę? więc nie ma zgody? No! to inaczej poradzę. JW. chorąży dobrodzieju, dawałeś mi rok temu nazad, stępaka ze siadzeniem, abym tylko wyswatał córeczkę pańską Urszulkę podkomorzycowi; powiadałeś natenczas: ja kredytorów puszcze z kwitkiem, niech tylko podkomorzyc zapíše mojej Urszulce sto tysięcy złotych. Swatałem, radziłem, cóż poradzisz? kiedy choć ty koł na głowie chesz, ani weź nie chce on pański

Urszulki. Ale z czasem może się panicz opamięta, mospanie tego, a teraz powiedz pan dobrodziej, ten sposób puszczenia z kwitkiem" . . . — „Sądzie prześwietny! przerwał wróciwszy do sali pan mecenas, powtarzam prośbę zwrócenia tego jegomości do własnego jego interesu, niech mówi o swoich stu talarach nie zaś o naszych należnościach, które sąd justyfikować będzie.” — „Tak! ozwał się prezydujący, mów panie Dagocki o swoich stu talarach. . . — „Aha! mospanie tego, sto talarów moich, sto talarów! . . . To mam wziąć za nie kawałek ziemi, kawał pola które mię tyle lat żywiło? odebrać kawał chleba od syna, którego ojciec mnie chlebem karmił? od dziecka, którem na rękę wypiaśtował? . . . O! niechby mnie piorun trzasnął, na téj saméj skibie ziemi, rzekł uderzając nogą o podłogę, którąbym wziął za te sto talarów!” — Porwał swój oblig, mocno wzruszony starzec, ucałował podpis, oddał go, wsunął zanadrę, a resztę pisma podał na szmatki i cisnął na pokój. „Wkrótce mospanie tego, kończył on, a łzy płynęły mu po licach, wkrótce da pan Bóg złączyć się mnie tam! . . . z moim kochanym panem; powiem mu, dalibóg powiem: zostawiłeś, panie mój

pocziwego syna, ale otoczyli go... mospanie tego," !!! — Nie dał mu kończyć również płaczący dziedzic, rzucił mu się na piersi, całował go z całej duszy; starzec całował go także i ścisnął... cała gromada z rozmaitemi twarzami patrzyła na tę rozrzewniającą scenę!... przerwał ją dzwonek prezydenta. Do namowy! zawołał woźny, do namowy! Ruszyła się więc hurmem z sali cała gromada: i zatrzasnął woźny drzwi sądowe, zawierając za nimi los dziedzica, sprawiedliwość sędziów, i nadzieje kredytorów!



S A M O W A R.

S A M O W A R.

Lecz gdy ci w głowie wielmożność zasiedzi,
 Zaczęły być budzą, lutożno przyjąć gościa,
 Jak pogromicielem cokolwiek z wawozi,
 Tak znów wawozi, bieżniaż z łepomocia.

W rok w Litwie nie zna starożytności, ktoż
 dom nie ma go przybywającej, raz na rok go
 szepem? od kogoś odlegli od miast i wsi, do
 waga wyborniej lub mierniej, w czasie jak chcą
 pić herbaty? ktoż dostarczy ciepłego przed si-
 nią filiżanki? smaczno na post kawioru? słodkich

poczołowego syna, ale odczyli go... (nie)spanie, te-
 go, "III— Nie dał mu konczyć również płaczący
 dziedzic, rzucił mu się na piersi, całował go z ca-
 łej duszy; starzec całował go także i sciskał; ca-
 ła gromada z rozmaitymi twarzami patrzyła na
 tę rozrzewnioną scenę!... przerwał ją dzwonek
 prezydenta. Do namowy zawolał woźny, do sienio-
 wy. Ruszyła się więc burmistrz z sali, cała gromada
 da: i zatrzymał woźny drzwi sądowe, zawierając
 za nimi los dziedzica, sprawiedliwość sędziów,
 i nadzieję...

R A W O W A R

S A M O W A R.

Twoja fortunka, choćby i chatka,

Będzie się dobrze wydawać,

Jeśli z sta złotych będzie intratka,

A z nich choć dziesięć zostawać.

Lecz gdy ci w głowie wielmożność zaświeci,

Zechcesz żyć huczno, huczno przyjmąć gościa,

Jak jegomościem zostałeś z waszeci,

Tak znów waszecią będziesz z jegomością.

§.

Któż w Litwie nie zna starego Muchina! któryż dom nie ma go przynajmniej raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy, dostają wybornę lub miernę, w miarę jak chcą płacić herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimną tułubą? smacznego na post kawioru? słodkich

dla paniczów i pańienek konfitur? na które swoje coroczne małe, gromadzą dochody. Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma coś do przypomnienia; dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół: słowem on tu w Litwie, ma pewnie więcej znajomych i dłań uprzejmych, niżeli w swój rodzinnej stronie. — Ten tedy Muchin, w mroźny styczniowy poranek, w wigilią Trzech Króli, zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzic płacąc nieuważnej młodości długi, zbankrutował nakoniec; i opuściwszy staroswieckie pradziadów swych gniazdo, popędził się w świat za fortuną, która mu z własnego domu uciekła.

Muchin wie czego komu potrzeba; po serdeczném więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano, dobywał tułuby z doskonałych macic dla jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla imości, a płócienka, rypsy i nienajlepsze perkaliki dla pańienek. Ale na ten raz Muchin się oszukał: bo pan Baltazar Sularski, w ciągu roku, który przedzielił tu bytność kupca z ekonomą został właścicielem części ma-

jątku rozdzielonego między dłużników rozrzu-
 tnego dziedzica, któremu własne jego dochody
 pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność, i
 za nią usadowił się wiecznym a wilczym prawem
 na folwarku, gdzie wprzód ekonomską zajmował
 gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nic
 już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy,
 poznał na co się zanosi i przepowiedział zły ko-
 niec dziedzicowi, i dla tego prosto już teraz przed
 folwark zajechał. Wniosłszy do izby towary, po-
 strzegł w niej niejaki odmiany: była na nowo
 wybieloną, na miejscu zedła stała kanapa, którą
 on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed
 nią stół czeczotkowy, kilka krzeseł około stolika,
 na ścianach na miejscu pobożnych obrazków, czte-
 ry pory roku, Venus à la Titien i historia syna
 marnotrawnego. Ha! pomyślił stary lis, coś tu in-
 szego pokazać przyjdzie. Jakoż z oburzeniem od-
 rzuciły imość i panienki wszystko co przyniosł, a
 jegomość objaśnił zadumienie Muchina wykrzyku-
 jąc w pełni ukontentowanej miłości własnej:
 „Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! diabli
 wzięli mego pana! podkomorzycy: a teraz ja tu
 pan! — *No pozdrawlajem! pozdrawlajem* rzekł

Muchin; napijemy się wódeczki, za zdrowie pańskie! to dobrze! to wyśmienicie! *ja etomu oczeń rad!* I imość kochanińka! i panienki *teper barysznie!* *eto charaszo!* *eto oczeń charaszo!* Tym czasem mruknął kilka słów niezrozumiałych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczał długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspomniał czaj i samowary, panna Salomeja starsza córka ichmość gospodarzy, podskoczyła raźnie jakby starego Muchina pocałować chciała! Ach! samowary, papuniu, samowar i czaju: wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziewaną dusić się musimy; papa dalibóg musisz kupić samowar, czy Pan Bóg papie nie dał, chwała Bogu teraz i majątku? czy nie ma za co?— Ej! co tam bredzisz, ofuknął się jegomość; idź precz z tym swoim samowarem; ot napijemy się z pocziwym Muchinem żytniej herbaty, to lepiej będzie; do waćpana panie Muchin. — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafi do celu, pociągnęła nieznacznie mamę za suknią, weszła do alkierza, a za nią i mama: tam z płaczem przeło-

żyła mamuni, że nigdy za mąż nie wyjdzie, kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak dotąd, bo nikt nie bywa u nas, więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał, czy my po ludzku przyjmujemy; ot pan assesor może i doprawdy ma się do mnie, bo nieraz powtarza, że mnie kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie, to jegomość wita go pierwszym słowem: „Ja podatki opłaciłem” — traktuje potem prostą wódką, a dla koni nie dają obroku; i czy mało ktoby się zdarzył... — Nu dak co? przerwała mama, chcąc dopomóc losowi córeczki, czegoż trzeba? — Trzeba mamu kupić samowar i herbaty, mieć czém przyjąć i potraktować gości! czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?... — Da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała!!! Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego. — Niechajże mama idzie, dodała całując jej rękę, i niech jegomość kupi samowar. — Da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sułarski tymczasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem,

dobił targu o tułub, i wnet się weń ustroiwszy przechadzał się rokosznie po izbie, podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był za długim na niską i krępą figurę jegomości. A co duszko? widzisz w jakim ja sobie tułubie? powlekę go sukniem i dam kołnierz ze starój *niedźwiedni* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacyi w czasie exdywizyi kupiłem, ot będę miał i *miedźwiedzie*.—Da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszec jegomość (bo pani Sularska dla której przez lat 30 mężulo był *waszecią*, trudno do jegomości przywyknąć mogła, i najczęściej etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszec jegomość kup lepiej *samowar* i *herbaty*! — Czy znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? ja piję z rana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz kiedy jaki mości pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem—Ot waszec bałamucisz przerwała imość, i po wszystkiem: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za mąż powydawać, a nie chcesz żyć iak ludzie!—Papo wszak mówił, onegdaj odezwała się pokornie Salomeja, że chce zostać sędzią granicznym —

Ale sędzią! a czy ten samowar zrobi mię sędzią? Poparł całą swą wymową żądanie imości i panienki, Muchin; jeszcze razy ze trzy imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę samowaru, obawiając się, aby udobruchawszy się, nie zapomniał się, i nie stracił na przedłużonym targu. Nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki i radom Muchina, który odebrawszy podwójną wartość samowaru, zaniósł go z poważną i pontyfikalną miną na stolik, w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany. Funt herbaty dopełnił reszty kupli, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszki wychyliwszy kroplę, po kilkakrotném zapewnieniu kupca, że nigdy nie minie tak *czesnych* gospodarzy, rozstali się wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomeja z nowego naczynia! Ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkiem, i z daleka i z bliska; rozbierała go na części, exenterowała wewnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić, aby przygoto-

wać herbatę na samowarze. Nagle myśl ją wielka objęła! jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pędem, i znowu pociągnęła mamę za suknią do alkierza.

Wiesz co mamó? — Nu dak co? — Jutro imieniny jegomości. Trzech Króli, Kasper, Melchior i Baltazar! — Aha! nu dak co? — Zrobim mamó siurpryzę! — Co to jest siurpryzę? czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tu nie ma: a może jeszcze czego i z kramów? — Ale nie mamó! nie! — Waszeć Salomciu niepotrzebnie u pani sędziniej nauczyła się pańskich fumow! my szlachta, na co nam to potrzebno! tak daj pokój tym syr, .. sur... jak tam gadasz! — Ale mamó to nie potrawa, to co innego! — Nu dak cóż! — To znaczy, że mimo wiedzy jegomościnej zaprosimy na jutro gości, wydamy herbatę z samowara, i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tém nie powinien. — Nu dak co? dak trzeba powiedzieć jegomościu? Zniecierpliwiona córunia taką niewyrozumiałością mamy, ale co imości dzieje się, rzekła, i zaczęła obszerniej i jak można najjaśniej tłumaczyć swoje plany;

a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nudak co? więc milczenie wzięwszy za zgodę i wyrozumienie, wyszła z alkierza panna Salomeja i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przy sposobień.

§§.

W opustoszałym gmachu pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniej jego przedtém fortuny, mieszkało jeszcze dwóch sług jego: stary Michał, kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do rodziny panów swoich, których trzem pokoleniom wiernie służył. Płacząc on codzień nad zniszczeniem ostatniego swego pana, którego na rękę wypiautował, pilnował ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni rozmyślając sam o przeszłości z uczuciem takim, z jakim stary wojownik ogląda na pola, które niegdyś były placem jego tryumfów. Nienawidział on Sularskich, bo znał, że oni przyśpieszyli ruinę panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem, i faworytem panicza. Ten włącząc się z pa-

nem po miastach, dworach i miasteczkach, przejął obyczaje i manierę sługom wielkich panów właściwą, to jest grubijaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuteryę dla wyższych stanów. Nie cierpiał także Sularskich, bo gdy dawniej odnosząc im często rozkazy pańskie połajał ekonoma, zniósł on to cierpliwie i jeszcze imość nieraz pana Józefa na śmietanę zaprosiła: a teraz Sularski kwitując za swoje, nie raz eleganta Józefa chamem nazwać odważył się i stu bizunami grożąc, dodawał: „odpowiem panu twojemu i zapłacę mu, bo taki on hołysz jak i ty”. Oba zaś stłudzy jak izraelici Messyasza, tak czekali powrotu swojego pana. Zaraz po exdywizyi pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja swojego, którego jedynym był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pieniędzmi do fortuny, a zatem ze sposobnością wyrugowania z niej nowych jęj posiadaczów.

Wieczorem w dniu bytności Muchina w jednym z pokojów pałacu, stary Michał siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziej z nałogu niżeli z potrzeby, staw bowiem ryb pełny należał do pana Sularskiego; zażywał przytém często ta-

bakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy: Józef w ostatkach niegdyś sajetowego surduta poprawiał ozogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybucha, i przewalając się na łożku prawił Michałowi androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie i wszędzie gdzie bywał, wydarzonych: za każdym nowym jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tabakę; a wtém weszła panna Salomeja do izby.

—Dobry wieczor Michale! dobry wieczor Józefie! Nieodpowiadając na komplement Michał, a prosto zawsze zmierzający do interesu, a czego waćpanna chcesz? zapytał.—Przyszłam, mój kochany Michale, prosić u was jednej rzeczy! — Jakięj rzeczy? my z łaski waćpaństwa żadnej już rzeczy nie mamy: stoły, stołki, krzesła i kanapy, wszystko a wszystko zabraliście; siedzicie, jecie, spicie na naszych rzeczach!!! Niech wam Pan Bóg..., zatrzymał się stary.... grzech przeklinać pomyślał; dokończył więc odmieńając przeklęstwo na życzenie, nie zupełnie wszakże życzliwém być mogące: niech wam Pan Bóg po sprawiedliwości dopomaga! czegoż waćpanna chcesz? — Panna Salomeja

zaróżowała się ponsowo na tę apostrofę staruszka, jednak cierpliwie zniosłszy, nie oto idzie kochany Michale, rzekła, ja nic brać od was nie chcę, ale przyszłam prosić, abyście mię nauczyli jednej rzeczy. Grzeczniejszy Józef od Michała, wstał przecież z łóżka i zapytał, czegoż takiego chce panienska nauczyć się od nas? — Mój papa kupił dziś od Muchina samowar! — Ehe! już i samowar od Muchina: lepiejby kupił garnków od Ławryna, mruknął uszczypliwy Józef. Znowu rumieniec oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego konceptu, kończyła; —ja wcale tego nie chciałam, bo na co nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił: otoż proszę kochany panie Józefie naucz mię jak robić herbatę na samowarze — Herbatę na samowarze? powtórzył niedbale pan Józef poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachód! — Zdaje się, że nie tak bardzo, ot wszak tu jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry, że mnie pokażesz jak co zrobić, będę starać się odsłużyć tę łaskę panu Józefowi. — A dla czegoż koniecznie dziś? już późno, węgle nie wypalone, będzie czad! pochorujem na głowy, i nic więcej: nie-

chaj którego tam dnia innego, to obaczmy. — Ale bo mój Józefie, ale bo widzisz Panna Salomeja nie chciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz nie było innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odważyła się nakoniec; bo widzisz mój kochany Józefie, jutro Trzech Króli. — Aha! jutro Trzech Króli, odezwał się Michał, wielkie święto! nieboszczyk pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilią Trzech Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdych drzwiach, i powiadał, tedy biada nie wejdzie: i chwala Bogu, za jego czasów nie weszła. Ale po nim nikt liter nie pisał i tu zażył mocno tabaki, pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie. Dowcipna Salomeja wnet schwyciła za węgiel i rada, że się przypodoba staremu, — ja, kochany Michale, rzekła, tymczasem choć węglem napiszę na waszych drzwiach te trzy litery: właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę: nieszpętną więc rączką ująwszy delikatnie, aby się nie umazać węgielek, napisała Salomeja na drzwiach wielkie K. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązaném oku sia-

tki, patrzył na piszącą. — Czekaj waćpanna, jeszcze nie wszystko rzekł; jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami. Salomeja podjęła węgielek i położyła krzyżyki. — Nu teraz dobrze, daj Boże waćpannie zdrowie, i męża da Pan Bóg, kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie. Cierpliwa panienska, znowu do Józefa się obróciła, i rozumiejąc że zapomni o zaczętej powieści; więcze kochany Józefie nauczysz mię zaraz o co cię proszę? Ale Józef chciał wyczerpać do dna przyczyny i zamiary panny ekonomówny, domyślał się bowiem czegoś nadzwyczajnego, i postanowił albo dobrze ze zręczności skorzystać, albo odplacić znakomitym figlem za niegrzeczne przegrózki Sularskiego. A cóż panienska zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Królach i nie skończysz? dla czegoż koniecznie jutro potrzeba herbaty z samowaru? czy będą goście jacy? — Otoż to widzisz, kochany Józefie, jutro imieniny papy. — Jakięj papy odezwał się znowu Michał, papa to chléb; a kiedyż to imieniny chléba? — Nie, Michale, to imieniny naszego ojca; wiesz że jemu imie Baltazar, a teraz to zwyczajnie ojca, dzieci nazywają papą! — Dawniej odpowie Michał, dzieci

chleb nazywali papą, a ojca tatulą; ale to wszystko jedno, zawszeż ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa, i to papa: po téj moralnej uwadze znowu Michał siatkę wiązał. — Otoż mój kochany Józefie, może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad, gdyby dać herbatę z kupionego samowara. — A któż może się zdarzyć? chyba zaprosicie kogokolwiek sami. — Mama podobno ma poprosić z kościoła na podwieczórek i na herbatę panią sędzinę z córkami; podobno będzie pan assessor i jeszcze tam ktokolwiek może. — A to co innego, to będą huczne imieniny pana Sularskiego; no! to sprawiedliwie, trzeba dać herbatę z samowara. — Więc Józefie ja pobiegnę po samowar. — Na co to potrzebne! jutro jak się zbiorą goście, panienska daj mi znać, ja przyjdę do piekarni, i tam wszystko należycie urządzą. — Ale bo mój kochany Józefie, jak czasem jutro w domu nie będziecie, a my naprosimy gości! — Kiedy ja paniencie daję słowo, że nigdzie nie oddalę się i będę czekał tu na miejscu, bądź panienska spokojna! — Zmiłuj się kochany Józefie! i sam herbaty się napijesz, i podwieczórkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się chusteczki jakiej na szyję dla

Józefa. — Nu dobrze, dobrze, idź waćpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmienicij. Niedowierzając panna Salomeja szalbierskiemu uśmiechowi pana Józefa, jeszcze mu powtarzając prośby raz i drugi dygnęła. Po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu, zostawując Michała już drzemiącego, a Józefa zamysłonego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednej stronie zyski swoje: podwieczórek! herbata! i chusteczka! na drugiej śmiech, wstyd i złość dla Sularskich; ważył, rozważał, miarkował, — i jak to najczęściej bywa na świecie w wyższych i niższych stanach, zło przeważyło; zasnął więc wybierając tylko sposoby swój zemsty.



Nakryto pięknie stolik, a zebrani liczni goście obsiedli go dokoła; imieninki Sularskiego wybornie obchodzono. Pani sędzina, prima donna tój fety, z trzema córeczkami rówiennicami w wieku trzech panien Sularskich, w wybornym była humorze! Pan assesor zalecający się na przemian to do starszej panny sędzianki, to do starszej panny bywszej ekonomówny, znajomiej nam panny

Salomei, w wybornym był humorze; jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wąsa, pogląający z rozkoszą na sporą karafkę czerwonej cieczy w rezerwie na kominku stojącą, wróżąc jej smakowity wkrótce użytek, w wybornym był humorze; pan komornik byłej tu exdywizyi, przybyły po resztę od kopca doliczanych solariów i odebrawszy je od pana Sularskiego z sowitością, w wybornym był humorze. Sam jegomość dobrodziej, gospodarz i solenizant, w nową, czarną, suto taśmami oszemerowaną był odziany węgierkę, szeroka jedwabna zielona na szyi chustka, w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z łańcużkiem od zegarka za nadrę wepchniętym, a tym sposobem, grubo-płaska figura jegomości na dwie szerokie połowy bławatno złocistą wzdłuż się przedzielała pręgą; grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to skarbnikiem, to rotmistrzem—ustrojony więc i utytułowany pan Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec pogląając z rozkoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech panien sędzianek, podchodziła do jegomości i szepcąc mu na ucho,

tę sprawiedliwą swęj radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze szczególniejszém przymileniem pytała pomrukiującego mężula: „Nu dak coż duszko? Nu dak co? a to oznaczało wyraźnie, że w wybornym była humorze! A tak cała zebrana czereda, w najpiękniejszém usposobieniu około stolika, jakem to powiedział, osiadła.

Tymczasem Józef dotrzymując wczorajszej obietnicy, za daniem mu hasła przystawił się na przeciwek i już od półgodziny z młotkiem pracował około samowaru, dowodząc pannie Salomei, że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi. Samowar był wysmienity i cały; na co zaś ten ladaco godził, skutek to potém okazał! lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu, kolei ważnych dnia tego wypadków!!!

Dwoma przeciwnemi sobie elementami, wodą i ogniem napełniony samowar, wzniosł oburącz Józef i powolny proście panny Salomei, zadarłszy jak najwyżej swój nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawić wśród gości na stoliku, to nie-szczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salunia z niewymównym wdziękiem, piękną swą rą-

czką na wierzchołek kurzącego się komina *czajnik* wzniosła.

O dziewico! dla czegoż tyle wiesz o sile pary ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli! dla czegoż nie wiesz, że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach! że hamowana rozrywa! ale dziewica siedzi najspokojniej przy panu assesorze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitém wiekiem. Czas nalewać herbatę odezwała się pani sędzina. Panna Salomeja powstaje i chce ująć czajnik; pan sekretarz ujmuje za butelkę czerwonój cieczy a wtém zrywa się wieko samowara i ulatując do góry, wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczotki Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbatą; wierzch spadając trafia na łysinę papuni, który jęczącém oj! oj! oj! zawtórował wrzaskom dziecięcia. Tymczasem nagle uwolniony war, prysknąwszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorse osiadłój około i zamoderowanój męzkiego, żeńskiego i nijakiego rodzaju gawiedzi, jak lawa z krateru gorącemi potokami się rozlał:

na dobitkę, w powszechném zamieszaniu i wrzasku, ktoś trącił nieostróżnie modny na jednej nożce stolik — wywraca się samowar i raptem półwładrem waru podlewa obróconych tyłem do stolika, panią sędzinę i pana komornika, a panu assessorowi, ocierającemu właśnie trzewiczki na sparzonej nożce panny Salomei, w gęstą czuprynę gorącego z żarem nasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie — wszyscy jednym popędem skoczyli do bokówki uciekając od piekielnego ogniem i warem buchającego smoka; lecz assessor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: *palim się!* Na to słowo, przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna; w mgnieniu oka wyparte z uszaków i pobite otworzyło wolny przestwór, przez który cisnąc się jedno przez drugiego, cała kompania nakoniec w wysokiej hurbie śniegu tuż pod ścianą osiadła!!! Niech mi daruje przezacne towarzystwo w śniegu uwięźle, gdy powiem, że nie jęczało, nie krzyczało, lecz nakształt rui wilków około Gromnic zebranych, różnemi głosami wyło: a co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie w złej doli, niezgoda wszczyną się między nieszczęśliwemi, tak i tu pani

sędzina, poczęła łajać panią Sularską, po razy kilka ją przeklętą ekonomową nazywając. Można było darować tak boleśnie podlanej sędzinie, i pani Sularska skłonna być się okazała do puszczania płazem obelgi, bo tylko zawołała: Nu dak co? że ekonomowa? nu dak co? Ale panna Salomeja obok matki w hurbie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za mamę, wykrzykując: ach! waćpani sędzina! osobliwość! Sędzina! osobliwość! — i byłoby dalej zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jej czele z zalanym pożarem na głowie assesor i sekretarz jego z butelką czerwonej cieczy w rękę, którą arcy-przytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powracano do pokoju: nikt nie był bez szwanku, każdy oparzony lub opalony złorzeczył i przeklinał; imościanki piszcząc i płacząc z bólu, pytały się wszelako jedna drugiej, czy zblakują oblane sukienki? — proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystko było wesoło!!!

Sam jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwałając, chciał pójść z nim w tuzy; retyrujący się Józef oskarżył pannę

Salomeję: „jam panienkę nauczył jak postępować z samowarem, cóż ja winienem?” Usprawiedliwiony Józef uciekł, a jegomość wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagłe policzki wyciął po pięknej buzi Salomei; ledwo drugiego dokończył, gdy bolesny w plecy kułak dał mu uczuć, że córka ma mściwielkę w mamuni. Chciał więc i żonę aplaudować zapamiętały Sularski, lecz pan komornik stanął w obronie.

Owoż naprzekor wszystkim prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *nieweselem* — Bo katastrofa taka zniweczyła wszelkie nadzieje panny Salomei z oświadczeń pana assessora powzięte, a które świetnym obchodem imienin papy, i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomiczną sferę, ugruntować chciała. Choć bawem po najrychlejszym odjeździe rozgniewanej sędziniej i dalszej kompanii, pan assessor z sekretarzem i komornikiem, powodem uratowanej czerwonej cieczy zostali, i oną z udobruchanym gospodarzem do ostatniej wysuszyli kropli; wszelako uległa tak sówitej konfuzji panna Salomeja, nie pokazała się więcj. Nu dak co? że

ociec ciebie szturchnął! nu dak cóż? dla tego to nic! ot tylko wstań i wyjdź zaraz, mówiła do niej matka w alkierzu. Na tę rozsądną radę, Salomeja odwróciła się tylko do ściany i mocniej stękać poczęła: a tymczasem i pan assesor wyjechał, zabrawszy z sobą samowar, który mu pan Sularski jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem darował.

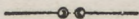
Gdzież oryginały? zapytasz czytelniku, dla którychby powiastka ta za obrok duchowny służyć mogła? komużby ją poświęcić, i że tak powiem przypisać należało? — Ach! zejdź czytelniku do wielkich niegdyś hrabstw naszych, na malutkie dziś przez exdywizye porozdzielanych części, zejdź do tych kilkochatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkudziesiętni; iluż tam Sularskich! ileż panien Salomejek znajdziesz!!! im więc to poświęcam moją powiastkę, z wróżbą niechybną w godle, i z sensem moralnym w takim Epilogu.

„Gdy cię los w niskim pomieścił stanie,

„Zbytkiem się nie unoś zdrożnym —

„Lepiej być dobrym Mospanie,

„Niżeli śmiesznym Wielmożnym.



POWRÓT DZIEDZICA.

POWRÓT DZIEDZICA.

Wydawnictwo...

...

Wszystko się opiera na... w poprzedzających...
wzrostach dawną, jest... od...
w przynajmniej...
drona...
jak...
jakie...
...

POWROT BIEDZICA

POWRÓT DZIEDZICA.

— 23 —

Nie pogardzaj ubogiego,
Szanuj wszystkie stany;
Poznaj w chłopku brata twego,
A będziesz kochany.

Krakowiacy i Gorale.



DIEDALEKO od opisywanego w poprzedzających obrazach dworu, jest wioseczka od chat kilkuna-
stu, w przyjemném i wygodném położeniu osa-
dzona. Mieszkaniec wsi, rolnik, przyjaciel wło-
ścian, który często obcuje z nimi jak z braćmi
swymi, który z upodobaniem mieszkania ich i go-
spodarstwa nawiedza, zna to miłe uczucie jakie
nas ogarnia, gdy się schludne, dobrze obudowa-
ne i wesołe przechodzi sioło. Serce się pochyla

ku niskim strzechom, rozumie że tam siedlisko spokojnej doli; myśl pokrzepia się i zasila prostym wyrazem poczciwego włościanina, tak, jak znarowiony zbytkami żołądek zasila się i pokrzepia łyżką prostej stawy z piekarni, i kawałkiem razowego chleba. Nie potrzeba dręczyć wyobraźni na urojone opisy pasterskich sielanek i wieśniaczych chatek, aby miłe i życzliwe dla nich obudzać uczucia. Rzeczywistość bez przesady, obrazy włościańskich obyczajów z natury wzięte, sercu skłonnemu do czystych, wiejskich, spokojnych roskoszy, równie upodobanemi będą, a słodsze w niem i głębsze, bo prawdziwe obudzą wrażenia.

Oto masz dziedzińczyk do około zabudowany domowstwem, w którym mieści się dobytek i za-
można chudoba gospodarza; z chlewa ci kilka pięknych wyjdzie krówek; za niemi poważne suną kroki dwa woły, jakby młodszego rodzeństwa opiekuny, a względem pana swojego jak starzy pracy jego i mozołu na polu współnicy i towarzysze. Z innej zagrody z boku, wybiegają gromadnym stadem owce, i tłusta maciora liczne swe wyprowadza potomstwo; wszystko to zmierza na

środek dziedzińca ku studni, przy której mały chłopczyk trzyma na powodzie ulubionego konika, i z której hoża młodziśca lub rażna dziewczka wyciąga wodę, i jak Rachel pojąca trzodę Labana ojca swojego, rozlewa onę dla swych krówek i wszelkiego otaczającego studnię żywiołu.

W końcu dziedzińca są wrota na gumnisko. Żadna murawa w pięknych naszych parterach wypieszczona, nie przewyższy świeżością i powabem murawy gumniska porządnego (a tylko o porządnym tu mowa) włościanina. To miejsce jego niedzielnego wypoczynku, w czasie letnich skwarów, pod cieniem kilku brzoź lub klonów rozpościerających tam najczęściej stare i gęste konary; to miękkie posłanie po którym koczują i tarzają się swawolne chłopięta, albo też spadają na nie bezpiecznie z przepłotu lub strzechy, gdy po wróble gniazda pną się tam nieostróżnie. Otwarta obok i zielonem sianem napełniona odryna, rozlewa w powietrzu miły aromatyczny zapach, komuż nieznamy! Ileż razy myśliwy po dziennych trudach, albo podróżny unikający niewygody karczemnej, znalazł w wiejskiej odrynie rokoszny nocleg i miękkie posłanie, a oddycha-

jąc wonnym aromatem, poił się snem błogim i spokojnym, w którym ciało nowej czerstwości i siły, umysł swobody, wesołości i nowej miłości życia nabrały!!! Osobno zagrodzony ogródek zajmuje część gumniska; kilkanaście jabłoni, grusz i wiśni, kilka krzaków pięknej kaliny i kilka grządek nagietek na niedzielne kapturów i namiotek ozdoby, rozkwita razem, buja, i karmi tam liczne familije pszczołek, w kilkudziesięciu a często i w kilku kopach ulów pomieszczonych. Brzęczą one swobodnie po ogródku, po drzewach, po nagietkach i po osielicy (*), tuż za gumniskiem gęstą trawą i polnym kwieciami zarostej, a rozciągając się popolicie aż do granicy posiadłości chłopka; szczęśliwego, jeżeli natura dała mu poczciwość i pracowitość, a los szlachetnego pana w udziale.

Z takich gospodarzy składała się wioseczka, niegdyś do młodego dziedzica, a po upadku jego do kilku różnych właścicieli należna. Bystry strumień w głębokim parowie przerzynał ją; na nim most, a przy moście na wzgórzu, jakby opasły ekonom wśród czeladzi, lub jakby strażnik do-

(*) *Osielica*, łąka ogrodowa tuż za chatą gospodarza leżąca.

glądający przeprawy, wznosił się ogromny exdywizorski kopiec, na którym, jak Maryusz na ruinach Kartaginy, siadywał często i odpoczywał stary Michał, gdy przechodził do wsi, przynosząc kumom i swatom starym jak on, i jak on przywiązanym do familii dawnego dziedzica, nowiny obwieszczające bliski jego powrót, a zatém odmiany pomyślne dla wszystkich.

Dwór, który znamy już cokolwiek, bośmy go w smutnej godzinie exdywizy przeglądali, przybierał teraz postać i szatę nową. Kilkunastu rzemieślników pracowało tam od niejakiego czasu. Stolarze układali posadzki, odmieniali drzwi i okna; mularze przestawiali piece; malarz sufity i ściany w piękne stroił arabeski; słowem razem wszyscy pracując, ożywili pusty niedawno i zrujnowany dom ten. Pomiedzy nimi, z wielką miną, niekiedy paląc wspaniale fajkę, niekiedy przygwizdując lub rozmawiając poufale, przechadzał się znajomy nam figlarz pan Józef, pochwalając jednych, zachęcając drugich, a wszystkim dając do zrozumienia, że i zaleta i nagana od niego najwięcej zawisła.

Kiedy niekiedy, pan Baltazar Sularski, widząc

ruch taki w budynku, i chcąc się dowiedzieć przyczyny a wyciągnąć konsekwencye, przychodził tam z folwarku niby nawiasem: ale rzemieślnicy nic nie wiedzieli, a z Józefem trudna sprawa! Gdy wchodził Sularski, on zadzierał nos w górę, przechadzał się wspaniale i gwizdał. Dzień dobry panie Józefie! zagabnął raz Sularski. — Aha! odpowiedział Józef patrząc na malarza siedzącego na rusztowaniu, to piękny ptak co pan teraz malujesz panie Adamie! rychtyk takiego widziałem żywego w Warszawie! — Wątpię panie Józefie czy mogłeś widzieć takiego ptaka rzekł malarz, bo to fenix. — Ach? czy jednego i czy raz? może z dziesięciu! jak dziś pamiętam! — Malarz pokręcił głową, a tymczasem ciekawy Sularski przerwał: „wielka fabryka panie Józefie!... Znowu Józef: aha! i ani pół słowa więcej. — Zapewne pan podkomorzyc powróci; słyszałem że się ma żenić! Daj Boże szczęśliwie! czy to prawda kochany panie Józefie? — Nie! to ja mam się ożenić, odpowiedział nakoniec Józef, i będę tu sobie mieszkał jak pan! — Doprawdy? to co inszego!!! z kimże takim myśli pan dobrodziej ożenić się? zapytał szydersko uśmiechając się Sularski? — A może i

z pańską najmłodszą córeczką Helenką, bo panna Salomeja nie umie herbaty nalewać. — Sularski na taką niespodzianą deklaracją, zatrzasnął drzwiami, a wychodząc z przyciskiem wymówił: „Oszust!” Józef patrząc złośliwie za odchodzącym, wymówił także: „Oszust!” Obadwaj powiedzieli prawdę, odezwał się na końcu malarz na rusztowaniu; rozśmieli się rzemieślnicy.

Mniej skryty i łatwiej komunikujący się stary Michał, jeżeli gdzie się spotkał z panem Baltazarem, i gdy ten go zapytał o przyczynę rozruchu w budynku, bez ogródki odpowiadał: wybieraj się waćpan w drogę, pan nasz ożenił się; wziął wielki posag i wszystkich waćpanów wypędzi, fort! fort! mospanie fort!

Złowrózbe te przepowiednie, którym nie zupełną wszakże dawał wiarę pan Baltazar, nabierały wszelakoż coraz większej pewności. W sąsiedztwie i w plebanii w niedzielę z tąż samą powszechną spotykał się wieścią; we własnym nawet domu, podsłuchiwał nieraz jak w piekarni czeładź, opatrzywszy wprzód, czy nie ma której pаниenki, opowiadała nowinki, o huczném weselu pana, o pięknej, młodej i bogatej pani, którą

Dagocki widział na swoje oczy, bo jeździł na wesela, choć to ztąd o mil pięćdziesiąt; a nakoniec Józef odebrawszy przez tegoż samego Dagockiego rozkazy, wyjechał niespodzianie dnia jednego w drogę, i zapowiedział że powróci z państwem.

Zbliżała się wiosna; wcześniejszym dogrzany promieniem śnieg stopniał, i w szumne rozlał się potoki; gdzieniegdzie pod płotem leżał on jeszcze szczerniałym kosmem, jak stary łazarz w łachmanach, oczekujący chwili gdy go ziemia pochłonie; lecz natura brała już popęd życia! Chwila jeszcze sennego otrętwienia..... przejdzie natychmiast! a wszystko razem jedną ożywczą popchnięte siłą, rozwinie się, zazieleni, zakwitnie. Skowronek w powietrzu, wierzba na ziemi, obwieszcza tę chwilę i uprzedza; a niedziela Wierzbna, jest jakby dniem ostatniej między zimą a wiosną walki.

W wigilią téj pięknej niedzieli, stary Michał z życzliwością Kaleba (*) dla swoich panów, i z równą troskliwością, rozmyślał w spiżarni o materyałach na przyszłe święcone. Z czegoż pani pirogi i babki piec będzie? pytał on w myśli sam

(*) Narzeczona Lamermoru, romans Waltera Skota.

siebie, i szukał napróżno odpowiedzi w jaszczkach i faskach; wiedział on dobrze że tam nic nie znajdzie, ale poczciwy staruszek chciał cudu rozmnożenia chleba w pustyni! Nakoniec zmęczywszy sam siebie, stanął na środku spiżarni, zażył mocno po kilkakrotnie tabaki, pokiwał głową i wyszedł ocierając z łez oczy; po czém namyśliwszy się trochę szedł prosto do wioski. Przez drogę uspokoił się zupełnie, owszem wesolą twarzą przybrawszy, usiadł jak zwyczajnie na kopcu, co było hasłem zebrania się około niego prawie całej ludności.

„*Za tydzień, wielki dzień!* he? co wasze myślicie? zagadnął Michał.—Prawda! chwala Bogu! odpowiedział stary Marcin; jeszcze raz z waszcią kumie zjemy wielkanocne jajko, a to podobno już z kopę zjedliśmy razem, od tego czasu jak waszeci do kuchni, a mnie do pokoju wziął nieboszczyk pan stary, wieczny jemu odpoczynek!—,Bracie Marcinie, rzekł Michał, o młodym pogadamy. Ożenił się wiem pewnie, ożenił się; przyjadą oboje na święta, a zatém jutro podług dawnego zwyczaju przynosicie włoczebne! — „Ależ kumie, rzekł znowu Marcin, zapomniałeś że my do

panicza już nie należym, że mamy nowych panów, że na czyim wozku jedziesz, temu i pieśni śpiewaj!” — „A ty zapomniałeś? przerwał podnosząc się Michał, zapomniałeś czyj chleb jadłeś przez lat pięćdziesiąt? Zapomniałeś jak dobrymi dla ciebie byli dziad i ojciec terażniejszego pana? zapomniałeś że cię nieboszczka pani ożeniła, i jaki posag dała twojej żonce, a swojej wiernej Marysi? zapomniałeś że z ich łaski, twoje synki i całej wioski na książkach Pana BOGA chwała? a czy jeden dawnoby z was na mogilniku ziemię gryzł, gdyby w chorobach waszych pan sam was nie doglądał i nie miał gotowego zawsze lekarstwa? zapomnieliście wszyscy, że od dziadów i pradziadów my ich dzieci?”... — „Da to prawda! święta prawda! zawołali wszyscy i starzy i młodzi, a babki szczególnie rozczulone powtarzały: to prawda! ale na cóż on nas w cudze ręce oddał?” Michał usiadł znowu na kopcu, bo mu nogi z mocnego wzruszenia drżały, i rzekł: „oddał! oddał! to i odbierze! Stary Michał nie kłamie nigdy i stary Michał modli się codziennie i prosi BOGA, aby kiedy umrze, garść piasku nie cudzy jaki człowiek, ale własny mój rodowity pan na oczy rzu-

cił: i doczekam tego za Boską pomocą, doczekam!!!” — „Tak cóż robić teraz? i jakże będzie? pytano zewsząd.” — „Oto tak, prowadził dalej rzecz swoją Michał, jutro bratki odnieście włóczebne prosto do budynku, ja was tam przyjmę chędogo po dawnemu.” — „A jak Sularski zajdzie nam drogę? bo już nakazywał o włóczebne.” — „On swoją drogą, a wy swoją! cóż on wam zrobi kiedy jego wraz diabli.... tfu, Boże odpuść! kiedy jego wraz nie stanie, a ja panu waszę życzliwość opowiem; wiecie stare przysłowie: *„Rzuć za siebie, znajdziesz przed sobą!”* — Także i będzie jak mówisz kumie! odezwał się Marcin, jutro ja sam ich poprowadzę z włóczebnym do dworu.” Wstał Michał pożegnał zgromadzenie, lecz odszedłszy kroków kilkanaście zwrócił się jeszcze i do odchodzących zawołał: „Słuchajcie gospodynie! Krysio! Katryno! Elżbieto! jeżeli która z was ma kurę tłustą albo kapłuna to przynieście, potem policzmy się z każdą: bo chociaż u nas chwała Bogu spiżarnia nie pusta, wszelakoż zda się to na piecyste.” Baby kiwnęły głową na znak zgody, a stary powędrował spokojnie, mruczając wieczorną modlitwę swoją *„Pod twoją obronę uciekamy się etc.”*

Niech co chcą mówią gabinetowi teorycy, *pseudo-filantropi*, znający kraj swój z mappy, gospodarstwo z ogrodów, a włościan i panów z potwarczych i fałszywych wyobrażeń, naśladowczém powtarzaniem okrzykiwanych: którzy zaprzeczają i ujmują ludzkości panom, a chłopkom życzliwości i przywiązania ku panom, a raczój pierwszym ucisk, drugim nienawiść przyznają. Nie tak jest jednak w istocie! nie tak jest w ogólności! Długimi laty spojone, z pokoleń na pokolenia przelane związki włościan z ich dziedzicami, są najczęściej obu stronom miłe i drogie. Włościanin przywykły do opieki, dobroci i łagodności swoich panów, tłumaczy dzieciom i rozpowiada dzieje ich domu i dworu, łaski sobie świadczone, przygody wspólnie wycierpiane, i przyzwyczajają przyszłych gospodarzy do szanowania i starych panów i panicza, przyszęłego ich pana. Panicz od mamki i niańki naprzód zabiera znajomość, wiadomość stanu, potrzeb i zwyczajów włościan; od niemowlęctwa prawie przywyka do nich, uczy się codziennym przykładem z obejścia się rodziców z poddanymi owęj opiekuńczęj, rodzicielskięj że tak powiem ku nim skłonności; nakoniec wpaja w siebie głęboko prze-

konanie, że od dobrego bytu jego włościan, własny jego byt dobry zależy, i odziedzicza razem z fortuną wzajemne poddanych i ku poddanym przywiązanie. Wieleż to razy w Litwie się zdarzało, że pamiętni cnoty i dobroci ojców i dziadów, a wierząc w również uczucia ku sobie młodych, często marnotrawnych panów, włościanie składali dobrowolne im ofiary i pieniądze na opłacenie długów, byle tylko w obce nie być przedanemi ręce. Wieleż razy stan zamożny włości zniknął widocznie przez to tylko, że nowy nabywca nie miał i nie mógł wzbudzić zaufania ku sobie poddanych, którzy nie dowierzając mu, tracili ochotę do pracy gdy jój owocu nie byli pewnymi! — Fałszywem jest mniemanie że włościanin chce coraz odmiany pana; nie! do dobrych, do kochających go szczerze, do sprawiedliwych, do sumiennych, pobożnych, (bo i włościanie nasi są pobożnymi) panów, przywyka on serdecznie. A jeżeli bogacze nasi, dziedzice coraz rzadsi dawnych świetnych imion i dostatków, zaniechawszy patryarchalnego ojców ich z włościanami swymi obejścia się, nieznający ich i sami im nieznajomi i obcy, spuszczaają wszelkie z nimi stosunki,

na swych komissarzy; jeżeli tém samém lekce wazą i pozwalają wędnieć i rozrywać się wieńcowi z kłosów, który panów i kmieci w jedną wzajem sobie życzliwą familię, jak ule pszczoł pracowitych z ich matką ogarniał: to ujmują sami sobie najmilszych, najczystszych i codziennych roskoszy, a może trwalszych nawet niżeli mniemać mogą korzyści!!!

Nazajutrz, zielone bukiety z rozpękłej wierzby i jałowcu, zakwitły we wszystkich rękach; z niemi włościanie z rana przed nabożeństwem szli do dworu postrojeni świątecznie, niosąc w białych chustkach po dziesiątku jaj. Mężczyzni w białych siermięgach, w wysokich z siwych baranów czapkach, pasami czarnymi przepasani; w granatowych sukiennych czuhajach, w litych kapturach na głowach matrony; a w różnych i obciśle ściętych gorsetach, w różnokolorowych spodniczkach dziewczęta. Warkocze świątłych włosów, w długich wstążkami przewijanych kosach spadały im na ramiona, szyje i piersi w śnieżnych koszulkach zatajone i kilkunastu sznurkami koralu, bursztynów, lub błyszczących paciórek jaśniejące; rumianych jagod, czerstwości cery, i pięknych błękitnych lub

czarnych oczu, nie jedna z moich czytelniczek mogłaby im pozazdrościć! Szły one jedną gromadą, niosąc w rękach trzewiki i pończochy, które dopiero pod kościołem przywdziać miały. Chłopcy w podobnych co i starsi gospodarze odzieżach, wpadali często swawolnie między tę gromadę, a natenczas śmiechy i hałasy rozlegały się do koła. Na przodzie wszystkich szedł stary Marcin, w piaszczystej, na duże stalowe guziki zapiętej kapocie i z jedwabną chustką na szyi; nioś on pięknego koguta, a niektóre z kobiet niośły kury, podług wczorajszej odezwy Michała. Nakoniec przed Marcinem jeszcze, sypało się liczne grono dzieci obojęd płci i różnego wieku, chędogo i strojno ubranych, które biegnąc i przeganiając się wzajem, smagały się bez uwagi i miłosierdzia po oczach, uszach, nosach i twarzach różgami wierzbowymi i krzyczały zapamiętale: „Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień wielki-dzień (*).

Jak tylko gromada ta wyszła z wioski i ukazała się na drodze wiodącej do dworu, a przez dwór do parafialnego kościoła, wnet pani Sularska wynio-

(*) Słowa obrzędowe wierzbnej niedzieli.

sła z córkami stolik przed folwark, zasłała go białą serwetą, położyła bułkę chleba, kilka sérów, i postawiła dwie wielkie cynowe misy na skład włóczębnego; sam zaś jegomość stanął przy stoliku piastując w ręku sporą flaszę miedzianą z czarką z tegoż metalu; i tak wszyscy czekali gromady. Zdziwili się jednak mocno, że przed budynkiem Michał podobniuteńkie zrobił przygotowanie, z różnicą, że zamiast mis cynowych, postawił fajansowe półmiski, a zamiast miedzianej flaszy, jakiś staroświecki hlaczek, zawierający podobno ostatnie zapasy równowiecznej z nim samym staruszki.

„Co on myśli ten stary Barabasz? mówił Sularski do żony i córek; co on myśli?” Tymczasem zbliżali się włościanie i weszli do bramy; z której postrzegłszy podwójne przygotowania na swoje przyjęcie, Marcin zatrzymał się chwilę w wątpliwości odnawiającej się po wczorajszemu; ale działa kochająca i przywykła do Michała, a bojąca się Sularskiego jak niedzwiedzia, zwróciła się ku budynkowi i rozbiegła się po obszernym dziedzińcu. Michał widząc niepewność swojego kuma Marcina, machnął nań ręką, czém i jego i całą gromadę zdeterminował że się do niego zwróciła.—

„Dokąd wy idziecie? dokąd chamy? krzyknął Sularski! ja zaraz was po swojemu zawrócę!”....
 Wtém pędząc kłusem konny wpadł na dziedziniec, i zsiadłszy z konia: „Czy tu mieszka pan Sularski, zapytał? — „Ja to jestem, odpowiedział samże pan Baltazar.— „Oto pięknie! tylko co nie minąłem; a teraz masz pan list pilny, proszę czytać, i mnie trzy ruble zapłacić, bo tak mnie zgodził pan Rejent.”—
 Poślaniec ten w kubraku ciemnym bajowym, dobrze wytartym i kusym, mógł mieć lat pięćdziesiąt; czerwone policzki, wąs rudy i rzadki, włosy wysoko podcięte, składały się w czuprynkę w kształcie jakby peruki srebrno-ruséj i zlekka podfryzowanej; oko na przekor włosom czarne i żywe, a w całym ruchu i w całej postaci, nadzwyczajna rzeźwość i rubasność, wydawały w przybyszu światowego bywalca, i wstępnego bez ceremonii towarzysza. Jakoż rozgościł się poufale od razu.
 „Za pozwoleniem mego dobrodzieja, rzekł, ja i mój konik odpoczniemy sobie, i przekąsim cokolwiek z łaski pańskiej, bo diabelnie obadwa zhasaliśmy się! A to pięknie! mil siedm dziś, i to bez popasu!” — Zaprowadził zatém konia do stajni, rozsiadł go, postawił u żłobu, zarzu-

cił siana, a sam przyszedł na śniadanie do jejmości.

Gdy pan Baltazar włożywszy na nos okulary, sylabizował z cicha list do siebie pana mecenasa Grzegorza, od exdywizyi nam znajomego; tymczasem złożywszy włóczębne na stoliku u Michała, a kury wpuściwszy do kuchni, włościanie poczęstowali się skromnie i ruszyli tąż samą gromadą do kościoła, przechodząc około okna Sularskiego; ale już on ich zawracać po swojemu nie myślał, bo nowiny które odebrał z Wilna wcale nie pomysłne były.

„Bodajesz szyję złamał tu jadąc” rzekł pan Baltazar przeczytawszy list pana Grzegorza, do posłańca czekającego spokojnie śniadania, i oglądającego na miedzianą flaszkę stojącą na kominiku: miałeś poco tu lecieć! — „A to pięknie! mój dobrodzieju! posłańca ni ścinają ni wieszają; za co mój dobrodziej na mnie się gniewa? Oto pięknie! ja z konia żyję i z konia służę; szlachcic jestem Bogu dzięki, Jan Bonawentura Babiłło do usług mego dobrodzieja; mam kondycją moję właściwą pod Żupranami, ale mieszkam w Wilnie na Sawicz ulicy w domku pana Koczyńskiego, co gra

na fagocie w teatrze. Oto pięknie! kto mnie każe temu jadać.” — „Nu dak co? przerwała ten potok rekomendacyi pani Sularska.” — „Oto pięknie! jeżeli moja dobrodzika.” — „A niech cię kaci porwą! czy pięknie czy nie pięknie, krzyknął zniecierpliwiony pan Baltazar; czego tu chcesz u licha?” — „Wódki naprzód i zakąski mój dobrodzieju; dziś jeszcze ani rosy w gębie nie miałem, oto pięknie! a potem trzech rubli i kwita! — Wódki? na, masz, pij! rzekł nalewając z flaszki Sularski, ale co do pieniędzy zjesz diabła!” — „A to pięknie! toż to mój dobrodziej jak plebejuszowi jakiemu wtyka czarę w rękę! przecież do Jana Bonawentury Babiły i przepić można; oto pięknie! — „No więc do waćpana, przepraszam! — „A to co innego!” — wychylił czarę pan Bonawentura i nie stawiając na stole, podniósł ją do flaszki: „*alterum tantum* po drodze mój dobrodzieju!” — „Niech i tak będzie, rzekł nalewając Sularski, pij!” — „Wychylił znowu do dna i stawiając czarę: oto pięknie! *Deo gratias!* wysmienita!” zawołał ocierając wąsy. „Co do pieniędzy, mój dobrodzieju to mniejsza o to! pan regent zapłaci mnie we dwoje, a od mego dobrodzieja odbierze we czworo, a mo-

że i w dziesięcioro, oto pięknie! zhasałem mil dwadzieścia, powrót drugie tyle, to mamy ośmdziesiąt, i mam powrócić z kwitkiem, oto pięknie!!! Sularski tymczasem chodził wielkimi krokami po izbie, dąsał się, przeklinał, nareszcie wykrzyknął do żony: „Duszko! wszystko diabli wzięli!” — „Oto pięknie! gryząc sér podchwycił pan Bonawentura, dla czego? i za co? czy to mój list takiego nawarzył piwa memu dobrodziejowi? — „A nie już co innego! — „Nu dak cóż ten list? zapytała pani Sularska, patrząc w oczy mężowi, nu dak cóż!” — „Masz! czytaj! rzekł on rzucając list na stół. — „Ale gdzież tam! tak długo? na życiu mojem tyle nie przeczytałam pisanego! Niechaj przyjdzie Salomeja!” — Ja przeczytam kiedy moja dobrodzika każe, odezwał się Babilło, może nie ma sekretu?” — „A jaki u licha sekret, czytaj rzekł Sularski, i ten zaczął:

„Kochany panie rotmistrzu! — A to pięknie! mój dobrodziej rotmistrz, a ja o tém nie wiedziałem! to mój dobrodziej wojskowo traktował? otto pięknie! Niegdyś to i ja wywijałem szabelką na sejmiczkach, ale jak przyszło do żołnierki, pomyśliłem sobie, otto pięknie!”... „Czytajże wasan

dalej, przerwała Sularska. — „Aha, otoż dalej. „Kochany panie rotmistrzu! przegrałeś sprawę w Departamencie zupełnie.... A to pięknie! to mój dobrodziej miałś sprawę! Ach! czemuż ja o tém nie wiedziałem? otożbym podforsował! ja sam mam pięć spraw w tymże samym Departamencie, które attentuję teraz siedząc w Wilnie; i mam nie chwając się przyjaciół! Pierwszy aktorat, to z moją żonulą dobrodziką, oto pięknie! która mnie wypędziła z mojego folwarku, *alias* z kondycyi, na mocy jakoby reformacyjnego dokumentu. Prawdę mówiąc, ja sam od niej uciekłem, ale że dokument nieprzyznany, więc ja pozew jejmości dobrodzice o rehabicyę! ona mnie pozew o przechwałki!!! Oho! Szwed baba, mój dobrodzieju! umiemy jeszcze oboje Bogu dzięki poprowadzić interes! *Tandem*, po tych pozwach zapadł dekret *copiarum spraw*, otto pięknie! a gdzież sprawiedliwość? Apelluję więc mój dobrodzieju do Departamentu, i wędruję piechotą około Bożego Narodzenia do Wilna. Przeziąbłem kaducznie, zachorowałem na gorączkę, i leżę u Miłosiernych mój dobrodzieju; tymczasem baba dopilnowała sprawy, i ja powróciłem sześciórką: to się znaczy, wziąłem sześć nie-

dziel wieży, kiedy ichmość nie rozumiecie: oto pięknie! Ale to nic jeszcze.” — Sularska niemogąc doczekać się końca, wyrwała list z rąk gaduły, i oddając wchodzącej córce: „przeczytaj Salomejo, rzekła, ten list, od końca do końca.” — A czemuż nie ja moja dobrodziko? — „Wasan byś do jutra nie skończył ze swojemi pozwami i sprawami; czytaj!” Po wyrazach wprzód już odczytanych następowało:

„Ostrzegałem waćpana nieraz, że trzeba się było pilnować! Padliśmy wszyscy, lecz waćpan najgorzej; bo kazano abyś zdał kalkulacyę *de asse et grano*, tak *ex officio* służby niegdyś ekonomskiej u pana podkomorzycy odbywanój, jako też *ex possesso* schedy.” — „Co to znaczy mosanie? wasan widzę prawnik, zapytał Sularski pana Bonawentury; *de asse?* jak tam?” — *De asse et grano*, powtórzyła panna Salomea. — „Oto pięknie! *asse et grano*, cóż ma znaczyć innego? znaczy *wszystko przegrano*, mój dobrodzieju! — „Taki widzę i z wasana łacinnik jak i ze mnie; ale zawsze to wyraz jakiś fatalny, bom go już raz słyszał z ust pana Grzegorza gdy przeciw podkomorzycy na exdywizyi perorował. — „Życzyłbym

więc waćpanu, kochany rotmistrzu, były dalej słowa listu, abyś nie czekając dalszych konsekwencji wyniósł się spokojnie ze swojej schedy. Podkomorzyc ożenił się, wziął piękny posag gotówką i układał się z kredytorami; zapewne nie skrzywdzi i waćpana, bo ja zawsze tak trzymałem i trzymam, że to zacny i pocziwy pan! — „Oho, innym tonem już śpiewa ptaszek! przerwał kręcąc głową Sularski. — „Bądź zdrow kochany rotmistrzu i zapłać pośtańcowi rubli trzy.” — „A widzi mój dobrodziej; trzy rubelki dać trzeba! zła wprawdzie nowina, ale czyż głową o ścianę uderzyć? oto pięknie!!!” Wszyscy jednakże stali w zamyśleniu..... — „Nu dak cóż robić? przerwała pani Sularska: nie już utopić się?... — „To więc trzeba nam będzie ustąpić? zapytała panna Salomea; a papa wszak mówił... — „Milcz! przerwał Sularski; znowu więc milczano!!! — W mojej drugiej sprawie mój dobrodzieju, którą mam ze szwagrem moim w Lidzie o sto złotych posagu nieboszczki, z ciotecznych cioteczno rodzonej siostry mojej,” prawił znowu pan Babiłło korzystając z powszechnego milczenia, „od ziemstwa, poszliśmy obadwa do Departamentu i oba-

dwaj przegraliśmy. Otto pięknie! prawujemy się teraz na nowo, co Pan Bóg da, to da!" Pan Bonawentura należał do tego rodzaju szlachciców okolicznych, jakich przed kilkunastu laty, wielu jeszcze naliczyć można było, a teraz może i żadnego nie ma; nie przeto żeby wszyscy poumierali, lecz że z pola zeszli, a nowe pokolenie nie idzie w ich ślady, których całym zatrudnieniem, całym upodobaniem i nauką było pieniactwo; którzy za najważniejszy dowód swego szlactwa, liczyli pozwy dane lub odebrane, a im więcej ich mieli lub dali, tém godniejszymi być się mniemali szlacheckiego klejnotu.

„Oj! co trzecia sprawa mój dobrodzieju, to diabelnie kręta! Idzie rzecz o granicę; ale niech mię diabli porwą, jeżeli ktokolwiek z nas prawujących się rozumie o co nam idzie! Otto pięknie! posłuchaj tylko mój dobrodziej: był kiedyś podobno kopiec na mchu.... — „Ani myślę słuchać! krzyknął tupając nogą pan Baltazar, i obracając się do żony rzekł: „Duszeko! co ty myślisz?" W trudnych okolicznościach najczęściej udawał się Sularski po radę, do poczciwego a prostego rozsądku swojej połowicy, i nigdy się na nim nie za-

wiódł, skoro postuchał. — Ot ja myślę, odpowiedziała ona, że pojedziemy naprzód na mszę świętą do kościoła, dziś wielka uroczystość; pomodlim się Panu Bogu na tę intencję, poradzimy się w plebanii rozumniejszych od nas ludzi, i potem postanowim cokolwiek. Wszak ja nieraz waszeci mówiłam, że to w końcu na złe wynidzie, że Pan Bóg nie dopomoże; a wieleż to razy śniło się mnie! . . . — „Dość, dość duszko! dobrze mówiłaś i dobrze mówisz, pojedziemy do kościoła, a wasan panie jurysto odpocznij do obiadu nim powrócimy” — Zaszła bryczka, Sularscy oboje z córkami umieścili się w niej i pojechali, a pan Bonawentura rozciągnął się jak długi na kanapie, i wnet zachrapał głęboko.

Około południa powrócili z nabożeństwa Sularscy, nakryto do stołu, a spokojniejszy i weselszy gospodarz obudził swego gościa na obiad. Porwał się on nagle, a zajęty nawet i we śnie swemi processami, wrzasnął bez przygotowania: „Co! kondemnata? otto pięknie! — „Nie kondemnata ale obiad, rzekł Sularski, wstawaj! — „A to co innego, poziewając szeroko i przecierając oczy, odezwał się prawnik otto pięknie! tak się rozespałem!

Po obiedzie, skutkiem rady ogólnej i dobrze rozważonej w plebanii, pan Baltazar siadł do bryczki i pojechał starać się posesyjki, a pan Babiło odebrawszy swoje trzy rubelki, które mu z bojaźni nowego processu oddano, dosiadł rzeźwo swojego szłapaka, i ruszył śpiesznym kłusem nazad do Wilna attentować swoją sprawę w sądzie granicznym.

Jeszcze parę tygodni upłynęło tu bez odmiany: tylko w ogrodzie dwór ten otaczającym w którym maj rozwinął wszelkie bogactwa wiosny, po długich lipowych ulicach od trzech dni co wieczór słyszeć się dawał głos cienki i fałszywy, wyśpiewujący wyraźnie od początku do końca rozmaite światowe pieśni jak np.

„Już miesiąc zaszedł, psy się uśpiły,

„I ktoś tam klaszcze za borem?

„Pewnie mnie czeka mój Filon miły,

„Pod umówionym jaworem (*).

to znowu:

Potok płynie doliną,

Nad potokiem jawory,

Tam ja z moją Justyną

Słodkie pędził wieczory! i t. d. (**)

(*) Karpińskiego. (**) Tegoż.

albo także:

Śliczna Elżuniu! już to podobno
 Kończą się nasze lube wieczory!
 Dziś jeszcze razem, jutro osobno
 Dzikie nas będą przedzielać bory!

Choć mnie nie będzie, ty wspomnij przecie
 Żem cię ukochał jedną na świecie! (*)

Śpiewaczka nie darowała ani jednej strofki, ani jednego wyrazu; głuche echo jęj tylko odpowiadało, bo nikogo nie było w ogrodzie do wtóru lub oklasków. A jednakże ona podobała sobie widocznie w swym śpiewie, nawet całą aryę lub niektóre ulubieńsze strofki pokilkakroć powtarzała. Śpiewy te kończyła pospolicie pobożną pieśnią: „Kto się w opiekę poda Panu swemu” i t. d. i potém ciche mruczenie pacierza zwiastowało ukazanie się samėje syreny. Jakoż z altany wychodziła powolnym krokiem staruszka, miernego wzrostu i czerstwěj jeszcze cery. Twarz trochę podróżowana i czepeczek starannie na głowie opięty, dowodem być mogły, że wydać się staruszką wcale nie chciała. Biały szlafroczek wieczorny i chustka pięknego wzoru okrywały jęj figurkę suchą, którą wiek schylał, a miłość własna pro-

(*) Nagurskiego.

stowała; wreszcie łagodność w oku i na całej twarzy, od razu zjednać jej mogły przychylność, której rzeczywiście warta była. Ciocia to była podkomorzycza, wdowa bezdzietna; listem jego wezwana, przybyła ona tutaj dla przyjęcia młodej gospodyni, żony kochanego jej Teofila, którego jak syna kochała, i dla przygotowania zapasów dla nowego gospodarstwa. Jakoż dwie pakowne bryki przyszły za kolaską ciotuni, a Michał ujrzał od razu napełnioną całą swoją spiżarnię i apteczkę.

„Dobry wieczor kochany Michale, mówiła staruszka: — „Dobry wieczór mościa dobrodziko. — „A cóż nie słyhać czego o naszych? — „Nie mościa dobrodziko: ale ja myślę, że dziś w nocy przyjadą: — „Pan Bóg z nimi Michale! a któż ich w nocy z chlebem i z solą przyjmie? Przecież i przykazywałam i prosiłam Józefa, którego pan Teofil do mnie z listem przysłał, aby tak kierował w podróży, żeby tu przed śniadaniem o samiej jedenastej wjeżdżali i dla tego codzień jak sam widzisz ubieram zrana wszystko jak należy, i czekam tych miłych gości. Ale w nocy! co za myśl? Nie! Józef nie zapomni mojej

prośby, a jeszcze dałam mu i chusteczkę tarleta-
nową na szyję. . . . — „Ej, mościa dobrodziko,
Józef bałamut! a potem, czy to pan nasz Józefa
słuchać będzie? Jak wypadnie tak przyjadą, a
imość dobrodzika śpij dla tego smaczno, bo to
w starości przebudzać się w nocy bardzo niezdro-
wo! — „Zgłupiałeś mój kochany Michale!
cóż to w starości? w jakiej starości? — „A jakże
mościa dobrodziko; rzekł Michał, zażywając po-
woli tabakę i zadarłszy szeroką łysinę do góry
dla łatwiejszego rzeczy przypomnienia; a jakże?
Ja prawda byłem już kuchcikiem kiedy imość do-
brodzika rodziła się; nieboszczyk podstoli ojciec
imości dobrodziki, a dziad naszego terażniejszego
pana, wyjeżdżał jak dziś pamiętam do Nieświża,
do księcia Radziwiłła panie kochanku, na jakiś fest.
Ależ ja mam lat siedmdziesiąt: no to imości do-
brodzice lat pięćdziesiąt dobrze minęło, daj Boże
i drugie tyle. . . . Ale ciocia i początku nawet
tego rachunku nie dotrzymała, i gdy Michał spu-
ścił łysinę na dół, nie obaczył już swojej imości
dobrodziki; pokiwał głową, zażył jeszcze raz ta-
baki i poszedł spokojnie, nie domyślając się
najmnień, że ją obraził.

Po dniach jeszcze kilku, stary Michał stał na środku dziedzińca i poglądał na drogę z góry ku dworowi schodzącą, gdy nagle pies wielki wskoczył mu na piersi. Przełknięty starzec oddepchnął psa, lecz razem z zadziwieniem postrzegł, że pies przypadł mu do nóg, lizał mu ręce i łasił się z oznakami najżywszej radości. Spójrzawszy wtenczas rozważniej Michał i poznał wyżła *Waleta* faworyta pańskiego, który sam jeden prawie w dniach smutku został mu niezaprzeczoną własnością. Po latach pięciu oddalenia, Walet o milę poczuł rodzinne powietrze, i poleciał na przód, jakby posłaniec oznajmujący przybycie pana, i poznał na dziedzińcu swego starego karmiciela. „Walet! Walet! poczeiwy Walet! wołał Michał, a pies był mu znowu na piersiach. Nie odpychał go tą razą, ale przyciskał i głaskał starzec. Gdzież jest siedlisko instynktu psów? tych wiernych naszych przyjaciół i towarzyszków? w ich głowach czy sercach? Nie wiem! ten raz jednak instynkt był w sercu *Waleta!*

„Jadą, mościa dobrodziko! jadą! rzekł Michał wchodząc z pośpiechem do pokoju, w którym ciocia siedząc w codzienném oczekiwaniu, ubrana

wytwornie w galowe materye i gęste koruny, wiązała siatkę z nici złotych i jedwabiu na podarunek dla swęj synowcowęj. — „Gdzież są? czy już ich widać? zapytała z radością: — „Nie, mościa dobrodziko; ale oto przybiegł posłaniec, rzekł wskazując na Waleta, i tłumacząc przyczynę ukazania się jego i odnowienia dawnęj znajomości. Ciocia pogładziła psa i wyszła, aby ostateczne swe zrobić przygotowania.

Jakoż po niedługiej chwili, ukazało się z góry kilka pojazdów. . . . spotkajmy ich pierwęj niżeli przybędą. — „Oto jest dom nasz, moja droga Maryo! rzekł znajomy nam młodzieniec niegdys, a dziś mąż pięknej, młodęj, siedzącęj okok niego w powozie żony. „W tém miejscu odtąd będą upływać dni nasze, oby Bóg dał dla obojgu szczęśliwe! Pięć lat mija, jak ze ściśnioném sercem, wyjechałem ztąd bez nadziei powrotu; mogłemże wtenczas przewidzieć, że nietylko sam wrócę; ale jeszcze przywiode pod dach mój ojczysty, odzyskany na nowo, zakład mojego stałego na całe życie szczęścia, ciebie! moja droga Maryo! Młoda małżonka spójrzała na dom bielejący zdaleka, powlekła ciekawym wzrokiem po całej okolicy, i po-

tém oczy łzą zwilżone, zwróciła tkliwie na męża! to było jój całą odpowiedzią, zrozumiała wszelakoż jego sercu, do którego ją czule przycisnęła.

Trzasnął trzykrotnie z bicia kuczer, i zjechał rzezwo przed ganek, na który wystąpiła ciocia do powitania. Trzymała ona w ręku srebrną tacę, a na niej kilka szczypt soli, kilka porcyjek chleba i związka rozmaitych kluczyków, na złotym kuku poczepionych, leżało. Obok dwie małe dziewczynki; chędogo w białych sukienkach ubrane, trzymały wazony miesięcznych róż, kwiatami i pączkami osypanych. Gdy wysiedli państwo młodzi, nie dając czasu do bliższego powitania, postąpiła ciotka, i oddając tacę w ręce nowój pani, rzekła poważnie: „Witam cię młoda gospodyni w domu męża twojego, przyjmuję cię darem Bóżym, chlebem i solą, i życzę z całego serca, aby u was chleba i soli było zawsze dostatkim i dla was samych i dla ludzi!” Potém wzięła klucze i zasuwając za wstęgę opasującą Maryę: „Szafuj skromnie a pocziwie, kończyła dalej, darami od BOGA wam udzielonemi! Rządź jak matka czeładką i domem waszym, a Bóg wam szczęście i błogosławić będzie, tak, jak ja wam błogosławię,

i jak te róże w pączkach zakwitniecie w potomkach waszych!” — Moja najdroższa ciotko, moja druga Matko! wykrzyknął Teofil płacząc rzewnie, i rzucił się jój do nóg. Taż samą myślą, témże samém uczuciem przejęta, czuła i również zapłakana żona jego, widząc także jakby matkę swoją, w matce swojego ukochanego, upadła razem z mężem ku ziemi, i obejmując kolana zacnej matrony, szlochając i przyciskając ich obojgu do serca „ ach! mówiła, ty i moją matką będziesz, bo i ja własnej już nie mam!” Nakoniec znowu ciotcia podała tacę swój synowicy i zmusiła, aby trzymając oną w rękę weszła na przodzie do pokaju. Tam nowe uściśnienia, nowe wynurzenia radości i przywiązania! Stary Michał stał z boku, żegnał on i błogosławił swych panów, powtarzając z cicha: „ Niechaj was Pan Bóg błogosławi! Niechaj Pan Bóg błogosławi! Dosłyszał słów tych pan jego, obrócił się nagle i postrzegł twarz starca we łzach, a rękę dającą krzyż na powietrzu. „Przyjmuję! przyjmujemy oboje, mój pocciwy Michale! mój wierny przyjacielu! mój stary sługo! twoje błogosławieństwo, rzekł uściskając go serdecznie, gdy starzec całować mu chciał ręce,

których mu on nie dawał, lecz natomiast podniósł mu do ust rękę żony i rzekł. „ona cię kochać i szanować będzie, tak, jak ja cię Kocham! Marjo! to jest stary sługa dziada mojego i ojca, mnie on wypiastował na rękę” — „Niech go Bóg jak najdłużej nam zachowa, odezwała się Marja: — „Nie, mościa dobrodziko! nie! już mnie nie długo na tym świecie! Ale niechaj sobie! dzieje się wola boża! pan do nas wrócił, jest teraz komu rzucić mnie garść piasku na oczy!” Wyszedł rozrzewniony starzec, bo się wstydził swojego płaczu.

„Czas się posilić dzieci, rzekła ciotka podając rękę Maryi i przeprowadzając ją do drugiego pokoju; gdzie obfite i pełne smacznych łakoci przygotowała śniadanie, chcąc dać od razu młodej mężatce naukę i dowód głębokich swych wiadomości w sztuce smażenia agrestu, róży i berberysu, oraz pieczenia pierników, zaprawiania likworów. Tymczasem z przybyłych bryk za kochem, wysiadł pan Józef z ładną młodą i wesołą garderobną, dla której przez całą drogę był nadzwyczajnie grzecznym; wszystko jednak napróżno, bo trzpiot dziewczyna żartowała z niego i gardziła

wszelką jego zalecaną. Wnoszono kufry, paki, kroby i tłomoki, z dostatnią panną młodą wyprawą, jedne do domu mieszkalnego, inne na folwark, gdzie już nie było pana Baltazara, bo się od miesiąca wyniosł na posesyjkę. Wszystko to w zamieszaniu i nieładzie, czekało rozporządzenia, którym się ciocia bez zwłoki zajęła, a Teofil wzięwszy żonę pod rękę, oprowadzał ją po domie, po ogrodzie i po całym dworze, pragnąc przyswoić, że tak powiem, nową płaszynę do nowego gniazda.

Miła jest młodemu małżeństwu chwila wspólnego objęcia nowego domu i gospodarstwa; miłość ich, w pierwszym jeszcze zapale, nadzieją i wzajemnym zaufaniem szczęśliwa, roi za każdym krokiem, i z każdego szczegółu wyrabia im obrazy przyszłego ich rajskiego życia; sami są i dla siebie, własnym zostawieni siłom, wszystko co ich otacza do ich i od ich zależy; każde miejsce znajduje swe przeznaczenie i udział w roskoszach, które sobie wróżą, i których urokiem się poją. Doświadczal tego zarówno bogacz oprowadzający raz pierwszy swoją oblubienicę po ozdobnych komnatach i składach swoich dostatków,

jak i ubogi kmiotek, gdy pierwszy raz swoje domóstwo i chudobę żonie w opiekę poleca; doświadczał go tém bardziej Teofil, bo w sercu jego razem z roskoszą obecnej chwili i nadzieją równą przyszłości, łączyły się drogie dlań wspomnienia dziecinnego wieku, i radość z odzyskania dziedzictwa, które straconém dla siebie na zawsze być sądził. „To moja Marjo, nasz pokój jadalny, i ztąd wyście do ogrodu. — „Ach! jakaż piękna i tak blizka altana! Proszę cię Teofilu dziś tam na herbatę! mówiła Marja, a szczęście błyszczało w jej źrzenicy! — „To nasz pokój sypialny: a ten obok gabinet, był dawniej pokojem matki mojej; — niech więc teraz będzie twoim, aby zawsze służył najdroższym dla mnie osobom? — „A gdzież twoja kancelarya mój miły? Pozwolisz, że ja sama tobie uporządkuję i ubiorę! — „Dobrze, lecz oto twoja apteczka! — „A tutaj mościa dobrodziko śpizarnia, rzekł Michał, otwierając drzwi przy których czekał pani, pragnąc podobno pochlubić się przed nią ze swoich zapasów. — „Co za obfitość wszystkiego! rzekła Marja. — „U nas zawsze tak bywało mościa dobrodziko, odzywa się Michał. — „Oj! nie zawsze,

mój dobry Michale, chociaż nigdy głodni nie byliśmy. Ale domyślam się, musiała to ciocia kochana wspomódz nasze nowe gospodarstwo! — „Tak jest mości dobrodzieju! Ale co ten zapas, rzekł Michał odkrywając naczynie duże pełne jajek, to jeszcze przed wielkanocą, włościanie ze wsi pańskich przynieśli na włoczebne. — „Pocziwi ludzie! z jakąż radością ich ujrzę! — W tej chwili weszła i ciocia. Możemy jej przebaczyć, że chciała za swe dobre i przywiązane serce, mieć nagrodę w zadziwieniu i wdzięczności odbierających jej dary; jakoż rzucili się oni na nowo w jej objęcia, i tak w pieśczołach i radości upłynął dzień cały. Wieczor piękny majowy, do odleglejszej wabił przechadzki i Teofil pragnąc jak najrychlej powitać swych włościan, zaproponował odwiedziny bliskiej a nam znajomiej wioseczki. Zaśłyszał o projekcie Michał, pobiegł więc natychmiast, ile mu wiek biedz dozwalał i uprzedził panów. Od rana czekano tam bliższych ze dworu wiadomości; gdy więc Michał ukazał się na ulicy, hurmem otoczyli go wszyscy; lecz on nieodpowiadając na żadne pytania: „rydlówek bracia! zawołał: rydlówek! — A na co? — „Ale co wam

do tego? rydlówek tylko dawajcie, co najprędzej i co najwięcej!” — Rozbiegli się więc chłopaki i w mgnieniu oka kilkanaście naniesiono rydlówek. Porwał starzec pierwszą i zatapiając ją jak mógł najgłębiej we wnętrzości kopca exdywizorskiego, rozstrzygnął tajemnicę wołając: „Kumie! swacie! bracie, za mną do roboty! rozrzućcie kopiec nim państwo nadejdą, aby się nie *zalterowali*, bo zaraz tu będą u was w gościnie. Dzieci! bierzcie necułki, i roznoście piasek! A co Marcinie, nie wierzyłeś staremu Michałowi!” — „Chwała Bogu! odpowiedział z równą gorliwością pracujący Marcin: a tymczasem zmniejszał się coraz i rozsypywał na wszystkie strony kopiec exdywizorski, jakby nazad oddając dziedzicowi zabraną ziemię z której urosł. W połowie roboty nadszedł Teofil z żoną i ciotką; przyspieszyli bowiem kroku, postrzegłszy z daleka jakiś szczególniejszy ruch w wiosce. Za ich nadejściem, ustała praca, i pozdrowił dziadzie życzliwych swoich poddanych!!! Powitania wzajemne, łzy starych gospodarzy, uściskanych czule przez ich pana; przypominania mu cnoty i dobroci jego ojca i dziada; a nawet wyrzuty życzliwe błędów jego młodości, jako przyczyn wspól-

nój ich biedy, upewnienia wzajemne dziedzica, że wrócił z prawdziwą i niezmienną chęcią zajęcia się szczerze swoim, i swoich poddanych losem; ciekawe przypatrywanie się kobiet z blizka, a dziewcząt i dziatw z za płotów młodej pani, i proste ich ale dobitne jej postaci pochwały; i nakoniec wizyta do starego Marcina, zakończona zaproszeniem wszystkich włościan z tej i z drugich wiosek na jutro do dworu na wieczorynkę, a kobiet i dziatwy po gościńce; wszystko to razem do całodziennych dodane przyjemności, tworzyło potok czystego szczęścia, zalewający serce młodego człowieka i gojący w niem rany przeszłości.

Spóźniony już był wieczór i w noc zachodziło, gdy ze wsi powracano do dworu. Lękając się wilgoci wieczornej i kataru, ciocia pożegnała wnet młode małżeństwo, i poszła do spoczynku; lecz małżeństwo to nie chciało jeszcze kończyć godzin tak błogo im biegących; weszli więc oboje do ogrodu. Noc była piękna, księżyc w połowie pełni tocząc się po najpogodniejszym, i miryadami gwiazd osypaném niebie, przełamwał się w promieniach po gałązkach brzoź, młodym osypanych liściem; szmer potoku brzeżącego ogród, i roz-

legający się śpiew słowika, niewymówną a miłą harmonią rozlewały w czystém i ożywiającą wonią napełnioném powietrzu!!! Komuż się nie zdarzyło napawać rozkoszném odetchnieniem pogodnej i ciepłej majowej nocy? Czyjaż dusza nie uniosła się natenczas tkliwém rozrzewnieniem, miłością ku Twórcy, miłością ku naturze, miłością nakoniec ku ulubionej sobie istocie! a zawsze miłością, bo wszelkie uniesienia człowieka, szczęśliwością wzbudzone; są zawsze jedném i témże samém uczuciem.... miłością!

W takim upojeniu uczuć i myśli, przechodzili oni pokilkakrotnie ogród, aż nakoniec dusze ich przenikające się nawzajem, połączyły się w jedną, wspólną, pokorną, a z głębi serc wdzięcznych ku otwartym niebiosom wznoszącą się modlitwie!!! Była ona wstępem mającym zająć pierwszą kartę drugiego rozdziału życia młodego małżonka, a którego ozdobą, rozkoszą i nadzieją miał być Anioł stróż, wcielony w piękną niewiastę.

Ach cóż to jest dobroć w kobiecie? Cóż doskonalszego wyjść mogło z rąk Twórcy, nad kobietę. Z postacią Anioła i z dobrocią Anioła?

z dobrocią, malującą się na jej obliczu, tonącą w jej łagodném oku, uśmiechającą się wdzięcznie na ustach, i wypływającą z czułego serca harmonijnym głosem i słowami pieszczoty, miłości, pociechy, lub proźby; objawiającą się nakoniec w każdodziennéj czynności i w uszczęśliwieniu wszystkiego co ją otacza!!!

„Stokroć szczęśliwy! któremu się zdarzysz! (*).



Kiedy opowiadanie Autora znajduje echo w sercach czytelników, Autor napisał książkę pożyteczną, bo prawdziwą; bo wzbudził myśli i uczucia często uspione, tak jak się stosowną uprawą, życie, obudza w zamarłém ziarnie, które potem pożyteczne przynieść może owoce. — Oby obrazy moje, tego szczęśliwego dosięgły celu!

(*) Krasicki.



i dobroci, mądrze się na jej obliczu, tonie
 w jej jasnym oświeceniu, zamieszkuje się w niej
 na ustach, i wypływają z czułego serca barne
 najwymowniej i słowami pieśniami: miłości, po-
 ciechy, lub przyrody; objawiając się nakazem w ka-
 dołach, czynności i w uszczęśliwieniu wszyst-
 kiego co ją otacza.

Kto chce poznać jej tajemnicę, niech się zbliży do
 jej, ażeby mógł się z nią spotkać, i z nią
 rozmówić.

Kiedy opowiadanie Autora, najpiękniejszą w ser-
 cach czytelników, Autor, najpiękniejszą książką pożyte-
 czną, po prawdziwu; bo wzbudził myśl i uczucia
 często niepionę, jak jak się słosowa na uprząż, wy-
 cie, obudza w czytelniku ziarne, które potem po-
 żyteczne przyniesie może owoc — Oby obrazy

moje, tego szczęśliwego dostąpić celu!

Książki, które wzbudziły w czytelniku
 miłość, i które wzbudziły w czytelniku
 miłość, i które wzbudziły w czytelniku

Ach, jak to jest, jak to jest, jak to jest
 jak to jest, jak to jest, jak to jest
 jak to jest, jak to jest, jak to jest

PODDANY.

P O D D A N Y

Jakkolwiek powieść następująca pod tytułem Poddany, nie była zamieszczoną w pierwszym wydaniu tej seryi Obrazów Litewskich, będąc utworem innego kroju, daleko wcześniejszym i prawie młodzieńczym naszego genialnego autora, nie jaśniejącym jeszcze tym blaskiem talentu, który w późniejszych Obrazach się okazał; nie chcąc wszakże czytelników naszych pozbawiać przyjemności zapoznania się ze wszystkimi pismami P. Ign. Chodźki, i tę powiastkę w tym zbiorze zamieściliśmy.

Uw. Wyd.

P O D D A N Y.

PIOTR był synem stolarza, i równie jak jego ojciec i całe rodzeństwo, poddanym bogatego wojewody T.... Matka jego była mamką jedynego syna wojewody; skutkiem jój zasług mały Piotruś został chłopcem pokojowym małego wojewodzica. Przyjęto metrów i guwernerów do pana, a słudze uczyć się czytać na wpół pozwolono, a na wpół kazano: gniewał się i nadymał często panicz, gdy nauczyciele na zawstydzienie go i dla wzbudzenia w nim większej do nauk ochoty, chwalili pojętnego i pilnego Piotrusia, który nauczywszy się w krótkim czasie czytać, z przysłuchiwania się tylko pojmo-

wał dobrze nauki i pisał ukradkiem prawie, ale daleko foremniejsze litery, niżeli jego pan, który przez kilka godzin na dzień, męczył się, płakał, gryzł pióra i nauczycieli. — Nakoniec wojewoda dawny jezuickich konwiktów wychowaniec, z własnego przykładu wróżąc dla syna w publicznej szkole o-
chotniejszą naukę, i niemało wając przysposobienie mu ze szkolnych kolegów, przyszłych w publicznym obywatelskim zawodzie przyjaciół, postanowił go do niej wyprawić. — Piotruś dość się poduczył jak na poddanego, Władysław potrzebował starszego sługi, a zatem Piotruś miał pozostać w domu. — Natura nie rozdziela swych darów podług względów tego świata; Piotr miał w sobie wrodzoną do nauk zdolność, słuchał do tego codziennych napomnień, w których nauczyciele przekładali Władysławowi konieczną onych potrzebę i nieskończone z nich po-
żytki; i gdy Władysław przypominając zdania swych w dzieciństwie piastunek, nie bardzo wierzył tym uczonym wywodom, i bliżej mniemał że panu wielkiemu na nic, albo na bardzo mało uczoneść się przyda; Piotr trafiał zawsze po lekcjach na słowa matki „ucz się Pietrze, ucz się; Bóg cię pobłogosławi, gdy mię słuchać będziesz!” — Dowiedziaw-

szy się więc że jego nadzieje wkrótce się już miały zakończyć, pobiegł z tą smutną nowiną do matki, która wnet ze łzami stanęła przed wojewodą. „Czegoż chcesz? rzekł do wchodzącej, kochana Maryno! — „Jaśnie wielmożny panie! mój Piotruś...” — „Bądź spokojna, przerwał omylony wojewoda, twój Piotr od ciebie się nie oddali, nie pojedzie do szkół z moim synem, ale wezmę go do mojego dworu, bo mi powiadają że będzie zeń dobry chłopak.” — „Ale bo ja przyszłam, rzekła rzucając się do nóg zdziwionego wojewody, prosić JWpana, aby Piotr jechał do szkół z paniczem.” — „Jak to? albo on chce tego?” — „Ach! i bardzo!” — A tobież moja kochana, na co się przyda syn rozumny? — „Ja chcę JWpanie, rzekła szczerze prosta kobieta, aby lepiej umiał Boga chwalić i paniczowi służyć.” — Wytrzymał dotąd niecierpliwie tę scenę pan Władysław, lecz dłużej niemogąc dotrwać: „ja nie chcę takiego słu- gi, odezwał się mrukliwie; — nowe i nie bardzo przyjemne zdziwienie dla wojewody; — spójrzył na syna i po krótkim namyśle: „ty nie chcesz rzekł, a dla czegoż nie chcesz.” — Władysław milczał, wstyd mu było wyznać, że się lękał w szkołach pierwszeństwa Piotra nad sobą, i że już go w domu za to nie lubił. Ojciec

pokilkakrotnie i surowszym tonem zapytanie powtarzał, aż nakoniec pan Władysław się rozplakał. Wojewoda wziął pod rękę xiędza Jana, który i w domu i w szkołach miał przewodniczyć wychowaniu Władysława, odprowadził go do odległego okna, i rzekł dobitnie i z cicha: „Xięże Janie! uważałeś wszystko? — Xiądz Jan się skłonił: — „Bardziej serce niż głowę syna mego tobie poruczam; — xiądz Jan skłonił się znowu: — „a ty, odezwał się do syna, ponieważ Piotra sługą swoim mieć nie chcesz, więc go na służącego w szkołach dla xiędza Jana przeznaczam. Zostawi on mu, jak się spodziewam, dość czasu i do nauki.” — Jeszcze raz xiądz Jan się uklonił: wojewoda pożegnał chcąc mu do nóg upaść Marynę, a Piotruś przejąwszy matkę w sieni, dowiedział się z radością o wszystkiém, i poszli razem układać się do jutrzejszej wyprawy.

Nazajutrz gdy już wszystko do wyjazdu pana Władysława było gotowe, i gdy wojewoda pożegnał na ganku, do pojazdu z xiędzem Janem wsiadającego syna, rzekł jeszcze do kłaniającego się mu Piotra: „no, pamiętaj, abym nie żałował, zem ci się uczyć pozwolił.” — „Byłby z niego wyborny kredensarz, odezwał się stojący wśród innych dworskich

pan Michał Bałbasewicz, marszałek dworu wojewody, ale kiedy się ten płaszek poduczy, to kto wie co z niego będzie? — „Być może marszałkiem mego dworu, odpowiedział wojewoda poglądając surowo na pana Michała. Brunatny pons wystąpił na rumiane policzki pana marszałka, poznał że niewczesnie wyjechał z uwagą, pokręcił czarnego wąsa i milczał, ale postanowił w duchu za najpierwszą zręcznością wypłacić się za tę, jak powiadał, konfuzję, komuż? — niewinnemu Piotrowi.

Pilnością i pojęciem przewyższał Piotr w szkołach nadzieje nauczycieli; ale ani jego łagodny układ, ani staranie i przestrogi księdza Jana, ani kary nawet, nie ochraniały go od codziennego prześladowania, do którego urodzenie jego stawało się powodem. Każdy z jego kolegów, będąc w domu rodziców paniczem, mniemał się być poniżonym siedząc w jednej ławce z synem stolarza. — Pan Władysław bowiem każdemu to zaraz objawił. — A że jeszcze stolarczyk (tak go po studencku przezwano) jak na złość lepiej od wszystkich paniczów się uczył, musiał więc znosić to od kilkudziesięciu, co w domu znosił od jednego. Nieraz chciał wyrzec się wszystkiego i wrócić do rodziców; dobrotliwe jednak

napominania księdza Jana, i częste widywania się z matką pragnącą koniecznie jego nauki, utrzymywały go w szkołach. Ale gdy po latach kilku utracił matkę, a ojciec więcej o własnym rzemiośle, z którego liczne rodzeństwo żywił, niżeli o naukach syna myślał; gdy z wiekiem rozwijające się pojęcie, dotkliwiej mu czuć dawało codzienne upokorzenie; gdy poznał, że w nieszczęśliwym swym stanie, przy największym swém kształceniu, nigdy nie będzie mógł użyć najśodszych praw człowieka; postanowił je sam sobie zapewnić, prościej mówiąc, uciec ze szkół. Dokąd? sam nie wiedział, lecz w upatrzonej chwili ruszył w drogę.

Lat blisko dwadzieścia minęło. Na dworze wojewody zapomniano że był Piotr na świecie, nawet pan Bałbasewicz, zawsze z honorem piastujący łaskę, najzasłużeńszy z dworskich wojewody, przestał już przypominać, że trafnie niegdyś przepowiedział zły skutek z nauk Piotra. Czas przyniósł już czerstwą starość wojewodzie, pochylił ku ziemi księdza Jana, uwienczył mirtem skronie jego wychowanka, osypał szronem niegdyś kruczy wąs marszałka dworu, a nawet w tym przeciągu, urodziła się, wzrosła i za mąż wyszła, córka wojewody. Zięciem jego

został podkanclerzy litewski, z obowiązku swego większą część roku przemieszkujący w stolicy. Ten, gdy raz z jednym z najpierwszych prawników warszawskich, szambelanem Koniuszyńskim, radził w gabinecie o ważnym processie swojego teścia, niespodzianie w téj chwili z powodu tegoż processu od wojewody przysłany, wszedł pan Bałbasewicz, i po pierwszém przywitaniu oddał podkanclerzemu listy od swego pana. Pan szambelan natychmiast wyjść pragnął, lecz zatrzymał go podkanclerzy, zapewniając, że listy teścia właśnie zawierać muszą rzecz, o której radzili, i wnet czytać je zaczął. Tymczasem ukłoniwszy się wzajemnie, rzucili na siebie okiem dwaj obecni goście; wzrok marszałka pokilkakrotnie padał na pana szambelana i zatrzymywać się zdawał; pan szambelan odszedł do okna i czytał gazetę. Przebiegłszy tymczasem podane sobie pisma podkanclerzy, rzekł obracając się do szambelana: „zgadłem mój kochany panie Pietrze!.... Na to nazwanie, jakby wypchnięty z kąta porwał się raptem i zawołał Bałbasewicz: „a niech mię szatan porwie! Jaśnie wielmożny!!! — i nagle zamilkł, jakby wątpiąc czy się nie mylił. — „A toż co się znaczy? zapytał zdziwiony podkanclerzy. Mar-

szalek stał jak wryty, pokręcał węża i utopił wzrok w szambelana. Był to wzrok sokoli, wzrok marszałkowski; wzrok który lękliwą dworską młodzież do wyznania figlów przymuszał, winowajcę i winę poznawał; wzrok niestety! samemu niegdys szambelanowi znajomy — nie dziw więc że go w tej chwili aż do głębi serca przenikał. Nie cofając go pan Bałbasewicz, odpowiadał niedbale podkanclerzemu: „nie to JWpanie; rozumiałem, zdawało mi się... i nawet jest podobieństwo...” Pan szambelan tymczasem przebaknąwszy z wyraźnym pomieszczeniem niezręczną jakąś przyczynę pośpiechu, pożegnał krótko podkanclerzego i śpiesznie się oddalił. „Co to wszystko ma znaczyć? zapytał się powtórnie zdziwiony podkanclerzy, wytłomacz się Bałbasewicz! — „Powtarzam JWpanie, że niech mię szatan porwie, jeżeli z tym panem szambelanem dawno się nie znamy. — „Co ci się roi! szambelan Koniuszyński jest podobno z Podola, a ty z Litwy; on młody, a ty... — „Koniuszyński! patrz jego! przeiwał kręcąc głową Bałbasewicz, Koniuszyński! jak się przepolszczył! Koniuszonek panie! Piotr Koniuszonek, poddany nasz, chcę mówić wojewody mojego pana poddany, który przed laty 20tą *ni falor*, uciekł ze szkół, dokąd

go i wywozić nie radziłem, a za to, pamiętam co mi wojewoda powiedział; Koniuszonek panie! którego ojciec stolarz i bracia żyją jeszcze, który...— „Podkanclerzy z tego nieskładnego opowiadania marszałka nie mogąc nic zrozumieć, przerwał je i porządnie o wszystkiém rozpytywać się zaczął. Częstość najmniejsze podejrzenie długo tajoną od razu odkrywa prawdę; Bałbasewicz najmocniej już był przekonany że jój doszedł, i że poznał w szambelanie Piotra Koniuszonka. Podkanclerzy po ściśleńm wypyтaniu się, i najbardziej przypomniawszy sobie pomieszanie jego, śpieszne wyjście i podobieństwo nazwiska, wyraźnie w zakończeniu tylko zmienionego, skłonnym był także uwierzyć marszałkowi; a gdy nad tém dumał: — „nie masz czasu do stracenia, ten się odezwał, taki ptaszek widząc się poznanym, długo tu nie posiedzi. JWpan powagą swoją, niech mi wyjedna sposób pojmania jegomości, choćby *cum brachio militari*, a niech go tylko raz porwę w moje ręce... ręczę że dostawię aż na miejsce. Proszę, co to za odwaga tego plebejusza, podejść nawet majestat króla i zostać szambelanem! Hm! mruczał dalej, on szambelanem!... „a ja dotąd marszałkiem, musiał zapewne pomyśleć, gdyż za-

czerwienił się nagle, i postąpiwszy krok naprzód, z heroiczną odwagą zawołał: „Pozwól tylko JWpanie, stanę sam jeżeli tego potrzeba będzie, przed Jego królewską mością, przeciehem za jego przywilejem strażnik inflantski... — Uspokoj się mości strażniku inflantski, rzekł podkanclerzy, i zostaw tę całą okoliczność mojej uwadze. Odpocznij raczój po drodze, ja tymczasem do jutra i prawdy dojdę, i postanowię co mam dalej czynić. — „Ale JWpanie! czyby nie lepiej było abym ja poznawszy zbiega, jako sługa wojewody... — „Wpan zapominasz że ja jego zięciem, i że tu bez mojej woli nic działać nie powinienes. Do jutra panie marszałku, i ani słowa przed nikim! rozumiesz mię Wpan? — Ukłonił się i musiał odejść Bałbasewicz, oburzony, że zawsze jego odrzucano plany. Byłby on sam niezawodnie oddał wizytę panu szambelanowi, ale ostatnie słowa podkanclerza i tej mu zabroniły wolności; rezygnował się więc z cierpliwością zapowiedzianego oczekiwać jutra. — Aby jednak darmo czasu nie tracić, odwiedził jakie miał w stolicy znajomości, zaszedł nawet do sądownictw, a gdziekolwiek niby nawiasem o szambelanie Koniuszyńskim zapytał, wszędzie jednozgodne i jego charakteru i jego biegłości w prawie i jego powszech-

nój wziętości słyshał pochwały. Za każdym razem, wychodząc pokręcał głową i pomrukiwał: „trudno będzie jak widzę! oprzemy się podobno o króla! proszę uniżenie! ktoby się spodziewał? Miał być podemną kredensarzem, a teraz.... do stu katów! musi być znowu; albo nie! zrobię go szafarzem na pamiątkę szambelańskiego klucza; he! he! he! — i w tych słodkich marzeniach, urodzony strażnik inflantski, zabrał się do spoczynku po drodze.

Podkanclerzy tymczasem z inszego wcale punktu rzecz tę rozważał. — Znał on od lat kilku szambelana, i szacował go jako człowieka pełnego rozsądku, honoru i cnoty; wszystko co otaczało tron Stanisława Augusta, tchnęło ludzkością i oświeceniem, które ze stolicy, jakby od ogniska, rozchodziło się powoli po całym kraju; w tych uczuciach podkanclerzy, postanowił użyć wszelkich sposobów, aby ochronić i oswobodzić człowieka, którego przymioty tak daleko nad urodzenie wyniosły. Niżeli jednak cokolwiek przedsięwziął, pojechał pierwój do niego, aby i przekonać się o prawdzie domniemań marszałka, i zapobiedz bez zwłoki gwałtownej rozpaczy, w którejby odkrycie to pograćzyć mogło szambelana.

Siedział oparty na ręku, głęboko zadumany Piotr, (on to bowiem był rzeczywiście) pióro trzymając w drugiej ręce, gdy wszedł doń podkanclerzy. Wewnętrzne udręczenie, tak rychło i tak dobitnie wyraziło się na twarzy pierwszego, że podkanclerzy nie mógł ukryć swego podziwienia, i pierwszy rzut oka bez dalszych pytań, przekonał go o prawdziwości domysłów marszałka, i o potrzebie uspokojenia nieszczęśliwego. Inaczéj sobie wytłómaczył Piotr przybycie niespodziewanego gościa; wymuszając jednak na sobie spokojność, dręczył się podobny choremu, który się nie chce poddawać chorobie, wprzód nim ta gwałtem nie rzuci go o łóżko. Jedno postanowienie uczynił stałe, nie przeżyć swego zhańbienia; zdało mu się że wejście podkanclerzego było pierwszą onego chwilą, że zięć przychodził rozciągnąć nad nim prawo teścia swego. — „Cóż jest powodem niespodzianych odwiedzin pana? przychodzisz pan mię wybadać? — nie myślę tać, zwłaszcza przed panem, którego szczerze szacuję, prawdy, o której w téj chwili, cała może dowiaduje się publiczność. Tak jest, marszałek mię poznał, jestem poddany wojewody T..... zbiegłem niegdys z szkół, a nie

czas opowiadać przez jakie stopnie doszedłem stanu, w którym teraz żyłem. Mogłem od czasu gdym od pana wyszedł, do terazniejszej chwili, być już ztąd daleko, i pod innym niebem nieznanym, dożyć spokojnie, choć w tęsknocie, krótkiego zapewne życia; ale zostawiłbym tu hańbę za sobą, a najbardziej, zawiódłbym zaufanie wielu osób, którzy mi swój los i interessa powierzyli. Potrzebuję zatem jakiegokolwiek czasu, abym w tym względzie zostawił konieczne objaśnienia i rozporządzenia; poczem.... To zaś co dotąd mojem nazywać mogłem, wiem, dodał z widocznem wzruszeniem rozpaczy, wiem, że choć cnotliwie zapracowane.... łzy mu się potokiem rzuciły, i drząc kończył — wiem że mego rozrządzenia nie wymaga, bo równie jak i ja sam nie jest moją własnością...” Tu mu się głos stłumił, i padł prawie omdlały na sofę.— „Uspokój się i posłuchaj mię, rzekł podkanclerzy; mylisz się nad powodem który mię tu sprowadza; łatwo pojąłem stan gwałtownego cierpienia, w który cię spotkanie się z Bałbasewiczem pogrążyło, spieszyłem więc przynieść ci uspokojenie i pociechę, na jaką tylko przyjaźń moja dla cię zdobyć się może. Znajduję com przewidział i lituję się

nad tobą; jakiegokolwiek są twe postanowienia, nie mam potrzeby ich zgłębiać, gdy powód do nich usunąć przedsiębiorę. Znamy się blisko od lat kilku, mam więc prawo mniemać, że znasz wartość mojego słowa i mojej dla siebie przyjaźni; a zatem że los swój powierzysz mi z zaufaniem. — „Ach! z zupełném, odpowiedział Piotr. — „Więc zabraniam ci wszelkich w téj okoliczności kroków, do czasu nim albo ci moich nie ziszczę uręczeń, albo gdybym tego dokazać nie mógł, nie zostawię cię własnej twój woli. Przrzekasz mi to? — Piotr milczał. — Milczysz? mówił dalej podkanclerzy; pamiętaj, że Bóg cię srogo zapyta, dla czegoś obrał dobrowolnie rozpacz, gdy ci ofiarowano nadzieję? Z rozrzewnieniem i pokorą rzucił się Piotr w ręce swego dobroczyńcy i przrzekł wszystko czego ten po nim żądał. „Wreście, rzekł odchodząc podkanclerzy, ja tylko i ty, posiadamy twą tajemnicę; Bałbasewicza biorę na siebie.

Pan strażnik inflantski całą noc oka nie zmrużył, już to układając perorę do króla, już to sposoby obchodzenia się w drodze z pojmańcem, już to wróżąc dary wojewody za tak wielką przysługę. Doczekał wreście świtu, i wnet sprowadzony pod-

żyły weteran brzytewnej kontubernii, przystąpił do odświeżenia czupryny pana marszałka. Jakby się przelał dzisiejszej mody panicz, do podobnejże usposobiony professyi, gdyby mu przyszło mieć do czynienia z szerokim łbem marszałka, na którego wierzchołku tylko kilkadziesiąt rozwiewało się włosów; tak też wzajemnie pan marszałek nigdyby się nie odważył powierzyć swój starój i pokresowanej głowy, ręce młodego elegancika, młodszego od dobrego infimisty tamtych czasów. Ale gdy równieczy prawie z nim professyonat, zachylił z powagą rękawa od żupana, usiadł z zaufaniem do operacyi marszałek i litanią poranną odmawiać zaczął. Z pociechą usłyszał *ora pro nobis* odpowiadane z ust gołącego siebie, i najmniej przeto nieprzerwywającego roboty, tak, że nim ukończyli modlitwę, już wolny został Bałbasewicz do kontynuowania swego dalszego stroju. Nagrodziwszy tyńfem i skosztowawszy razem z nabożnym felczerem z podróznego zapasu, przybrał się pan strażnik w mundur swojego województwa, żupan bogatą na szyi ozdobił szpinką i pasem litym się opasał, przy którym na taśmach, ze złota i jedwabiu utkanych, w jaszczur oprawną zawiesił demeszkę. Garderobę

tę uroczystą zawsze od przypadku miał z sobą, równie jak przywilej swój na strażnikowstwo inflantskie i podobnyż ojca swego na łowiectwo ziemi Nurskiej, ażeby w każdym przypadku mógł dowieść, że był *bene natus*. Oba te dokumenta małym rogiem wysuwały się mu teraz z zanadry, dla okazania w zdarzeniu; hót żółty i czapka wysoko wyszyta, dozupępniały stroju w którym się z oficyny udał na pokoje podkanclerza. Wszyscy jeszcze tam spali, bo już i w tamtym czasie, w stolicy, godzina świtania nie była chwilą przebudzenia się; doszedł wszelakoż do sali, po której przechadzając się, skrzypaniem butów budził kolejną wszystkich. Jak tylko wstał podkanclerzy i dowiedział się, że Bałbasewicz już nań czeka, wejść mu do siebie pozwolił. „A! jakżeś mi strojny, mój kochany strażniku, rzekł z zadziwieniem, czyś nie postanowił jaką ciepłą wdówkę wziąć zład pod straż swą do Litwy? — „Wolne żarty JWpana! przez należyty respekt senatorskim JWpana pokojom, i rozumiejąc nadto, że wczorajsza nasza sprawka może być powodem do stawienia się i skargi, nawet *ad majestatem*, przywdziałem mundur mojego województwa i czekam rozkazów JWpana! — „Czy tylko to?

No! bądź spokojny, obejdziemy się bez tak wielkich zachodów. Bo dajmy żeś rzeczywiście poznał Koniuszyńskiego, czyż teść tak mało ma poddanych, aby mu wiele zależało na przybytku jednego, i takiego jeszcze, z któregooby jak z poddanego, żadnej nie miał korzyści? — „Ale JW. panie, zbieg tak ważny! ręczę panu, że wojewoda zdarzenia tego małym nie nazwie, że ja będę w odpowiedzialności, jeżeli to lekko puszcze a Koniuszonek tymczasem uciecze. — „W listach moich do wojewody dałem świadectwo gorliwości Wpana; z resztą, sam uważasz okoliczność tę za ważną, więc obrazilibyśmy wojewodę, gdybyśmy coś bez jego wiadomości i woli uczynili; że zaś szambelan na miejscu zostanie, za to ja ręczę. Wpan zaś, mój kochany strażniku, niemasz ani chwili do stracenia; proces teścia mojego wymaga rychłego Wpana powrotu, listy moje oto są, a wczora jeszcze kazałem memu marszałkowi aby przygotował dla Wpana zapas na drogę i ranne śniadanie; wszystko już dotąd gotowe, żegnam więc Wpana. Znając jego roztropność, nie potrzebuję powtarzać ostrzeżenia, abys ani komukolwiek z mojego dworu, ani nawet przybywszy do domu, nie rozpo-

wiadał tego co tu zaszło bez wyraźnego dozwolenia wojewody.” — Bałbasewicz nie w ciemie bity, poznał że go chciano jak najrychlej z Warszawy wyprawić, ukłonił się więc nisko i wyszedł nieukontentowany. Wnet miejsce atłasowego zajął sukienki żupan, miejsce kontusza podróżna kurtka, miejsce demeszki furdament na rzemiennych paskach; i posiliwszy się należycie zrazem huzarskiej pieczeni u kolegi swego, pan marszałek wyruszył w podróż.

Lubo Bałbasewicz nie mógł rozgmatwać w swęj głowie powodów postępowania podkanclerza, nie posądzał go wcale, aby mógł zaniedbywać interesu teścia, a tém bardziej aby go zdradzał; dla tego też przybywszy do domu, zachował jego przestrożę, i oddawszy listy wojewodzie, czekał, nikomu nic nie powiadając, co pan postanowi. Przywołany wkrótce, opowiedział na zapytanie wojewody, wszystkie szczegóły swego zdarzenia w Warszawie, nie opuszczając, że był gotów wszelkimi sposobami dochodzić własności pańskiej. „Dziękuję ci, odpowiedział wojewoda, za twą gorliwość, a jeszcze bardziej żeś posłuchał we wszystkiem woli mojego zięcia. Nikomu tu nic o tém nie powia-

daj, a ja wysyłam jutro do Warszawy z mojem postanowieniem, które spełnić się musi koniecznie. —

„Widzi pan, rzekł Bałbasewicz, że moje proroctwo, jeżeli je pan przypomni, gdy Piotra do szkół wywożono, ziściło się. — „Gdybym z tak pocziwym, jak ty mój strażniku sługą, nie chciał żyć aż do śmierci, odpowiedział wojewoda, i mojeby teraz ziścić się mogło, jeżeli je także przypomnisz.

„Szczególna rzecz! mrucał sobie wychodząc Bałbasewicz, każą mnie milczeć, jak gdybym miał co rozgłaszać? — Nie w tém rzecz, zem poznał Koniuszonka, ale to sęk, co się z nim stanie, i co to za postanowienie wojewody które musi się spełnić koniecznie.

Przez cały wieczor wojewoda zamknięty był w gabinecie z księdzem Janem, nakoniec przywołano marszałka, i oddano mu pakiet z rozkazem wysłania przed świtem gońca do Warszawy. Tu rzecz, pomyślił sobie Bałbasewicz, ale jakże jęj dostać? — Ksiądz Jan wie wszystko; ale ksiądz Jan wielomówny tylko w pacierzach. Pan marszałek był z natury ciekawy, a trochę i obrażony, że na dworze którego był głową, w okoliczności której sam był sprawcą, nie wiedział przecie jaki nastąpi koniec.

We dni powszedne, ksiądz Jan bardzo ranna mszę miewał w kaplicy, długim szpalerem lip sta-
 rożytnych od zamku oddzielonej; nie opuszczał jej
 nigdy marszałek; wracali potém razem, kapelan na
 kawę, marszałek na anyżówkę. Idąc powoli i roz-
 mawiając, często nie zgadzali się w zdaniach, ale
 zwykle ksiądz Jan kończył sprzeczkę, lub ustępu-
 jąc marszałkowi, lub mówiąc tylko: mój mości
 strażniku, szanuję opinię Wpana, wszakże zostaną
 przy własnej. Po wystaniu gońca, nie uchybił mar-
 szałek swemu zwyczajowi, poszedł na mszę i wra-
 cał znowu z księdzem Janem. „No *reverendissime!*
 już godzin kilka jakem wysłał do Warszawy. —
 Ksiądz Jan uchylił głowy, jakby miał powiedzieć, do-
 brześ uczynił. Zarwę go znienacka, pomyślał Bał-
 basewicz. „Zapewneż wojewoda kazał go pojmać? —
 „Kogo? — „Koniuszonka któregoś poznał! Ksiądz
 Jan milczał, pokręcił tylko głową, jakby mówiąc,
 nie. A bodajbyś zupełnie oniemiał! ledwo nie po-
 wiedział zniecierpliwiony marszałek. „Ależ *reve-
 rendissime*, o tój całej awanturze nikt prócz nas
 trzech we dworze nie wie i wiedzieć nie będzie, bo
 jegomość mię znasz, wiem ja cnotę nad cnotami... —
 „Jeszcze jedna jest cnota arcy-pożyteczna, mój

mości strażniku, przemówił przecie ksiądz Jan. — „A to jaka *reverendissime*? — „Wstrzemięźliwość w ciekawości, mój mości strażniku. Pokręcił węża Bałbasewicz, poznał sens moralny téj odpowiedzi księdza Jana, i już ani słówka więcej na ten raz z sobą nie przemówili. „Albo wojewoda zaniechał zupełnie téj sprawy, albo podkanclerzy zaprzeczył memu odkryciu, myślał niekiedy Bałbasewicz, nie widząc rozwiązania; lecz wkrótce, postrzegł jednego wieczora, że wojewoda odebrawszy listy od zięcia, zawołał do siebie starego stolarza. — Przywlokł się staruszek o kiju, i więcej niż pół godziny rozmawiając sam na sam z panem, wyszedł ocierając z łez oczy. Przywołano potem syna jego Andrzeja kredensarza, gdyż pan Bałbasewicz w całym rodzie Koniuszonków, upatrując szczególniejsze do kredensarstwa zdolności, po wyprawieniu Piotra do szkół, Andrzeja brata jego, do téj funkcji przeznaczył. Opanował go natychmiast po wyjściu od pana, marszałek; mimo zakazu wojewody, nie mógł oprzeć się Andrzej swemu bezpośredniemu naczelnikowi, któremu podlegać codziennie nawykł, odkrył mu wolę wojewody, a marszałek opowiedziawszy wzajemnie całe swe zdarzenie w Warsza-

wie, dodał cokolwiek swoich instrukcyj do rozporządzeń wojewody.

Nazajutrz wojewoda wstał raniiej nad zwyczaj, zdawał się być niespokojnym i oczekującym, wychodził na ganek, patrzył na drogę, posyłał do miasteczka obaczyć czy kto nie zajechał do której austeryi; lecz wszystko napróżno.— Nakoniec około południa, ujrzano czterokonny pojazd w lipowym szpalerze, a ponieważ od rana już wszyscy dworscy i goście cichą nowinkę o przybyciu Piotra dostali, wszyscy więc to w otwartych oknach, to na gankach poumieszczali się. Pan Bałbasewicz stanął we drzwiach officyny; sami tylko wojewoda, ksiądz Jan i pan Władysław, przez zamknięte szyby zważali na wszystko. Pojazd zbliżywszy się do bramy, stanął. Wyszedł zeń mężczyzna, (czytelnik zgadywa kto taki) przystojnie ubrany, odpasał i oddał pałasz swemu służącemu, a sam szedł do pałacu. Wtém naprzeciwko niego zbliża się staruszek o kiju; zastanowił się Piotr i wpatrując się w niego: — „O Boże! to mój ojciec! zawołał, i już był u nóg jego.— „Pietrze! synu mój! synu mój! powtarzał rozrzewniony staruszek. — „Ojcze! daruj, daruj żem cię opuścił! o jakże dziękuję Bogu

że cię jeszcze oglądam! Cóżkolwiek mię czeka, kończył całując z uniesieniem wynędzniałe ręce starca, będę żył i będę szczęśliwy, bylem ciebie ojciec w starości mógł opatrywać i żywić.” — „Boże błogosław jemu, wołał starzec uradowany!!! — „Boże błogosław go! powtarzał do łez wzruszony stary wojewoda, żegnając Piotra przez okno. O jakże szczęśliwy ten ojciec! jakżem ja szczęśliwy, że taką cnotę nagrodzić mogę! Patrz! patrz księżu Janie! o jakże szczęśliwy ten starzec! — „Mój ojciec! przerwał Władysław przyciskając do ust rękę wojewody, dla czegoż mu zazdrościsz? czyż także nie masz syna który cię kocha i szanuje? Wojewoda bardziej jeszcze rozplakany uściskał Władysława. Tymczasem szła kolej na Andrzeja kredensarza. Według instrukcyi marszałka, miał on z zuchwałą miłą zbliżyć się do brata, uścisnąć go i pocałować, a jeżeliby się ten wzbraniał, niegrzecznie z nim się rozmówić, prowadzić do wojewody, i tam oskarżyć że się brata zapał. Wypełniłby wszystko co do joty Andrzej, ale i zuchwałość i rozkazy Bałbasewicza wypadły mu z pamięci, skoro ujrzał brata upadającego do nóg ojcowskich; i Andrzej miał serce.... zbliżył się wprawdzie do szambelana,

bo taka była i wojewody wola, ale zamiast poufałego przywitania, milcząc wziął go nieśmiało za rękę i ucałował ją ze łzami. „To brat twój Andrzej, rzekł wspólny ich ojciec. — „Nie poznałbym go wcale, odpowiedział Piotr, zostawiłem go bardzo małym, pójdź bracie! uściskajmy się i idźmy do pana.” — Wojewoda odszedł od okna, podpisał sam i Władysławowi podpisać rozkazał przygotowany papier, i z nim w rękę wyszedł do sali na ich spotkanie. „Pietrze! i postrzegając się wnet, szambelanie! rzekł, niech ci Bóg nagrodzi radość którą mi dziś sprawiłeś! niech ci Bóg nagrodzi szczęście ojca twojego, twoję cnotę i synowskie przywiązanie. Nie zawstydziłeś się ojcowskiej siermięgi, ja cię też równym sobie uznać się nie powstydzę. — „Panie! przybyłem na twe rozkazy, oddać los mój na twą wspaniałość!!! — „Dość tego, oto masz! oddając papier, przerwał wojewoda, com dla ciebie, znając cię tylko z listów zięcia mego, przygotował, a co w chwili gdyś ojca twego poznał i uczcił, dozupełniłem. Nikt ci tego, ja sam nawet odebrać już nie zdołam, — (był to zapis przyznający wolność całej familii Koniuszyńskich, oddawna wprawdzie, jak wyrażał, w dobrach wojewody zamieszkałej, ale

nigdy jakoby poddanej)—bądź tylko moim i po mojej śmierci syna mego przyjacielem na zawsze. — Władysław przyjął mile kolegę szkolnego; ksiądz Jan oblał go łzami i błogosławieństwem; a pan strażnik inflantski, niewiedząc sam co miał myśleć i mówić, pokręcał tylko, jak zawsze gdy był nieco zaambarasowany, węża. Lecz gdy do zebranej przed obiadem kompanii wojewoda rzekł: „prezentuję państwu pana Koniuszyńskiego szambelana Jego królewskiej mości, przyjaciela domowego mojego zięcia i mego; a co najgorsza, gdy go obok siebie u obiadu posadził — Bałbasewicz chciał natychmiast złożyć tak długo piastowaną laskę, z którą chodząc około stołu uważać porządku był powinien, i ledwo go od tego ksiądz Jan odwieść potrafił.

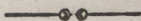
Nazajutrz rano udał się ksiądz Jan w towarzystwie zwyczajnym marszałka na mszę: nie chcąc przed nią rozrywać myśli kapłana, gotował marszałek na powrót z nim dysputę uporczywą o wczorajszym postępku wojewody, szczególnież względem posadzenia u stołu Piotra; lecz zbliżając się postrzegają klęczącą na cmentarzu osobę, był to Koniuszyński modlący się na grobie matki swojej. To już nawet i marszałka zmięczyło. Idąc nazad do

pałacu, zamiast sprzeczki, słuchali oba z księdzem Janem opowiadania Koniuszyńskiego o jego losie po ucieczce ze szkół, którego tu nie powtarzam, bo może nie byłoby tak prawdziwe, jak cała treść téj powiastki. — Cnotliwy Koniuszyński wrócił do Warszawy, nieświadomój jego urodzenia, upewniwszy był pomyślny starego ojca i braci, którzy nie chcieli opuszczać swoich stron rodzinnych.

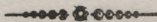
K O N I E C.

14.842/14.287

S p i s R z e c z y.



	<i>Stronica.</i>
Domek mojego Dziadka	5
Boruny	33
Śmierć mojego Dziadka	93
Ostatnia Sessya Exdywizyi	133
Samowar	165
Powrót Dziedzica	193
Poddany	237



1848

John J. ...

...

...

...

...

...

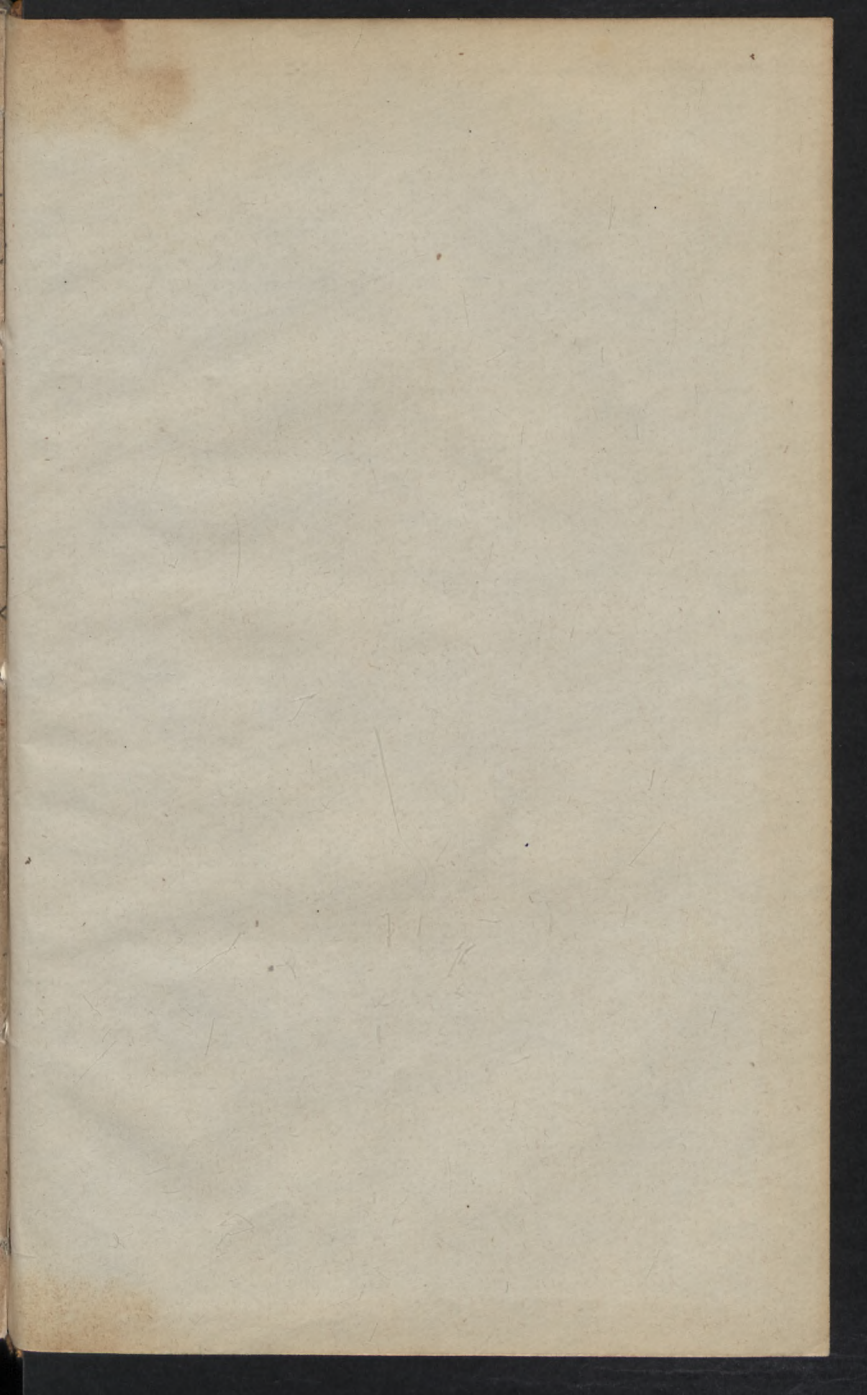
...

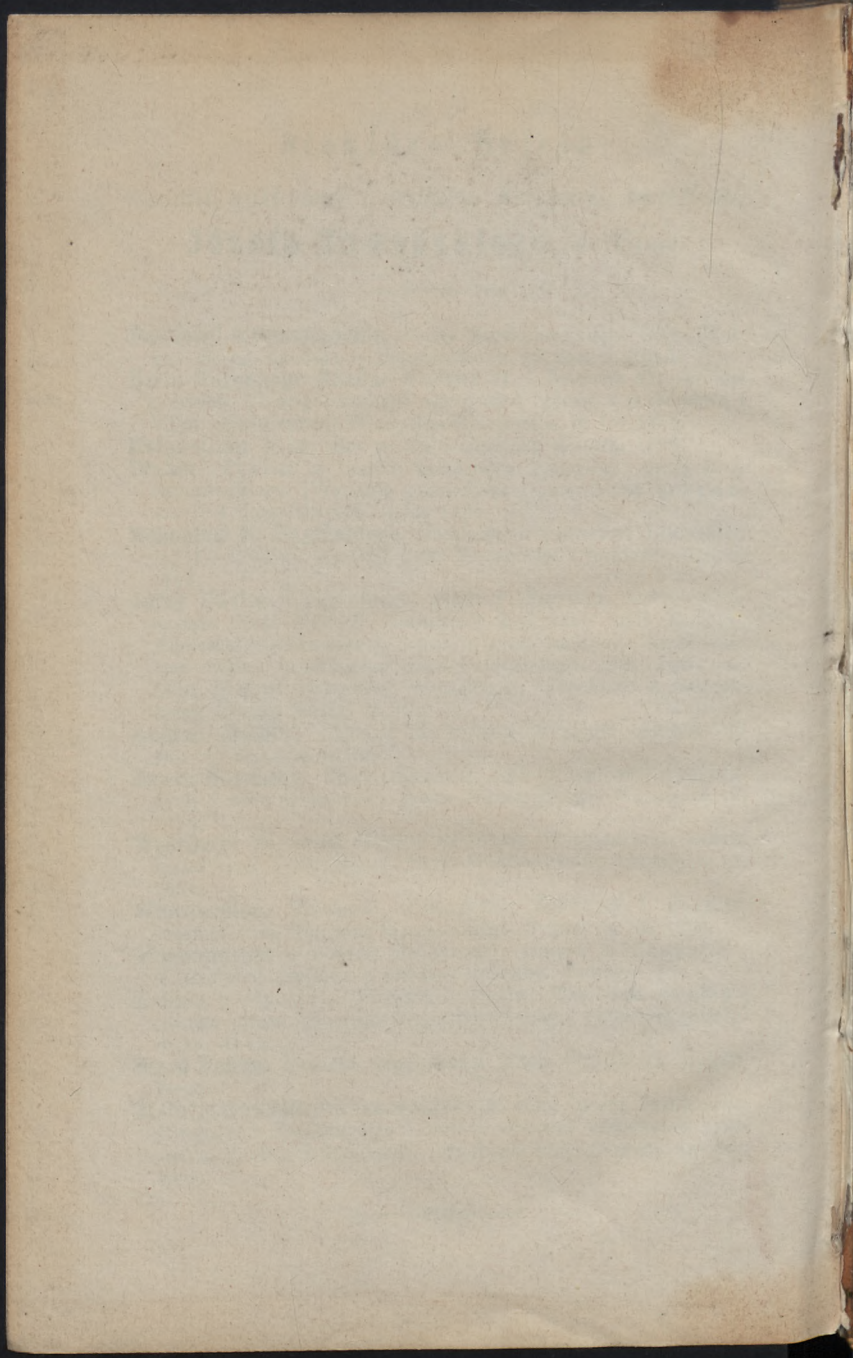
Niektóre Dzieła

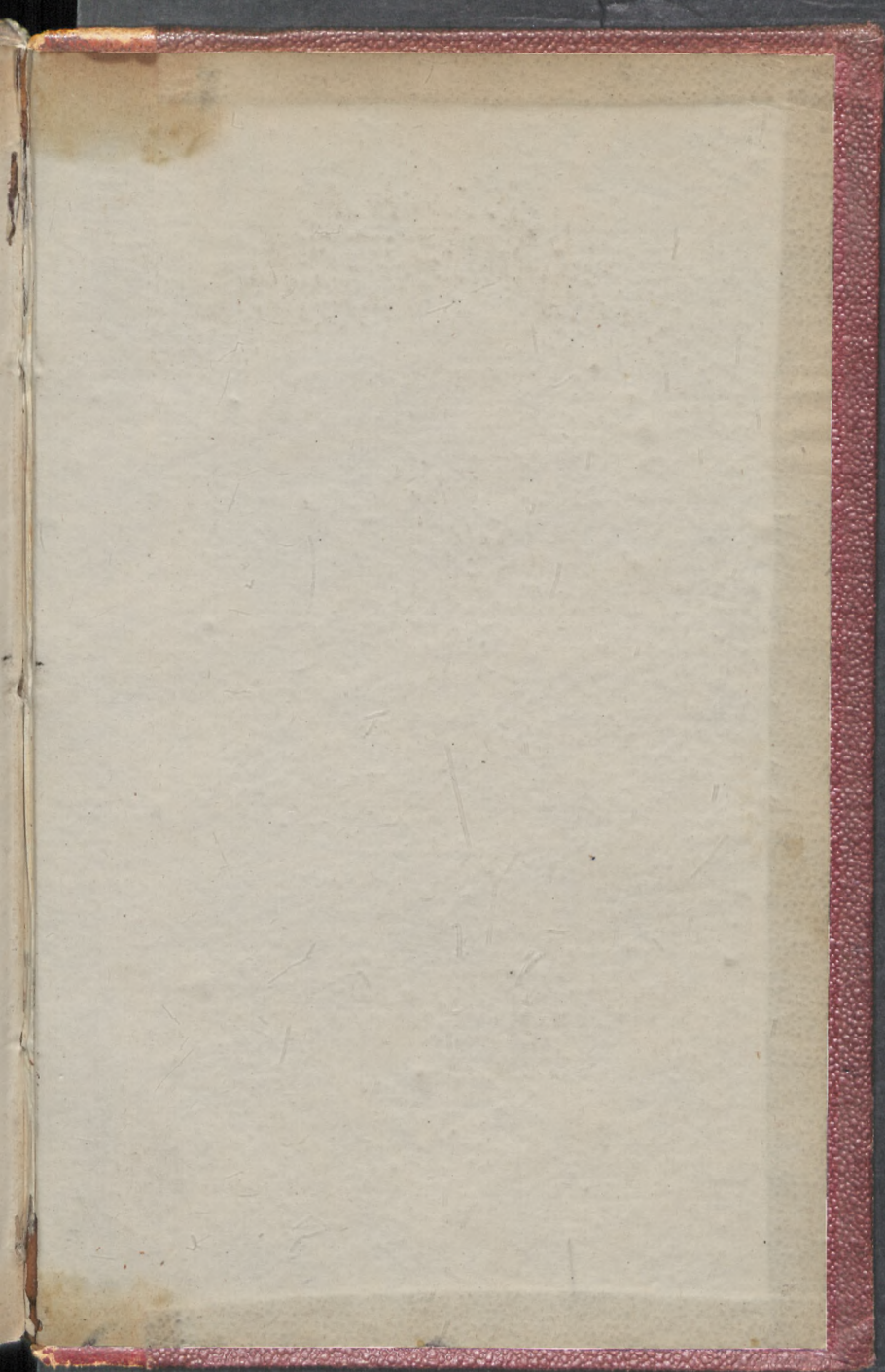
wydane nakładem i drukiem Księgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego, w Wilnie.

- Powieści i Opowiadania** Józefa Korzeniowskiego. Serya Druga: Scena na Balu — Pojedynek. in 12. tom 1. 1855.
- Dwie Koronacye Sasów** Augusta II i Augusta III królów polskich. Ze współczesnego rękopismu ogłosił z przedmową i kilku objaśnieniami Władysław Syrokomla. in 12. 1854.
- Książeczka** in 16. Bez tytułu i nazwiska Autora. 1854.
- Dłabeł.** Powieść z czasów Stanisława Augusta, przez J. I. Kraszewskiego. (Wydanie poprawione i przerobione przez Autora). 4 Tomy we 2ch. in 12. 1855.
- Rękopism X. Bagińskiego** Dominikana Prowincyi Litewskiej, (1747—1784 r.) Wydany przez Eustachego Tyszkiewicza. in 8. 1854.
- Jerzy Cuvier** i jego prace, przez P. Flourens. Dzieło obejmujące treść Historji Naturalnej Zwierząt, czyli Zoologii, Anatomji Porównawczej, Nauki o szczątkach kopalnych zwierząt świata pierwotnego czyli Paleontologii, Osteologii, tudzież Historji Naturalnej filozoficznej. Przetłóżył z francuzkiego Gustaw Belke. in 8vo.
- Andrzej Batory.** Dramat historyczny w pięciu Aktach, in 18, na pięknym welinie.
- Zagon Rodzinny.** Zbiór Obrazków, Gawęd i Fraszek rymowanych i nierymowanych, przez Adama Pługa. 3 tomy in 12. 1854.
- Wędrowki** po moich niegdyś okolicach. Wspomnienia, Studja historyczne i obyczajowe. Przez Władysława Syrokomlę. in 12. 1854.
- Wleczornice.** Powiastki, Charaktery, Życiorysy i Podróże, zebrane przez Lucyana Siemieńskiego. 3 tomy in 12. 1853.
- Wspomnienia** z Podróży do Syberyi, pobytu w Berezowie i w Saratowie, spisane przez Ewę Felińską. 3 tomy.
- Kabała** z Odpowiedzi Wirujących Stołów i Tabliczek, dosłownie spisana przez pewnego dymissjonowanego Pomocnika-Stołu. in 16. 1855.
- Stara Panna.** Powieść współczesna. Przez Kazimierza Bujnickiego.
- Historja Rewolucyi Francuzkiej** 1789 roku, przez Poujoulat'a. Przetłóżył z francuzkiego i notami objaśnił Władysław Syrokomla. 2 tomy in 12mo maj., ozdobione smią rycinami na stali, 1851.
-







BIBLIOTEKA
NAUKOWA
M. B. P.
w Gdyni
Czytelnia

3306